

wysięgnikiem, jaki widziałem, nieomal nitatący wysoko w ciemnościach, stał pośrodku oczyszczonego placu, gdzie odbudowa doszła już do stadium ukończenia wzmocnionych fundamentów.

Poszliśmy wolno nad kanałem w stronę kościoła. Słysząc było wyraźnie organy i śpiew kobiecy. Brzmiało to bardzo przyjemnie, spokojnie, swojsko i tęsknie; muzyka płynęła ponad pociemniałymi wodami kanału.

- Nabożeństwo widać trwa - powiedziałem. - Wejść tam...:

Przerwałem połapawszy się nagle na widok młodej blondynki w białym płaszczu deszczowym z paskiem, która właśnie przechodziła.

- Hej! - powiedziałem.

Dziewczyna była dobrze wyuczona, co robić, gdy ją zaczepia obcy mężczyzna na pustej ulicy. Tylko spojrzała na mnie i zaczęła biec. Nie ubiegła daleko. Pośliznęła się na mokrych kamieniach, odzyskała równowagę, ale zrobiła jeszcze tylko parę kroków, zanim ją dogoniłem. Przez chwilę usiłowała się wyrwać, potem dała za wygraną i zarzuciła mi ręce na szyję. Maggie podeszła do nas z tym swoim purytańskim wyrazem twarzy.

- Jakaś dawna znajoma, panie majorze?

- Od dzisiejszego rana. To jest Trudi. Trudi van Gelder.

- A! - Maggie położyła uspokajająco dłoń na jej ramieniu, ale Trudi nie zwróciła na nią uwagi, objęła mnie mocniej za szyję i popatrzyła mi z zachwytem w twarz z odległości około czterech cali.

- Lubię pana - oznajmiła. - Pan jest miły.

- Tak, wiem, mówiłaś mi. Do licha!

- Co robić? - spytała Maggie.

- Co robić? Trzeba ją odstawić do taksówki, wymknie się przy pierwszych światłach na skrzyżowaniu. Można postawić sto do jednego, że ten stary babsztyl, który ma jej pilnować, zdrzemnął się, i ojciec pewnie teraz przetrząsa całe miasto. Taniej by mu wypadło kupić łańcuch i kulę.

Rozplotłem ramiona Trudi nie bez pewnych trudności i podciągnąłem rękaw na jej lewej ręce. Najpierw ją obejrzałem, a potem zerknąłem na Maggie, która wytrzeszczyła oczy, następnie zaś ściągnęła wargi na widok szpetnych śladów pozostawionych przez igły strzykawk. Opuściłem rękaw - Trudi, zamiast wybuchnąć płaczem tak jak ostatnim razem, stała i chichotała, jakby to wszystko było ogromnie zabawne - i obejrzałem drugą rękę. Potem obciągnąłem i ten rękaw.

- Nic świeżego - powiedziałem.

- To znaczy, nie widzi pan niczego świeżego - rzekła Maggie.

= A co mam zrobić? Kazać jej stać tutaj, na, tym lodowatym deszczu, robić strip-tease na brzegu kanału w takt tej organowej muzyki? Zaczekaj chwilę.

- Dlaczego?

- Chcę się namyślić - odparłem cierpliwie. _

_6

Namyślałem się więc, podczas gdy Maggie stała z wyrazem posłusznego wyczekiwania na twarzy, a Trudi, przytrzymując mnie zaborczo za rękę, wpatrywała się we mnie z uwielbieniem. W końcu zapytałem:

- Nikt tam ciebie nie widział?

- O ile wiem, to nie.

- Ale Belindę widzieli?
- Oczywiście. Ale nie na tyle, aby ją potem poznać. Tam w środku wszyscy mają przykryte głowy. Belinda ma na głowie chustkę, na niej kaptur płaszcz, i siedzi w cieniu - to widziałam z wejścia.
- Wyciągnij ją stamtąd. Zaczekaj, aż skończy się nabożeństwo, a potem idź za Astrid Lemay. I staraj się zapamiętać możliwie najwięcej twarzy osób będących na nabożeństwie.
Maggie spojrzała na mnie z powątpiewaniem.
- Obawiam się, że to będzie trudne.
- Dlaczego?
- Bo wszystkie są podobne do siebie.
- A co one są?, Chinki?
- Większość to zakonnice z Bibliami i tymi paciorkami u pasa. Włosów ich nie widać, mają na sobie te długie czarne szaty i te białe...
- Maggie... - pohamowałem się z trudem - ja wiem, jak wyglądają

- Tak, ale jest coś innego. Prawie wszystkie są młode i przystojne... niektóre bardzo przystojne...
- Na to, żeby być zakonnica, nie musi się mieć twarzy jak po wypadku autobusowym. Zadzwoń do hotelu i podaj numer, pod którym można cię będzie złapać. Chodź, Trudi. Do domu.
podążyła za mną dosyć potulnie, najpierw pieszo, a potem taksówką, w której przez cały czas trzymała mnie za rękę i z wielkim ożywieniem paplała najróżniejsze wesołe głupstwa, niby małe dziecko zabrane nie-spodziewanie na zabawę. Przed domem van Geldera kazałem taksówce czekać.

' Trudi została odpowiednio wylajana zarówno przez van Geldera, jak Herte, z tą gwałtownością i surowością, które zazwyczaj maskują głęboką ulgę, po czym wyprowadzono ją z pokoju, przypuszczalnie do łóżka. Van Ider nalał dwa drinki z pośpiechem człowieka, który odczuwa potrzebę wypicia czegoś, i poprosił, abym usiadł. Odmówiłem.

- Czekaj na mnie taksówka. Gdzie o tej porze mogę znaleźć pułkownika de Graafa? Chciałbym od niego pożyczyć samochód, najchętniej szybki.

Van Gelder uśmiechnął się.

- Nie zadaję panu żadnych pytań. Pułkownika znajdzie pan w jego biurze. Wiadomo mi, że dzisiaj pracuje do późna. - Podniósł swą szklankę. - Tysiącne dzięki. Byłem bardzo, bardzo niespokojny.

67

- Zaalarmował pan policję, żeby jej szukała?
- Nieoficjalnie. - Van Gelder uśmiechnął się znowu, ale krzywo.
- Pan wie, dlaczego. Mam paru zaufanych przyjaciół, ale w Amsterdamie jest dziewięćset tysięcy ludzi.
- Czy pan się orientuje, dlaczego była tak daleko od domu?
- W tym przynajmniej nie ma żadnej tajemnicy. Herta często ją tam prowadzi... to znaczy do, tego kościoła. Wszyscy w Amsterdamie, którzy są rodem z Huyler, tam chodzą. To jest kościół hugenocki, a w Huyler również jest taki; no, może nie tyle kościół, co lokal handlowy, którego w niedziele używają do odprawiania nabożeństw. Herta wozi ją tam

również. Obydwie często jeżdżą na tę wyspę. Te kościoły oraz park

Vondel to jedyne wycieczki, jakie ma to dziecko.

Herta wtoczyła się do pokoju i van Gelder spojrział na nią niespokojnie.

Z miną, która mogła l'chodzić za wyraz satysfakcji na jej drętwej twarzy, Herta potrząsnęła głową i wytoczyła się z powrotem.

-No, Bogu dzięki. - Van Gelder opróżnił szklankę. - Żadnych zastrzyków. ,

- Tym razem nie. - Ja także opróżniłem moją szklankę, pożegnałem się i wyszedłem.

Zapłaciłem taksówkarzowi na Marnixstraat. Van Gelder uprzedził telefonicznie de Graafa, że przyjeżdżam, toteż pułkownik czekał na mnie. Jeżeli był zajęty, nic na to nie wskazywało. Jak zwykle wylewał się z fotela, na którym siedział, biurko przed nim było puste, brodę miał wspartą na palcach i kiedy , wszedłem, óderwał oczy od nieśpiesznego kontemplowania nieskończoności.

- Należy przypuszczać, że pan poczynił postępy? - przywitał mnie.

- Błędne przypuszczenie, niestety.

- Co? Żadnych widoków na szeroką drogę wiodącą do ostatecznego rozwiązania?

- Wyłącznie ślepe zaułki.

- Słyszałem od inspektora, że idzie o samochód.

- Bardzo bym prosił.

- Czy można spytać, do czego jest panu potrzebny?

= Do wjeżdżania w zaułki. Ale w gruncie rzeczy nie o to chcę pana prosić.

- Tak też myślałem.

- Chciałbym dostać nakaz rewizji.

- Po co?

- Aby przeprowadzić rewizję - odpowiedziałem cierpliwie. - Oczywiście w obecności wyższego funkcjonariusza czy funkcjonariuszy, aby to było legalne.

- U kogo? Gdzie?

- U Morgensterna i Muggenthalera. Magazyn pamiątek. Niedaleko doków... nie znam adresu.

68

Słyszałem o nich - kiwnął głową de Graaf. - Nie wiadomo mi o niczym, co by ich obciążało. A panu?

Nie..

; _ . Więc dlaczego tak pana ciekawią?

- _ Naprawdę nie mam pojęcia. Chcę się właśnie dowiedzieć, dlaczego ; mnie ciekawią. Byłem w ich magazynie dzisiaj wieczorem.

zadyndałem mu przed oczami pękiem wytrychów. ,

- Zapewne pan _ wie, że posiadanie takich narzędzi jest nielegalne ~ powiedział de Graaf surowo.

Schowałem wytrychy do kieszeni.

- Jakich narzędzi?

- Chwilowa halucynacja - odrzekł de Graaf uprzejmie.

_-- Ciekawi mnie, dlaczego mają zamek zegarowy w stalowych drzwiach prowadzących do ich biura. Ciekawi mnie ogromny zapas Biblii zgromadzony w ich magazynie. - Nie napomknąłem o zapachu haszyszu oraz

człowieku zaczajonym za lalkami. - Ale najbardziej mnie interesuje obejrzenie listy ich dostawców.

- Nakaz rewizji możemy załatwić pod byle pretekstem - powiedział

Graaf. - Sam będę panu towarzyszył. Bez wątpienia wyjaśni pan bardziej szczegółowo swoje zainteresowania jutro rano. A teraz co do tego samochodu. Van Gelder ma doskonałą propozycję. Za dwie minuty będzie wóz policyjny ze specjalnym silnikiem, zaopatrzony we wszystko od odbiornika nadawczo-odbiorczego aż po kółdanki, ale według wszelkich pozorów wyglądający na taksówkę. Rozumie pan, że prowadzenie taksówki nastrecza pewne problemy.

H_-Będę się starał nie zarabiać za dużo na boku. Ma pan jeszcze coś ' dla _mnie?

' _ Też za dwie minuty. Pański samochód przywiezie pewne informacje _ura rejestrów.

istotnie w dwie minuty później na biurku de Graafa znalazła się teczka. obejrzał jakieś _papiery. .

~ Astrid Lemay. Nazwisko prawdziwe, co może najdziwniejsze. Ojciec holender, matka Greczynka. Był wicekonsulem w Atenach, obecnie nie żyje. Miejsce pobytu matki nieznanne. Lat dwadzieścia cztery. Nie wiadomo o niej nic negatywnego = i niewiele pozytywnego. Muszę powiedzieć, że jej sytuacja jest trochę niejasna: Pracuje jako hostessa w nocnym lokalu "inova", mieszka w małym mieszkanku w pobliżu. Ma jednego znanego krewnego, brata George'a, lat dwadzieścia. A! To może pana zainteresować. George spędził podobno sześć miesięcy jako gość Jej Królewskiej Mości. _

. - Narkotyki?

- Napad i usiłowanie rabunku, zdaje się bardzo amatorska robota.

bpe_ł ten błąd, że napadł na detektywa w cywilu. Podejrzany o narkomanię

69

- prawdopodobnie próbował zdobyć na to pieniądze. Nic więcej nie mamy.

- Wziął inny papier. - TÓn numer MOO 144, który pan mi podał, jest radiowym sygnałem wywoławczym belgijskiego statku przybrzeżnego , Marianne", który ma jutro przyplłynąć z Bordeaux. Mam dosyć sprawny personel, nie?

- Tak. Kiedy on przyplływa?

- W południe. Przeszukamy go?

- Nic byście nie znaleźli. Ale proszę, żebyście nie zbliżali się do niego.

Macie jakieś dane co do dwóch pozostałych numerów?

- Niestety nic co do 910020. Ani 2797. - Przerwał w zamyśleniu.

- A czy nie może to być dwu razy 797? Wie pan: 797797?

- Wszystko może być.

De Graaf wyjął z szuflady książkę telefoniczną, potem odłożył ją i podniósł słuchawkę.

- Numer telefoniczny 79?797 - powiedział. - Proszę ustalić, kto jest zapisany pod tym numerem. Zaraz.

Siedzieliśmy w milczel'u, dopóki telefon nie zadzwonił. De Graaf słuchał przez chwilę, odłożył shrchawkę.

- Nocny lokal "Balinova" - powiedział.

- Sprawny personel ma szefa jasnowidza.
- A dokąd pana prowadzi to jasnowidztwo?
- Do nocnego lokalu "Balinova". - Wstałem. - Mam twarz dosyć łatwą do rozpoznania, nieprawdaż, pułcowniku?
- To nie jest twarz, którą się zapomina. Te białe blizny. Nie uważam, żeby pański chirurg plastyczny naprawdę się starał.
- Starał się, i owszem. Starał się ukryć swoją niemal całkowitą nieznajomość chirurgii plastycznej. Czy nie ma pan tu, w komendzie, jakiejś ciemnej szminki?
- Szminki? - Zamrugał oczami, po czym uśmiechnął się szeroko. - No nie, panie majorze! Charakteryzacja? W dzisiejszych czasach? Sherlock Holmes umarł już wiele lat temu.
- Gdybym miał choć w połowie taki rozum jak Sherlock - powiedziałem ociężale - nie potrzebowałbym żadnej charakteryzacji.

Rozdział SZóStY

Żółto-czerwona taksówka, którą mi przydzielono, wyglądała zewnątrz nie na całkiem normalnego opla, ale była wyposażona w dodatkowy silnik. Włożono w nią masę roboty. Miała wysuwaną policyjną syrenę, wysuwane policyjne światło migające, a na tyle klapę, która się opuszczała oświetlając znak "Stop". Pod przednim siedzeniem były linki, torby opatrunkowe oraz kanistry z gazem łzawiącym, a w kieszeniach drzwiowych kajdanki kluczykami. Bóg jeden wie, co było w bagażniku. I było mi to obojętne. Chciałem jedynie szybkiego samochodu i taki dostałem.

Zajechałem przed nocny lokal "Balinova", gdzie parkowanie było zakazane, i zatrzymałem się na wprost stojącego tam umundurowanego i uzbrojonego w pistolet policjanta. Kiwnął prawie niedostrzegalnie głową i odszedł miarowym krokiem. Umiał rozpoznać policyjną taksówkę i nie chciał wyjaśniać oburzonym obywatelom, dlaczego może jej ujść na sucho wykroczenie, które automatycznie kosztowałoby ich mandat.

Wysiadłem, zamknąłem drzwiczki na klucz i przeszedłem przez chodnik do wejścia nocnego lokalu, nad którym migotał neon "Balinova" oraz dwie neonowe postacie tancerki hula-hula, aczkolwiek nie mogłem dopatrzeć się żadnego związku między Hawajami a Indonezją. Może miały to być tancerki z Bali, ale jeśli tak, to były niewłaściwie ubrane - czy rozebrane. Po obu stronach wejścia znajdowały się dwie duże gabloty, przeznaczone na swoistą wystawę artystyczną, która bez nadmiernych obłonek informowała o naturze rozkoszy kulturalnych oraz bardziej egzotycznych czynności naukowych, jakie można było znaleźć wewnątrz. Jeżeli trafiał się znany wizerunek młodej damy, mającej na sobie tylko kolczyki i bransoletki, nic więcej, to wydawała się niemal niestosownie wystrojona. Jednakże jeszcze bardziej interesujące było kawowej barwy oblicze, które spojrzało na mnie z odbicia w szybie; gdybym nie wiedział, że to ja, nie poznałbym siebie. Wszedłem do środka.

"Balinova", zgodnie z najlepszą, uświęconą przez czas tradycją, była lokalem małym, dusznym, zadymionym i wypełnionym jakąś nieokreśloną orłką, której głównym składnikiem zdawała się być przypalona guma która zapewne miała wprawiać klientów w nastrój odpowiedni do

maksymalnego delektowania się oferowanymi im rozrywkami, ale w efekcie wywoływała w ciągu paru sekund paraliż powonienia. Nawet bez współdziałania snujących się obłoków dymu lokal był rozmyślnie źle oświetlony, poza jaskrawym reflektorem skierowanym na scenę, która też zgodnie ze zwykłą praktyką nie była wcale sceną, tylko małym okrągłym parkietem tanecznym pośrodku salki.

Publiczność składała się prawie wyłącznie z mężczyzn, których skala wieku sięgała od wybałuszających oczy młodzieniaszków aż po dziarskich, bystrookich osiemdziesięciolatków, których sprawności wzrokowej najwyraźniej nie przyćmiło przemijanie lat. Prawie wszyscy byli dobrze ubrani, gdyż amsterdamskie nocne lokale lepszej klasy - te, które nadal gorliwie zaspokajają wyrafinowane gusty zblazowanych koneserów niektórych sztuk plastycznych - nie są przeznaczone dla ludzi żyjących z opieki społecznej. Jednym słowem lokale te nie są tanie, a "Balinova" była bardzo, bardzo droga, jako jedna z nader nielicznych podejrzanych spelunek w mieście. Na sali było kilka kobiet, lecz tylko kilka. Z całkowitym brakiem zaskoczenia ujrzałem Maggie i Belindę siedzące przy stoliku opodal drzwi i mające przed sobą jakieś napoje mdłej barwy. Obydwie miały obojętne miny, przy czym mina Maggie była niewątpliwie bardziej obojętna. -

Moja charakteryzacja zdawała się chwilowo całkowicie zbyteczna. Nikt na mnie nie spojrział, kiedy wszedłem, i było całkiem jasne, że nikt nie miał ochoty na mnie patrzeć, rzecz chyba zrozumiała w tych okolicznościach, jako że widzowie wytrzeszczali oczy, by nie uronić żadnego z estetycznych niuansów czy symbolicznych znaczeń oryginalnego i skłaniającego do przemyśleń widowiska baletowego, które rozgrywało się przed ich zachwyconymi oczyma i w którego toku kształtna młoda dziewczyna, siedząca w piankowej kąpieli, usiłowała przy akompaniamencie dysonansowego łomotu i astmatycznego sapania potwornej orkiestry, której skądinąd nie tolerowano by w fabryce kotłów, pochwycić ręcznik chytrze umieszczony poza jej zasięgiem. Powietrze było naelektryzowane napięciem, albowiem publiczność próbowała wyobrazić sobie bardzo nieliczne możliwości, dostępne dla nieszczęsnej dziewczyny. Usiadłem przy stoliku obok Belindy i obdarzyłem ją uśmiechem, który w zestawieniu z moją nową cerą musiał być nader olśniewający. Belinda odsunęła się szybko o jakieś sześć cali unosząc noś nieco wyżej.

- A pfe! - powiedziałem. Obie dziewczyny obróciły się ku mnie, ja zaś wskazałem głową scenę. - Dlaczego któraś z was nie pójdzie jej pomóc?

Nastąpiło długie milczenie, po czym Maggie zapytała bardzo powściągliwie :

- Co się panu stało, u licha?

- Jestem w przebraniu. Mów ciszej.

- Ale... ale dzwoniłam do hotelu za ledwie przed paroma minutami -- powiedziała Belinda.

- I nie szepcz także. Pułkownik de Graaf skierował mnie do tego lokalu. ona przyszła prosto tutaj?
 Kiwnęły głowami.

- I już nie wychodziła?
 - Przynajmniej nie frontowymi drzwiami - odrzekła Maggie.
 - Staraliście się zapamiętać twarze zakonnice, kiedy wychodziły? Tak jak was prosiłem?
 - Staraliśmy się - odrzekła Maggie.
 zauważyłyście w którejś z nich coś dziwnego, szczególnego, coś, co _ było niezwykle?
 -Nie, nic. Tyle tylko, że w Amsterdamie widocznie mają bardzo przystojne zakonnice - powiedziała wesoło Belinda.
 - Maggie już mi mówiła. I to wszystko?
 Popatrzyły po sobie z wahaniem, a potem Maggie powiedziała:
 - Było coś dziwnego. Zdawało nam się, że widziałyśmy o wiele więcej osób wchodzących do kościoła niż wychodzących stamtąd.
 - W tym kościele na pewno było znacznie więcej osób, niż z niego wyszło - rzekła Belinda. - Ja tam byłam, wie pan.
 -Wiem - odrzekłem cierpliwie. - Co rozumiesz przez "o wiele

- No - powiedziała Belinda przezornie - całkiem sporo.
 - Aha, więc teraz zesliśmy do "całkiem sporo". Ma się rozumieć sprawdziłyście, czy kościół jest pusty?
 teraz z kolei Maggie była w defensywie. - Przecież pan kazał nam iść za Astrid Lemay. Nie mogłyśmy czekać.
 -- Czy przyszło wam na myśl, że niektóre osoby mogły zostać na prywatne modlitwy? Albo że może nie bardzo dobrze liczyście?
 Belinda ściągnęła gniewnie usta, ale Maggie położyła dłoń na jej dłoni.
 - To nie fair, panie majorze. - I to mówiła Maggie! - Możemy popełniać błędy, ale to nie jest fair.
 Kiedy Maggie mówiła w ten sposób, zawsze słuchałem.
 _-- Przepraszam cię, Maggie. I ciebie, Belindo. Kiedy tacy tchórze jak ja wpadają w panikę, odgrywiają się na ludziach, którzy nie mogą im się odpłacić.
 Obie od razu obdarzyły mnie tym słodkim, współczującym uśmiechem, który normalnie doprowadziłby mnie do wściekłości, ale który w owej chwili wydał mi się dziwnie wzruszający; widocznie ta szminka coś zrobiła z _moim systemem nerwowym.
 - Bóg jeden wie, że popełniam więcej błędów niż wy - powiedziałem. tak rzeczywiście było i w tym momencie właśnie popełniłem jeden z _największych; powinienem był słuchać uważniej tego, co mówiły.

13

- Co teraz? - spytała Belinda.
 - Tak, co robimy teraz? - dodała Maggie.
 Najwyraźniej uzyskałem przebaczenie. - Pokręćcie się po nocnych lokalach w okolicy. Bóg świadkiem, że ich nie brakuje. Zobaczcie, czy nie rozpoznacie tam kogoś z występujących artystów, z personelu, może nawet spośród publiczności - kto wygląda podobnie do którejś z osób

widzianych przez was dzisiaj w kościele.

Belinda popatrzyła na mnie z rzedowierzaniem.

- Zakonnice w nocnym lokalu?

- Czemu nie? Biskupi chodzą na garden-party, prawda?

- To nie to samo...

- Rozrywka jest rozrywką wszędzie na świecie - powiedziałem sentencjonalnie. - Szczególnie rozejrzyjcie się za takimi, które mają suknie z długimi rękawami albo te wymyślne rękawiczki sięgające po łokcie.

- Dlaczego? - zapytała Belinda.

- Rusz głową. Gdybyście kogoś takiego znalazły, spróbujcie się dowiedzieć, gdzie mieszka. Bądźcie z powrotem w hotelu o pierwszej. Przyjadę tam do was. ,

- A co pan będzie robił? - spytała Maggie.

Rozejrzałem się z wolna po lokalu.

- Mam tutaj do przeprowadzenia jeszcze wiele badań.

- Tak sobie wyobrażam - rzekła Belinda.

Maggie już otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale to nieuchronne pouczenie zostało Belindzie oszczędzone przez pełne uznania "achy" i "ochy" niepohamowanego zachwyty, które nagle rozległy się w lokalu. Widzowie o mało nie zerwali się z miejsc. Znękana artystka rozwiązała swój straszny dylemat prostym, lecz pomysłowym oraz wysoce skutecznym sposobem, odwracając blaszaną wannę i posługując się nią niby skorupą żółwia, aby przesłonić swój dziewiczy rumieniec, gdy przemierzała niewielką odległość dzielącą ją od zbawczego ręcznika. Wyprostowała się owinięta nim jak Wenus wynurzająca się z głębiny i skłoniła się widzom z królewską gracją, niczym Madame Melba żegnająca się po raz ostatni z Covent Garden. Rozentuzjasmowana publiczność, a najbardziej osiemdziesięciolatki, zaczęła gwizdać i nawoływać o więcej, ale na próżno; wyczerpawszy swój repertuar artystka wdzięcznie potrząsnęła główką i zesłała drobnym kroczkiem ze sceny ciągnąc za sobą obłoki mydlanych banieczek.

- No, niech mnie licho! - powiedziałem z podziwem. - Założę się, że żadnej z was nie przyszyłoby to do głowy.

- Chodź, Belindo = pawiedziała Maggie. - To nie jest miejsce dla nas.

Wstały i wyszły. Mijając mnie, Belinda poruszyła brwiami w sposób, który podejrzenie wyglądał na mrugnięcie, uśmiechnęła się słodko, powiedziała: "Dosyć mi się podoba, że to się panu podoba" i przeszła ja zaś zastanowiłem się nieufnie nad znaczeniem jej słów. Odprowadziłem wzrokiem aż do wyjścia, by sprawdzić, czy ktoś idzie za nimi, W istocie tak było: najpierw ruszył jakiś bardzo tłusty, bardzo masywnie zbudowany facet o obwisłych policzkach i dobrotliwej minie, ale to nie miało żadnego znaczenia, jako że tuż za nim podążało kilkadziesiąt innych. Główna atrakcja wieczoru się zakończyła, takie wielkie chwile następowały rzadko, szczyty były osiągalne nieczęsto - zaledwie trzy razy na wieczór przez siedem wieczorów w tygodniu - toteż ci ludzie wyruszali na bardziej zielone pastwiska, gdzie można było nabyć gorzałkę za : ćwierć tutejszej ceny.

Lokal był teraz na wpół opustoszały, całun dymu rzednął, a widoczność poprawiała się odpowiednio. Rozejrzałem się dokoła, ale w tej chwili _zerwy nie zauważyłem itic interesującego. Kelnerzy krążyli po sali.

zamówiłem scotcha i otrzymałem napój, w którym drobiazgowa analiza chemiczna mogłaby wykryć nikłe ślady whisky. Jakiś stary człowiek wycierał mały par_kiet taneczny nieśpiesznymi i wystylizowanymi ruchami I~plana dope_tiającego świętego obrządku. Orkiestra dzięki Bogu milczała, pochłaniając z entuzjazmem piwo ofiarowane jej przez jakiegoś głuchego na muzykę klienta. A potem ujrzałem osobę, dla której tu przyszedłem, choć wyglądało już na to, że nie będę jej widział przez długi czas.

'ö_strid Lemay stała w wewnętrznych drzwiach po drugiej stronie salki owijając sobie szalem ramiona, podczas gdy jakaś dziewczyna szeptała jej coś do ucha; z pełnego napięcia wyrazu ich twarzy oraz pospiesznych tchów wynikało, że była to wiadomość dość pilna. Astrid kilkakrotnie kiwnęła głową, po czym prawie przebiegła przez mały parkiet taneczny wyszła frontowymi drzwiami. Podążyłem za nią nieco mniej śpiesznie. Dopędziłem ją i byłem zaledwie o kilka kroków w tyle, kiedy skręciła w '-Rembrandtplein. Zatrzymała się. ja także przystanąłem i popatrzyłem na to ; na co patrzyła, słuchając tego, czego słuchała.

katarynka była ulokowana na ulicy, przed przykrytą dachem, ale pozabawioną okien kawiarenką na chodniku. Nawet o tej nocnej porze kawiarnia _ była prawie pełna i cierpiący klienci mieli miny ludzi gotowych zapłacić każdą sumę, żeby się przenieść gdzie indziej. Ta katarynka była najwyraźniej repliką tamtej sprzed "Rembrandta", wraz z tymi samymi jaskrawymi kolorami, wielobarwnym baldachimem i identycznie ubranymi lalkami, tańczącymi na swoich elastycznych nitkach, aczkolwiek była wyraźnie gorszego gatunku od tamtej, zarówno pod względem mechanicznym, jak muzycznym: Maszynę tę także obsługiwał staruch, ten jednak miał długą, rozwianą siwą brodę, która nie była myta ani czesana, odkąd przestał się golić, oraz kapelusz stetson i wojskowy płaszcz angielski,

74 75

który spowijał go aż po kostki. Wydało mi się, że pośród szczękania, jęczenia i sapania wydawanego przez katarynkę, wykryłem fragment "Cyganerii", chociaż Bóg świadkiem, że Puccini nigdy nie kazał tak cierpieć umierającej Mimi, jak by cierpiała, gdyby znalazła się na Rembrandtplein tego wieczora.

Stary miał skupioną blisko i najwyraźniej uważną publiczność, na którą składał się jeden człowiek. Poznałem w nim jednego z tej grupy, którą widziałem przy katarynce przed "Rembrandtem". Jego ubranie było wytarte, lecz schludne, a _strąkowate, czarne włosy opadały mu na straszliwie chude ramiona, które sterczały pod marynarką jak patyki. Nawet z odległości około dwudziestu kroków widziałem, że stopień jego wyniszczenia jest mocno zaawansowany. Mogłem dojrzeć jego twarz tylko z jednej strony, ale zauważyłem, że policzek jest trupio zapadnięty, a skóra barwy starego pergaminu.

Człowiek ten stał oparty o katarynkę; ale bynajmniej nie z miłości do Mimi. Stał oparty o katarynkę, ponieważ gdyby się o coś nie oparł, przewróciłby się z całą pewnością. Ten młody człowiek najwyraźniej czuł się bardzo niedobrze i do runięcia na ziemię wystarczyłby mu tylko jeden nieopatrzny ruch. Od czasu do czasu całym jego ciałem wstrząsały nieopahamowane, sp_natyczne drgawki; mniej często dobywały mu się z krtani

chrapliwe łkania lub rżenia. Stary człowiek w płaszczu najwyraźniej nie uważał go za zbyt dobrego klienta, bo kręcił się niezdecydowanie koło niego, cmokając z wyrzutem i poruszając bezradnie rękami, całkiem podobnie do nieco zwariowanej kvvoki. Poza tym wciąż rozglądał się niespokojnie nad jego ramieniem po placu, tak jakby obawiał się czegoś czy kogoś.

Astrid szybko podeszła do katarynki, a ja tuż za nią. Uśmiechnęła się przepaszająco do brodatego starucha, objęła ramieniem młodzieńca i odciągnęła go stamtąd. Przez chwilę usiłował się wyprostować i wtedy zauważyłem, że jest dosyć wysoki, co najmniej o sześć cali wyższy od dziewczyny, ale wzrost tylko podkreślał jego szkieletową budowę. Oczy miał nieruchome i szkliste, twarz człowieka konającego z wygłodzenia, policzki tak niewiarygodnie zapadnięte, iż można by przysięc, że nie ma zębów. Astrid usiłowała na poły go prowadzić, na poły nieść, ale choć jego wyniszczenie doszło do takiego stopnia, że nie mógł być wiele cięższy od niej, chwiał się tak niepohamowanie, że zataczała się razem z nim po chodniku.

Podszedłem do nich bez słowa, opasałem go ramieniem - było to tak, jakbym obejmował szkielet - i przejąłem od Astrid jego ciężar. Spojrzała na mnie, a jej ciemne oczy były pełne niepokoju i lęku. Nie przypuszczam też, żeby moja sepiowa cera dodała jej wiele ufności.

- Proszę, niech pan mnie zostawi = powiedziała błagalnym głosem.
- Dam sobie radę.

76

_ - Nie da pani rady. On bardzo źle się czuje, panno Lemay.

Wpatrzyła się we mnie. - Pan Sherman!

_-- Nie jestem pewien, czy mi się to podoba - powiedziałem w zamyśleniu. - Jeszcze parę godzin temu nigdy mnie pani nie widziała, nawet nie znała mojego nazwiska. A teraz, kiedy tak się opaliłem i wyprzystoj-

- _łem. . . ops !

_ George, którego gumo_rate nogi przemieniły się nagle w galaretę,

_ - mało nie wysliznął mi się z rąk. Widziałem, że obaj nie zajdziemy zbyt daleko wytańcowując takiego walca po Rembrandtplein, więc pochyliłem się, aby go sobie przetrzucić przez ramię na modłę strażacką. Chwyła mnie za rękę w przerażeniu.

__ = Nie! Niech pan tego nie robi! Niech pan tego nie robi!

_: - Ale dlaczego? - spytałem rozsądnie. - To najłatwiejszy sposób.

- Nie, nie! Jak was zobaczy policja, zabierze go ze sobą.
wyprostowałem się, objąłem go ponownie i usiłowałem utrzymać możliwie jak najbliżej pionu.

, - Ścigający i ścigany - powiedziałem. - Pani i van Gelder.

, - Słucham?

- A oczywiście pani brat, George, jest...

- Skąd pan wie, jak ma na imię? - wyszeptwała.

- Moją rzeczą jest wiedzieć to i owo - odrzekłem wyniośle. - Jak mówiłem, braciszek George znajduje się w dodatkowo niekorzystnej sytuacji, bo nie jest całkiem nie znany policji. Posiadanie byłego więźnia jako brata może być wyraźnym minusem towarzyskim.

Nic nie odpowiedziała. Wątpię, czy kiedykolwiek widziałem kogoś, kto wyglądał na tak całkowicie zgnębionego i pokonanego.

- Gdzie on mieszka? - spytałem.

_ - Razem ze mną, rzecz jasna. - To pytanie wyraźnie ją zdziwiło.

: Niedaleko stąd.

Rzeczywiście nie było daleko, nie więcej niż pięćdziesiąt jardów boczną ulicą - o ile takie ciasne i ponure przejście można nazwać ulicą - za _tlinova". Schody prowadzące do mieszkania Astrid były najwyższe najbardziej kręte, jakie widziałem, a z przewieszonym przez ramię fVorgem wspinałem się na nie z trudem. Astrid otworzyła z klucza drzwi do swego mieszkania, które okazało się niewiele większe od klatki na króliki, składając się, o ile mogłem stwierdzić, z małego saloniku i równie małą przyległą doń sypialnią. Przeszedłem do sypialni, ułożyłem George'a na wąskim łóżku, wyprostowałem się i otarłem czoło.

- Wdrapywałem się na drabiny lepsze od tych pani przeklętych schodów,-- powiedziałem z uczuciem.

_ - Bardzo mi przykro. Hotel studencki jest tańszy, no ale z Georgem... Balinova" nie płaci zbyt dobrze.

77

Sądząc po tych dwóch małych pokoikach, schludnych, ale podniszczonych jak ubranie George'a, istotnie płacono tam bardzo mało. Powiedziałem:

- Osoby w takim położeniu, jak pani, mają szczęście, jeżeli dostają cokolwiek.

- Słucham?

- Dość tego "słucham". Doskonale pani wie, o co mi idzie. Prawda, panno Lemay. . . czy może wolno mi panią nazywać Astrid?

- Skąd pan zna moje nazwisko? - Nie mógłbym sobie z punktu przypomnieć, czy kiedy widziałem dziewczynę załamującą ręce, ale to właśnie w tej chwili robiła. - Skąd... skąd pan wie o mnie różne rzeczy?

-Dajże z tym spokój - odrzekłem szorstko. - Musisz przypisać pewną zasługę swojemu chłopcu.

- Mojemu chłopcu? Ja nie mam chłopca.

- No to eks-chłopcu. A może lepiej ci odpowiada "zmarłemu chłopcu"?

- Jimmy'emu? - szepnęła.

- Jimmy'emu Duclos - przytaknałem. - Mógł stracić dla ciebie głowę - z fatalnym dla siebie skutkiem - ale zdążył mi coś o tobie opowiedzieć. Mam nawet twoją fotografię.

Była _wyraźnie zmieszana. - Ale... ale tam, na lotnisku...

- A czegoś się po mnie spodziewała... że cię uściskam? Jimmy'ego zabili na lotnisku, bo miał zamiar coś zrobić. Co to było?

- Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc.

- Nie mogę? Czy nie chcę?

Nic nie odpowiedziała.

- Czy ty kochałaś Jimmy'ego, Astrid?

Popatrzała na mnie w milczeniu, z błyszczącymi oczyma. Powoli kiwnęła głową.

- I nie powiesz mi? - Milczenie. Westchnąłem i popróbowiałem od innej strony. - Czy Jimmy Duclos powiedział ci, kim był?

Potrząsnęła głową.

- Ale się domyślałaś? _

Przytaknęła.

- I powiedziałaś komuś, czego się domyślasz?

To ją załamało. - Nie! Nie! Nikomu nie powiedziałam. Przysięgam na Boga, że nikomu nie powiedziałam!

Najwyraźniej kochała go i w tej chwili nie kłamała.

- Czy kiedyś o mnie wspominał?

- Nie.

- Ale ty wiesz, kim jestem?

Spojrzała na mnie, a dwie duże łzy spłynęły jej z wolna po policzkach.

- Doskonale wiesz, że kieruję biurem do spraw narkotyków Interpolu w Londynie.

znowu milczenie. Chwyciłem ją za ramiona i potrząsnąłem gniewnie.

Prawda, że wiesz?

kiwnęła głową. Wielka specjalistka od milczenia.

Więc jeżeli nie powiedział ci tego Jimmy, to kto?

- Och, Boże! Proszę, niech pan mi da spokój!

mnóstwo dalszych łez goniło teraz te pierwsze dwie po jej policzkach.

to jej dzień płakania, a mój wzdychania, więc westchnąłem, znowu zmieniłem taktykę i spojrzałem przez drzwi na chłopaka leżącego na łóżku.

- Jak przypuszczam, _ George nie jest żywicielem rodziny?

- George nie może pracować. - Powiedziała to tak, jakby wyrażała po prostu prawo natury. - Nie pracuje od przeszło roku. Ale co on ma z tym wspólnego?

- Wszystko. - Podszedłem i pochyliłem się nad nim, przyjrzyłem _ się uważnie, podniosłem jego powiekę i opuściłem ją. - Co z nim robisz, kiedy jest w takim stanie?,

- Nie można nic zrobić.

Podciągnąłem rękaw na szkieletowej ręce George'a. Pokłuta, pokryta bliznami i zsiniała od niezliczonych zastrzyków, przedstawiała odrażający widok; ręka Trudi była niczym w porównaniu z nią. Powiedziałem:

- Nikt już nigdy nie zdoła nic dla niego zrobić. Wiesz o tym, prawda?

- Wiem. - Spostrzegła moje badawcze spojrzenie, przestała ocierać sobie twarz koronkową chusteczką rozmiarów mniej więcej znaczka pocztowego i uśmiechnęła się gorzko. - Pan chce, żebym podwinęła mój rękaw.

_ - Nie znieważam miłych dziewczyn. Chcę tylko zadać ci kilka prostych pytań, na które możesz odpowiedzieć. Od jak dawna jest tak z Georgem?

- Od trzech lat.

- Jak długo jesteś w "Balinova"?

- Trzy lata.

- Podoba ci się tam?

- Czy mi się podoba! - Ta dziewczyna zdradzała się za każdym razem, i otwierała usta; - Czy pan wie, co to znaczy pracować w nocnym

lokalu... takim nocnym lokalu? Wstrętnei, okropni starzy mężczyźni łypią na

ciebie.

- Jimmy Duclos nie był wstrętny, okropny ani stary.

Była zaskoczona. - Nie, jasne, że nie. Jimmy...

-Jimmy Duclos nie żyje, Astrid. Jimmy nie żyje, bo zakochał się w hostessie z nocnego lokalu, która jest szantażowana.

- Nikt mnie nie szantażuje.

- Nie? To kto wywiera na ciebie nacisk, żebyś milczała, żebyś wykonywała pracę, do której wyraźnie masz obrzydzenie? I dlaczego wywierają nacisk? Czy to przez George'a? Co on zrobił czy też co mówią, że zrobił? Wiem, że siedział w więzieniu, więc to nie może być to. Dlaczego
78 79

musiałaś mnie szpiegować, Astrid? Co wiesz o śmierci Jimmy'ego Duclosa? Ja wiem, jak zginął. Ale kto go zabił i dlaczego?

- Nie wiedziałam, że go zabiją! - Siadła na łóżku-sofie zakrywając twarz dłońmi, a ramiona jej drgały. - Nie wiedziałam, że go zabiją.

- No, już dobrze, Astrid. - Dałem za wygraną, bo nie osiągałem niczego poza jej rosnącą niechęcią do mnie. Zapewne kochała Duclosa, nie żył dopiero od wczoraj, a ja rozdrapywałem krwawiące rany. = Znałem za wielu ludzi żyjących w strachu przed śmiercią, aby próbować zmuszać cię do mówienia. Ale pomyśl o tym, Astrid, na miłość boską i przez wzgląd na siebie pomyśl o tym. To jest twoje życie i teraz tylko o nie powinnaś się martwić. George już 'nie ma życia.

- Nie mogę nic zrobić, niŃ mogę nic powiedzieć. - Twarz miała nadal w dłoniach. - Proszę, niech pan już idzie.

Ja też nie uważałem, że bym mógł jeszcze coś zrobić czy powiedzieć, więc uczyniłem to, o co prosiła, i wyszedłem.

Mając na sobie tylko spodnie i trykotową koszulkę przejrzałem się w małym lusterku w małej łazience. Wszelkie ślady szminki zostały usunięte z mojej twarzy, szyi i rąk, czego nie mogłem powiedzieć o dużym i niegdyś białym ręczniku, który trzymałem w rękach. Był teraz mokry i nieodwracalnie zabarwiony na ciemnoczekoladowy kolor.

Wszedłem do sypialni, w której mogło pomieścić się łóżko oraz leżanka. Na nich siedziały wyprostowane Maggie oraz Belinda, wyglądające bardzo ponętnie w nader atrakcyjnych nocnych ko_ulkach, które zdawały się składać głównie z otworów. Ale w tej chwili miałem na głowie pilniejsze problemy niż sposób, w jaki pewni wytwórcy nocnych strojów oszczędzają na materiale.

- Zniszczył pan nasz ręcznik - poskarżyła się Belinda.

- Powiecie, żeście sobie ścierały makijaż. - Sięgnąłem po swoją koszulkę, której kołnierzyk był po wewnętrznej stronie ciemnordzawego koloru, ale na to nic nie mogłem poradzić. - Więc większość dziewczyn z nocnych lokali mieszka w tym hoteliku "Paris"?

Maggie kiwnęła głową. - Tak powiedziała Mary.

- Mary?

- Ta miła młoda Angielka, która pracuje w "Trianon".

- W "Trianon" nie pracują żadne miłe młode Angielki, tylko rozwiąza-

młode Angielki. Czy ona jest jedną z tych, co były w kościele? - Maggie potrząsnęła głową. - No, to przynajmniej potwierdza słowa Astrid.

- Astrid? - spytała Belinda. - Pan z nią rozmawiał_.

- Spędziłem z nią dłuższą chwilę. Obawiam się, że z niewielką korzyścią. Nie była zbyt komunikatywna. - Opowiedziałem im pokrótce, jaka

była niekomunikatywna, po czym ciągnąłem dalej: - No, już pora, żebyś-
: się wzięły do jakiejś roboty, zamiast się włóczyć po nocnych lokalach.

Popatrzyły po sobie, a potem zimno spojrzały na mnie. - Maggie, s' spaceruj się jutro po parku Vondel. _obacz, czy Trudi tam będzie; _sz ją. Sprawdź, co będzie robiła, czy z kimś się spotka, z kimś rozmawia. To duży park, ale powinnaś ją bez większych trudności znaleźć, jeżeli tam przyjdzie. Będzie jej towarzyszyła przemiła starsza baba mająca około półtora metra obwodu w talii. Bzłindo, miej na oku ten q_lik jutro wieczorem. jeżeli rozpoznasz jakąś dziewczynę, która była w kościele, idź za nią i zobacz, co będzie robiła. - Wciągnąłem mocno przemoczoną marynarkę. - No, to dobranoc.

- To wszystko? Już pan idzie? - Maggie wydawała się nieco zaskoczona. ~ Ale panu się spieszy! - powiedziała Belinda.

- Jutro wieczorem ułożę was do snu i opowiem wam wszystko o wilku czerwonym Kapturku = obiecałem. - Dzisiaj mam coś do roboty.

80

Rozdział siódmy

Zaparkowałem policyjny samochód na wymalowanym na jezdni napisie: "Parkowanie wzbronione" i przeszedłem pieszo ostatnie sto jardów do hotelu. Katarynka odeszła tam, gdzie odchodzą na noc katarynki, a w hotelowym foyer nie było nikogo poza zastępcą kierownika, który drzemał na krześle za kontuarem. Wyciągnąłem rękę, cicho zdjąłem klucz z haczyka, wszedłem na pierwsze piętro, po czym wsiałem do windy na wypadek, gdyby się okazało, że zbudziłem kierownika z najwyraźniej twardego i niewątpliwie zasłużonego snu.

Zdjąłem przemoczone ubranie - to znaczy wszystko, co miałem na sobie - wziąłem prysznic, włożyłem suchą odzież, zjechałem windą i z traskiem położyłem klucz na kontuarze. Zastępca kierownika ocknął się, zamrugał oczami i spojrzał kolejno na mnie, na swój zegarek i na klucz.

- Pan Sherman... Nie słyszałem, jak pan wchodził.

- Dawno temu. Pan spał. Ta dziecięca niewinność...

Nie słuchał mnie. Po raz drugi spojrzał mętnym wzrokiem na zegarek.

- Co pan robi, proszę pana?
- Chodzę przez sen.
- Jest wpół do trzeciej nad ranem!
- Nie chodzę przez sen za dnia - odrzekłem rozsądnie. Obróciłem się i spojrzałem na zewnątrz przez przedsionek. - Jak to? Ani portiera, ani odźwiernego, ani taksówkarza, ani katarzyniarza, ani żadnego szpiega w zasięgu wzroku. Rozluźnienie. Niedozór. Będzie pan musiał zdać sprawę z tego zaniedbania.
- Słucham?
- Wieczysta czujność jest ceną władzy.
- Nie rozumiem.
- Ja też nie jestem pewien, czy rozumiem. Czy o tej porze są otwarci jacyś fryzjerzy?
- Czy są jacyś... pan pyta...
- Mniejsza z tym. Na pewno jakiegoś znajdę.

Wyszedłem. O dwadzieścia kroków od hotelu zboczyłem do bramy, ;_ośnie gotowy sprać kogoś, kto miałby zamiar iść za mną, ale po paru minutach stało się jasne, że nie ma nikogo takiego. Odszukałem swój samochód, pojechałem do dzielnicy portowej i zaparkowałem wóz o dwie przecznice od Pierwszego Zreformowanego Kościoła Amerykańskiego Stowarzyszenia Hugonotów. Ruszyłem pieszo do kanału.

kanal, obrzeżony tak jak wszędzie wiązami i lipami, był ciemny, brunatny _ i nieruchomy, i nie odbijały się w nim latarnie ze skąpo oświetlonych, wąskich uliczek po obu stronach. W żadnym z budynków nad kanałem nie paliło się światło. Kościół wydawał się bardziej odrapany i nieprzytulny niż kiedykolwiek i było w nim coś dziwnie milczącego, obcego i czujnego, tak jak _ w wielu kościołach nocą. Olbrzymi dźwig ze swym potężnym wysięgnikiem rysował się groźnie na tle nocnego nieba. Nie było tu absolutnie żadnych oznak życia. Brakowało jedynie cmentarza.

ruszyłem przez ulicę, potem wszedłem na schody kościoła i nacisnąłem klamkę drzwi. Były otwarte. Nie było żadnego powodu, by je zamykać, ale jakoś niejasno zdziwiłem się, że tego nie zrobiono. Zawiasy musiały być Dobrze naoliwione, bo drzwi rozwarły się i zamknęły bezgłośnie.

zapaliłem latarkę i obróciłem się raptownie o trzysta sześćdziesiąt stopni. Byłem sam. Przeprowadziłem bardziej metodyczną inspekcję. wewnątrz było niewielkie, nawet mniejsze, niż można by sądzić z zewnątrz, szerniałe i stare, tak stare, iż zauważyłem, że dębowe ławy zostały niegdyś wyciosane toporkami. Uniosłem promień latarki, ale nie było żadnej galerii, tylko małe, zakurzone, witrażowe okna, które nawet w słoneczny dzień musiały wpuszczać minimalną ilość światła. Drzwi frontowe stanowiły jedyne wejście z zewnątrz. Drugie drzwi znajdowały się w przeległym rogu, pomiędzy kazalnicą a staroświeckimi, uruchamianymi miechem organami.

_Podszedłem do owych drzwi, położyłem dłoń na klamce i zgasilem latarkę. Skrzypnęły, ale niegłośnie. Posunąłem się naprzód cicho i ostrożnie, i dobrze uczyniłem, bo stąpnąłem nie na podłogę innego pomieszczenia, ale na pierwszy stopień wiodących w dół schodów. Zeszedłem po _osiemnastu stopniach zataczających pełne koło i ruszyłem dalej ostrożnie, z wyciągniętą ręką, aby namacać drzwi, które, jak sądziłem, musiały

być przede mną. Ale przede mną nie było żadnych drzwi. Zapaliłem latarkę.

pomieszczenie, w którym się znalazłem, było w przybliżeniu o połowę mniejsze od kościoła. Szybko omiotłem je latarką. Nie było tu okien, tylko gołe żarówki u sufitu. Odszukałem przełącznik i przekręciłem go. była jeszcze bardziej poczerniała niż sam kościół. Surową drewnianą podłogę pokrywał brud wdeptywany od niezliczonych lat. Pośrodku stało kilka stolików i krzeseł, a pod dwiema bocznymi ścianami były przegrody,

82 83

bardzo wąskie i bardzo wysokie. Wyglądało to niczym jakaś średniowieczna kawiarnia.

Nozdrza drgnęły mi mimowolnie od dobrze zapamiętanego i niemiłego zapachu. Mógł on dochodzić zewsząd, ale wydało mi się, że dolatuje z rzędu owych budek po mojej prawej ręce. Schowałem latarkę, wyjąłem pistolet z filcowej kabury zawieszzonej pod pachą, wy dobyłem z kieszeni tłumik i wkręciłem go na lufę. Zacząłem się skradać jak kot i nos mój powiedział mi, że zmierzam we właściwym kierunku. Pierwsza budka była pusta. Druga tak samo. A wtedy dosłyszałem odgłos oddychania. Podkra dłem się milimetr za milimetrem, i moje lewe oko oraz lufa pistoletu wychyły w tej samej chwili zza przegrody budki.

Moja ostrożność była zbyt duża. Nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. Na wąskim sosnowym stole znajdowały się dwie rzeczy: popielniczka z wypalonym do końca papierosem i ramiona oraz głowa mężczyzny, który siedział oparty o stół, śpiąc twardo, z twarzą odwróconą ode mnie: Nie musiałem widzieć jego twarzy; wychudłe ciało i wytarte ubranie George'a były łatwe do rozpoznania. Kiedy go widziałem ostatnio, przysięgłbym, że nie będzie w stanie ruszyć się z łóżka przez następne dwadzieścia cztery godziny - czy raczej przysięgłbym, gdyby był normalnym człowiekiem. Ale narkomani w zaawansowanym stadium nałogu są bardzo dalecy od normalności i zdolni do zdumiewających, choć krótkotrwałych nawrotów sił. Zostawiłem go tam, gdzie siedział. Na razie nie stanowił żadnego problemu.

Na końcu pokoju, między dwoma rzędami budek, były drzwi. Otworzyłem je z nieco mniejszą ostrożnością niż poprzednie, wszedłem do środka, odszukałem przełącznik i przekręciłem go.

Ta salka była duża, lecz bardzo wąska, ciągnęła się przez całą długość kościoła, ale nie miała więcej niż trzy metry szerokości. Po obu stronach znajdowały się półki, wszystkie zastawione Bibliami. Nie zdziwiłem się widząc, że owe Biblie są identyczne z tymi, które oglądałem w magazynie Morgensterna i Muggenthalera, i tymi, które Pierwszy Zreformowany Kościół rozdawał tak szcudrobliwie amsterdamskim hotelom. Nie wydało się, abym mógł coś zyskać oglądając je ponownie, ale zatknąłem pistolet za pas i podszedłem przyjrzeć się im nłmo wszystko. Zdjąłem kilka na chybił trafił z pierwszego rzędu na półce i przekartkowałem je; były tak nieszkodliwe, jak tylko mogą być Biblie, to znaczy najnieszkodliwsze w świecie. Sięgnąłem do drugiego rzędu i takie same pobieżne oględziny dały identyczny rezultat. Odsunąłem na bok część drugiego rzędu i wyjąłem Biblię z trzeciego.

Ten egzemplarz mógł być nieszkodliwy lub nie, zależnie od interpretacji przyczyn jego ciężkiego okaleczenia, natomiast w charakterze Biblii jako takiej był kompletnie bezwartościowy, albowiem otwór, który gładko

wydrążono w jego środku, sięgał prawie na całą szerokość książki; był on mniej więcej kształtu i rozmiaru dużej figi. Obejrzałem kilka dalszych Biblii tego samego rzędu; wszystkie miały identyczne wydrążenia w środku, najwyraźniej wykonane maszynowo. Odłożywszy na bok jeden z okaleczonych egzemplarzy, wstawiłem pozostałe z powrotem na miejsce i ruszyłem do drzwi znajdujących się naprzeciwko tych, którymi wszedłem do tego jego pokoju. Otworzyłem je i zapaliłem światło.

Muszę przyznać, że Pierwszy Zreformowany Kościół niewątpliwie uczy-
_ wybitnym powodzeniem wszystko, co mógł, by zastosować się do napomnień dzisiejszego awangardowego duchowieństwa, iż obowiązkiem kościoła jest dotrzymać kroku i uczestniczyć w technologicznej epoce, której żyjemy: Oczywiście można było oczekiwać, że zostaną one wzięte mniej dosłownie, ale nie sprecyzowane apele, kiedy są stosowane w praktyce - zawsze mogą powodować pewne wypaczenia, co najwyraźniej zdarzyło się w tym wypadku; salka ta, która obejmowała prawie połowę ziemi kościoła, była w istocie wspaniale wyposażonym warsztatem

dla mego niefachowego oka było tam absolutnie wszystko - tokarki, irki" prasy, tygle, _ formy, piec, stemplownica oraz stoły, do których _ przymocowane liczne mniejsze maszyny, których przeznaczenie stanowiło dla mnie tajemnicę. Podłogę w jednym końcu pokrywały mosiężne miedziane strużyny, leżące w ciasno skręconych zwojach. W stojącej w kącie skrzyni znajdował się duży, bezładny stos ołowianych rur, najwyraźniej starych, oraz kilka rulonów używanej ołowianej blachy dachowej. Wszystko razem wzięwszy, było to miejsce wysoce funkcjonalne. Wyraźnie przeznaczone na wytwórczość; jednakże trudno było odgadnąć, czym _ są produkty końcowe, ponieważ nigdzie ich nie porozkładano. Byłem w połowie salki, stąpając powoli, gdy ni to wyobraziłem sobie, ni to dosłyszałem jakiś nieuchwytny odgłos dochodzący z pobliza drzwi, którymi dopiero co wszedłem, i znowu doznałem tego niemiłego mrowienia w karku; ktoś się weń wpatrywał, bynajmniej nie w przyjaznych zamiarach, z odległości zaledwie paru kroków.

szedłem dalej spokojnie, co nie jest rzeczą łatwą, kiedy istnieje duża szansa, że następny krok może być poprzedzony kulą kalibru 38 albo czymś równie zabójczym w nasadzie czaszki; mimo to szedłem dalej, bo ócienie się, kiedy ktoś jest uzbrojony jedynie w wydrążoną Biblię, trzymaną w lewej ręce - pistolet miałem nadal za pasem - wydawało się niezawodnym sposobem przyspieszenia mimowolnego naciśnięcia spustu przez czyjś nerwowy palec. Zachowałem się jak dureń, w idiotyczny sposób, za który zbeształbym każdego innego, i wszystko wskazywało na to że zapłacę cenę odpowiednią dla durnia. Otwarte główne drzwi prowadzące do podziemia, swobodny wstęp dla każdego, kto mógłby

84

85

chcieć zajrzeć do środka - to wszystko świadczyło tylko o jednej rzeczy:

o obecności milczącego, uzbrojonego człowieka, którego zadaniem nie było zapobiec wejściu, ale zapobiec odejściu i to w najbardziej nieodwracalny sposób. Zastanowiłem się, gdzie się ukrywał; może na kazalnicy, może za jakimiś bocznymi drzwiami prowadzącymi ze schodów, czego nie zbadałem przez swoje niedbalstwo.

Dotarłem do końca salki, zerknąłem w lewo za ostatnią tokarkę, mruknałem cicho, jakby zaskoczony i pochyliłem się nisko za maszyną. Nie pozostałem w tej pozycji dłużej niż dwie sekundy, bo wydawało się niezbyt celowe odwlekać to, co, jak wiedziałem, było nieuniknione; gdy szybko wysunąłem czubek głowy nad tokarkę, lufa mojego pistoletu z tłumikiem była już na wysokości mego prawego oka.

Był nie dalej niż o piętnaście stóp i stąpał bezgłośnie w pantoflach na gumowych podszewkach - zasuszony mężczyzna o białej jak papier twarzy gryzonia i błyszczących, czarnych jak węgiel oczach. W kierunku zasłaniającej mnie tokarki miał wycelowane coś znacznie gorszego niż pistolet 38; był to bowiem mrozący krew w żyłach obrzynek _ strzelba śrutowa kaliber dwanaście z oberżniętymi lufami i kolbą, bodaj najbardziej morderczo skuteczna broń do walki z bliska, jaką kiedykolwiek wymyślono.

Ujrzałem go i nacisnąłem spust mego pistoletu w tej samej chwili, bo jeśli było coś pewnego, to to, że następna nie będzie mi już dana.

Pośrodku czoła zasuszonego mężczyzny wykwitła czerwona róża. Cofnął się o krok, co było refleksem człowieka już martwego, i zwałił się na podłogę niemal równie bezgłośnie, jak stąpał ku mnie, z obrzynkiem wciąż zaciśniętym w ręce. Przeniosłem wzrok na drzwi, ale jeżeli były jakieś posiłki, to roztropnie się ukrywały. Wyprostowałem się i szybko podszedłem do miejsca, gdzie zmagazynowano Biblie, ale nikogo nie było ani tam, ani w żadnej z budek w sąsiednim pokoju, gdzie George nadal siedział nieprzytomny, rozparty na stole.

Dźwignąłem go nie nazbyt delikatnie z krzesła, przerzuciłem sobie przez ramię, zataszczyłem na górę do właściwego kościoła i bez ceremonii rzuciłem na kazalnicę, gdzie był niewidoczny dla kogoś, kto mógłby przypadkiem zajrzeć głównymi drzwiami, chociaż nie mogłem sobie wyobrazić, dlaczego miałoby komukolwiek przyjść do głowy, by tu zaglądać o tej porze nocy. Otworzyłem główne drzwi i wyjrzałem na zewnątrz, ale ulica nad kanałem była opustoszała w obydwu kierunkach.

W trzy minuty później zajechałem taksówką w pobliże kościoła. Wszedłem do środka; zabrałem George'a, powlokłem go ze schodów i przez ulicę, i wépnąłem na tylne siedzenie wozu. Od razu zleciał z niego na podłogę, ale ponieważ był zapewne bezpieczniejszy w tej pozycji, pozostawiłem go tak, szybko sprawdziłem, czy ktoś się nie interesuje tym, co robię, i zawróciłem do kościoła.

W kieszeniach zabitego nie znalazłem nic poza kilkoma papierosami własnej roboty, co dosyć dobrze harmonizowało z faktem, że był całkiem zaprawiony narkotykami, kiedy szedł za mną z obrzynkiem. Wziąłem tę w lewą rękę, chwyciłem zabitego za kołnierz marynarki - wszelka inna metoda wyciągnięcia go stamtąd miałyby ten skutek, że zakrwawiłbym sobie ubranie, a było ono jedynym zdatnym do użytku, jakie mi pozostało - powlokłem go przez podziemie na schody gasząc za sobą światła i zamykając drzwi.

znowu ostrożny rekonesans u głównych drzwi kościoła, i znowu opustoszała ulica. Powlokłem go za niewielką osłonę, jaką dawała taksówka, i spuściłem do kanału równie bezgłośnie, jak zapewne spuściłby mnie, gdyby nieco sprawniej posłużył się obrzynkiem, który z kolei wrzuciłem za nim do wody. Wróciłem do taksówki i już miałem się za kierownicą, gdy wtem rozwarły się szeroko drzwi domu sąsiadującego z kościołem ukazał się w nich jakiś człowiek, który rozejrzał się niepewnie, po czym ruszył ku miejscu, gdzie stałem.

Był to masywny, tęgi mężczyzna, ubrany w coś, co przypominało obszer- ną nocną koszulę, z narzuconym na wierzch płaszczem kąpielowym. Miał dosyć imponującą głowę, ze wspaniałą grzywą siwych włosów, siwe wąsy, zdrowe, rumiane policzki i w tym momencie wyraz z lekka zaskoczonyj

_ - Czy mogę w czymś pomóc? - Miał głęboki, dźwięczny modulowany głos człowieka, który najwyraźniej przywykł często go słyszeć. - Czy coś się (stało?

- Co miałyby się stać?

-- Zdawało mi się, że słyszałem jakieś odgłosy dochodzące z kościoła.

- Z kościoła? - Teraz ja z kolei zrobiłem zaskoczona minę.

- Tak. Z mojego kościoła. Tam. - Wskazał mi go na wypadek, gdybym nie wiedział, jak wygląda kościół. - Jestem pastorem. Moje nazwisko: Godbody. Doktor Thaddeus Goodbody. Myślałem, że może zakradł się jakiś intruz. . . .

- W każdym razie nie ja, wielbny pastorze. Od lat nie byłem w kościele. Kiwnął głową tak; jakby go to wcale nie zdziwiło.

- Żyjemy w bezbożnych czasach. Dziwna to pora do przebywania na 9teście, młody człowieku:

- Nie dla kierowcy taksówki z nocnej zmiany:

Popatrzył na mnie wcale nie przekonany i zajrzał do taksówki.

- Boże miłosierny! Tu leżą zwłoki na podłodze.

- Na podłodze nie ma żadnych zwłok. Na podłodze leży pijany marynarz; którego odwożę na statek. Zleciał na podłogę przed paroma sekundami, więc zatrzymałem się, żeby go z powrotem posadzić na siedzeniu.

86 87

Uważałem, że to będzie chrześcijański uczynek = dodałem cnotliwie.

- Ze zwłokami nie zadawałbym sobie tego trudu.

To moje odwołanie się do jego profesji nie dało rezultatu. Powiedział tonem, którego zapewne używał do swych zbłąkanych owieczek:

- Chcę sam to sprawdzić.

Naparł twardo na mnie, a ja naparłem twardo na niego. Powiedziałem:

- Proszę nie doprowadzać do tego, żebym stracił prawo jazdy.

- Wiedziałem! Wiedziałem! Jest tu coś bardzo podejrzanego. Więc może pan przeze mnie stracić prawo jazdy?

- Tak. Jeżeli wrzucę księdza pastora do kanału, to je stracę. To znaczy - dodałem po namyśle - o ile uda się księdzu wydrapać z powrotem.

- Co? Do kanału? Mnie? Człowieka bożego? Pan _mi grozi użyciem przemocy?

- Tak.

Dr Goodbody szybko cofnął się o kilka kroków.

- Mam numer pańskiego wozu. Złożę na pana zażalenie...

Noc miała się ku końcowi, a chciałem trochę się przespać przed ranem, więc wsiadłem do samochodu i odjechałem. Pastor wygrażał mi pięścią w sposób nie świadczący zbyt dobrze o jego pojęciu braterskiej miłości i zdawał się wygłaszać jakąś gwałtowną perorę, ale nie mogłem tego dosłyszeć. zastanowiłem się, czy złożyć skargę w policji, i pomyślałem, że są małe szanse, aby to zrobił.

Zaczynało mnie już nużyć dźwiganie George'a po schodach. Chociaż nic prawie nie ważył, ale z uwagi na brak snu oraz kolacji byłem znacznie poniżej zwykłej formy, a poza tym miałem już narkomanów wyżej nosa. Drzwi do małego mieszkania Astrid zastałem otwarte, czego można się było spodziewać, jeżeli George był ostatnią osobą, która nimi wychodziła. Wszedłem, zapaliłem światło, minąłem śpiącą Astrid i złożyłem George'a niezbyt delikatnie na jego łóżku. Przypuszczam, że dziewczynę zbudziło skrzypnięcie materaca, a nie jaskrawe światło pod sufitem; w każdym razie kiedy wróciłem do jej pokoju, siedziała na swoim łóżku-leżance i przecierała oczy, jeszcze otumaniona po śnie. Spojrzałem na nią z wyrazem - mam nadzieję - zamyślenia i nie powiedziałem nic.

- On spał i potem ja też zasnęłam - odezwała się tonem usprawiedliwienia. - Widocznie wstał i znowu wyszedł. = Kiedy przyjąłem to arcydzieło dedukcji w milczeniu, na które zasługiwało, dodała niemal z desperacją: - Nie słyszałam, jak wychodził. Nic nie słyszałam. Gdzie pan go znalazł?

- Na pewno nigdy byś nie zgadła. W garażu, przy katarynce, próbującego ściągnąć z niej pokrowiec. Nie bardzo mu to szło.

Tak jak przedtem tego wieczora, ukryła twarz w dłoniach; tym razem nie płakała, choć pomyślałem posępnie, że jest to tylko sprawa czasu.

Co w tym takiego niepokojącego? - spytałem. - On bardzo się interesuje katarynkami, prawda? Zastanawiam się, dlaczego. To ciekawe, , jest muzykalny?

Nie. To znaczy tak... Od małego...

E, dajże spokój. Gdyby był muzykalny, wolałby słuchać pneumatycznego świdra. Istnieje bardzo prosta przyczyna, że tak przepada za tymi katarynkami. Bardzo prosta - i oboje ją znamy.

spojrzała na mnie, ale nie bez zdziwienia; jej oczy były zmętniałe ze strachu. Ze znużeniem przysiadłem na krawędzi łóżka i ująłem ją za obie dłonie.

Astrid.

Słucham.

Jesteś prawie taką samą skończoną kłamczuchą, jak ja. Nie poszłaś ić George'a, bo doskonale wiedziałaś, gdzie jest, i doskonale wiesz, że _ go znalazłem: w miejscu, gdzie był zdrowy i cały, w miejscu, gdzie policja nigdy by go nie znalazła, bo nie przyszłoby jej na myśl szukać tam kiedykolwiek. - westchnąłem. - Dymek to nie strzykawka, ale pewnie lepszy niż nic.

Spojrzała na mnie ze zmartwiałą twarzą, po czym znowu ukryła ją w :dłoniach. Ramiona zaczęły jej drgać, tak jak przewidywałem. Nie mam

pojęcia, jakie pobudki mną kierowały, ale po prostu nie mogłem tak siedzieć nie wyciągnawszy do niej pokrzepiającej dłoni, a kiedy to uczyniłem, popatrzała na mnie drętwo oczami pełnymi łez, objęła mnie i zaczęła zko szlochać na moim ramieniu. Zaczynałem już przywykać do takiego traktowania w Amstercdamie, ale bynajmniej z nim się nie pogodziłem, ' spróbowałem łagodnie rozluźnić jej ręce, lecz ona tylko tym mocniej zacisnęła. Wiedziałem, że nie ma to nic wspólnego ze mną; w tej chwili potrzebowała do czegoś się przytulić, a ja akurat się znalazłem pod ręką. stopniowo łkanie ucichło i wyciągnęła się na łóżku, z mokrą od łez twarzą, bezbronną i pełną rozpacz.

Jeszcze nie jest za późno, Astrid - powiedziałem.

-- To nieprawda. Pan wie tak samo dobrze jak ja, że było za późno od początku.

-- Dla George'a tak. Ale czy nie rozumiesz, że usiłuję pomóc tobie?

- Jak pan mi może pomóc?

-- Niszcząc ludzi, którzy zniszczyli twój brata. Niszcząc ludzi, którzy niszczą ciebie. Ale potrzebuję pomocy. W końcu wszyscy potrzebujemy pomocy - ty, ja, każdy. Pomóż mi, a ja pomogę tobie. Obiecuję ci, Astrid. Nie powiedziałbym, że rozpacz malująca się na jej twarzy ustąpiła miejsca jakiemuś innemu wyrazowi, ale przynajmniej wydała mi się, trochę mniej bezdena; Astrid kiwnęła głową parę raz __, uśmiechnęła się przez łzy_ i powiedziała:

88 89

- Pan widać jest bardzo sprawny w niszczeniu ludzi.

- Może i ty będziesz musiała być taka - odrzekłem i wręczyłem rewolwerek Liliput, którego skuteczność przeczy jego małemu kalibra

Wyszedłem w dziesięć minut później. Kiedy znalazłem się na ulicy, spostrzegłem dwóch oberwanych mężczyzn, siedzących na schodach bramy domu znajdującego się prawie wprost naprzeciwko i dyskutujących z zapalem, ale niezbyt głośno, wobec czego przełożyłem pistolet do kieszeni i ruszyłem ku nim. Kiedy byłem o dziesięć kroków, skręciłem w bok, ponieważ unoszący się w powietrzu zapach rumu był tak ostry, nasuwał myśl, że nie tyle pili, co świeżo wyleźli z kadzi zawierającej najlepszy gatunek Demerary. Zaczynały mi się zwidywać upiory w każdym migającym cieniu, co oznaczało, że potrzebowałem snu, więc wsiadłem _ do mojej taksówki, wróciłem do hotelu i położyłem się spać.

Rozdział ósmy

Rzecz niezwykła, świeciło słońce, kiedy mój budzik rozdzwonił się następnego rana - czy raczej tego samego rana. Wziąłem prysznic, ogoliłem się, ubrałem, przeszedłem na dół i zjadłem w restauracji śniadanie

z tak pokrzepiającym skutkiem, że byłem w stanie uśmiechnąć się _powiedzieć uprzejmie dzień dobry kolejno zastępcy kierownika, portierowi oraz katarzyniarzowi. Przez parę minut stałem przed hotelem rozglądając się bacznie z miną człowieka, który oczekuje pojawienia się kogoś , kto ma go śledzić, ale widocznie nastąpiło zniechęcenie, bo doszedłem bez niczyjego towarzystwa do miejsca, gdzie ubiegłej nocy pozostawiłem moją policyjną taksówkę. Chociaż przy jasnym świetle dziennym przestałem się wzdrygać na widok każdego cienia, otworzyłem maskę , ale nikt nie umieścił tam w nocy żadnych śmiertcionośnych materiałów wybuchowych, więc odjechałem i przybyłem do komendy Policji na ' straat punktualnie o dziesiątej, zgodnie z obietnicą.

Półkownik de Graaf oczekiwał mnie na ulicy z gotowym nakazem rewizji. Tak samo inspektor van Gelder. Obaj przywitali mnie z uprzejmą powściągliwością ludzi, którzy uważają, że marnują czas, ale są zbyt czni, by to powiedzieć, i zaprowadzili mnie do auta policyjnego z kierowcą, o wiele bardziej luksusowego niż to, które mi przydzielili.

Nadal uważa pan, że nasze odwiedziny u Morgensterna i Muggent- lera są pożądane? - zapytał de Graaf. - I potrzebne?

-_- - Bardziej niż kiedykolwiek.

- - Czy coś się stało, że pan tak sądzi?

- Nic - skłamałem. Dotknąłem głowy. - Czasami coś mnie tknie.

~De Graaf i van Gelder popatrzyli krótko po sobie.

- Tknie? - zapytał de Graaf ostrożnie.

- Miewam przeczucia. ,

:Nastąpiła jeszcze jedna krótka wymiana spojrzeń wyrażająca ich opinię o : pracownikach policji, którzy działają na takiej naukowej podstawie, po czym de Graaf powiedział, roztropnie zmieniając temat:

91

-Mamy ośmiu funkcjonariuszy po cywilnemu, którzy czekają tanl w ciężarówce. Ale pan mówi, że w gruncie rzeczy nie chce pan przeprowadzać rewizji?

- Chcę przeprowadzić rewizję, a jakże - albo raczej chcę stworzyć pozory rewizji. Naprawdę idzie mi o faktury, które dadzą nam listę wszystkich dostawców pamiętek dla magazynu.

- Mam nadzieję, że pan wie, co pan robi - rzekł van Gelder poważnym tonem.

- Pan ma nadzieję? - odparłem. - A jak pan sądzi, co ja czuję?

Żaden z nich nie powiedział, co o tym sądzi, a ponieważ rozmowa przybierała niekorzystny obrót, wszyscy zachowaliśmy milczenie aż do przybycia na miejsce. Zajechaliśmy przed magazyn za niepozorną szarą ciężarówkę, i kiedy wysiedliśmy, wyskoczył z jej szoferki mężczyzna w ciemnym ubraniu i podszedł do nas. Jego cywilny garnitur nie był najlepszym przebraniem; potrafiłbym w nim rozpoznać policjanta na miłę. Powiedział do de Graafa:

- Jesteśmy gotowi, panie pułkowniku.

- Niech pan zbierze swoich ludzi.

- Tak jest. - Policjant wskazał w górę. - Co to ma znaczyć, panie pułkowniku?

Popatrzyliśmy za jego wyciągniętą ręką. Tego rana wiał podmuchami wiatr, niezbyt silny, ale wystarczający, aby powoli, nierównomiernie kołysać ubarwionym wesoło przedmiotem, zawieszonym u belki wyciągowej na szczycie magazynu; przedmiot ten zataczał niewielki łuk i na tym tle był jedną z najbardziej ponurych rzeczy, jakie widziałem.

Była to lalka, bardzo duża lalka prawie metrowej wysokości, oczywiście ubrana w znajomy, niepokalany, pięknie skrojony, tradycyjny strój holenderski, z długą, pasiastą spódnicą falującą kokieteryjnie na wietrze. Zazwyczaj przez bloki wyciągów przewleczone są liny lub druty, ale w tym wypadku ktoś postanowił użyć łańcucha, a lalkę przymocowano do niego za pomocą czegoś, w czym nawet na tej wysokości można było rozpoznać groźnie wyglądający hak, za mało wygięty, by objąć szyję, którą przytrzymywał, tak że widocznie musiano go wbić siłą, bo szyja była wyłamana w bok, a głowa zwisała pod groteskowym kątem, nieomal dotykając prawego ramienia. Była to ostatecznie tylko okaleczona lalka, ale efekt był przerażający i ohydny. I najwyraźniej nie ja jeden tak to odczułem.

- Cóż to za makabryczny widok! - De Graaf był wyraźnie wstrząśnięty.
- Co to ma znaczyć, na imię boskie? Jaki... jest, tego cel, co się za tym kryje? Jakież chory umysł mógł wymyślić taką... ohydę?

Van Gelder potrząsnął głową. - Chore umysły są wszędzie, a Amsterdam ma ich pod dostatkiem. Porzucona kochanka, znienawidzona teściowa... _

- Tak, jest ich legion. Ale to... to jest tak anormalne, że prawie obłąkane. żeby wyrażać swoje uczucia w taki okropny sposób... - Popatrzał na mnie dziwnie, tak jakby zmienił zdanie co do celowości naszych odwiedzin.
panie majorze, czy nie odnosi pan wrażenia, że to jest bardzo dziwne?

- Odnoszę takie samo wrażenie jak pan. Ten, kto to zrobił, ma murowane podstawy do otrzymania pierwszego wolnego miejsca w szpitalu dla umysłowo chorych. Ale ja nie dlatego tu przyjechałem.

-- Oczywiście, oczywiście. - De Graaf jeszcze raz popatrzył długo na dyndającą lalkę, jak gdyby nie mógł się zmusić do oderwania od niej wzroku, po czym dał znak raptownym ruchem głowy i pierwszy wszedł na schodki prowadzące do magazynu. Odźwiérny zaprowadził nas na piętro, potem do pokoju biurowego w rogu, którego drzwi z zamkiem zegarowym, nie tak jak ostatnim razem, kiedy je widziałem, były teraz gościnnie otwarte.

Pokój biurowy stanowił ostry kontrast z samym magazynem, był przestronny, nie zagracony, nowoczesny i komfortowy, z pięknym dywanem draperiami w różnych odcieniach bursztynowego koloru, oraz wyposażony w kosztowne, najnowsze meble skandynawskie, nadające się bardziej do luksusowego salonu niż do biura w dzielnicy portowej. Dwaj mężczyźni, _ , którzy siedzieli w głębokich fotelach za osobnymi, dużymi, krytymi _ rą biurkami, powstali uprzejmie i wskazali de Graafowi, van Gelderowi i mnie inne, równie wygodne fotele, a sami stanęli przed nami. Byłem rad z tego, bo mogłem lepiej im się przypatrzeć, a obaj byli na swój sposób bardzo do siebie podobni i warci obejrzenia. jednakże nie napawałem się _ ciepłym, promiennym przyjęciem dłużej niż kilka sekund. Powiedzia-

łem do de Graafa:

_=- Zapomniałem o bardzo ważnej rzeczy. Muszę koniecznie zobaczyć się natychmiast z pewnym moim znajomym.

_a_c było w istocie; nieczęsto doznaję tego mrozącego, ołowianego kłucia w żołądku, ale kiedy to następuje, muszę podjąć akcję zapobiegawczą _ bez najmniejszej zwłoki.

_De Graaf zrobił zdziwioną minę.

_ - Sprawa tak ważna mogła wymknąć się panu z pamięci?

~ Mam inne rzeczy na głowie. A to mi się przypomniało właśnie w tej chwili. - Co było prawdą.

-- Może pan zatelefonuje...

-- Nie, nie. Muszę załatwić to osobiście.

_ - Czy nie mógłby pan mi wyjaśnić...

- Panie pułkowniku!

Szybko kiwnął ze zrozumieniem głową doceniając fakt, że nie mógłbym ujawniać tajemnic państwowych w obecności właścicieli magazynu, co do którego miałem poważne zastrzeżenia.

92

93

- Gdybym mógł pożyczyć pański samochód i kierowcę.

- Oczywiście - odrzekł bez entuzjazmu.

- I gdyby pan mógł zaczekać, aż wrócę...

- Pan wiele żąda, majorze.

- Wiem. Ale to potrwa tylko parę minut.

Tak też było. Kazałem kierowcy zatrzymać się przed pierwszą kawiarnią po drodze, wszedłem do środka i zatelefonowałem z miejscowego automatu. Usłyszałem sygnał i poczułem, że ramiona rozprężają mi się z ulgi, kiedy po przełączeniu przez centralę hotelową prawie natychmiast podniesiono słuchawkę.

- Maggie? - spytałem.

- Dzień dobry, panie _majorze. - Zawsze uprzejma, zawsze formalistka, i nigdy nie byłem bardziej rad, że taką ją słyszę.

- Cieszę się, że Cię złapałem. Bałem się, że może już wyszłyście z Belindą - ona nie wyszła, prawda? - Znacznie bardziej bałem się kilku innych rzeczy, ale nie była pora; żeby jej o tym mówić.

- Jest tutaj - powiedziała Maggie spokojnie.

-Macie obydwie natychmiast opuścić hotel. Kiedy mówię "natychmiast", mam na myśli dziesięć minut. Pięć, jeżeli to możliwe.

- Opuścić? To znaczy...

- To znaczy spakować się, zapłacić i więcej nie pokazywać się w jego pobliżu. Przenieście się do innego hotelu. Któregokolwiek...: Nie, ty nie-szczęсна idiotko, nie do mojego. Do odpowiedniego hotelu. Bierzcie tyle taksówek, ile wam się spodoba, ale _upewnijcie się, że nikt za wami nie jedzie: Przetelefonujcie swój numer do biura pułkownika de Graafa na Marnirstraat. Podajcie numer na wspak.

- Na wspak? - Maggie była zgorzonna. - To znaczy, że pan nie ufa także i policji?

- Nie wiem, co rozumiesz przez "także", ale nie ufam nikomu, kropka. Kiedy się zameldujecie w hotelu, idźcie odszukać Astrid Lemay. Będzie u siebie - adres macie - albo w "Balinova". Powiedzcie jej, że ma zamieszkać w waszym hotelu, dopóki nie dam jej znać, że może bezpiecznie wrócić.

- Ale jej brat...

- George może zostać na miejscu. Nic mu nie grozi. - Później nie mogłem sobie przypomnieć, czy to oświadczenie było szóstym czy siódmym błędem, który popełniłem w Amsterdamie. - A ona jest zagrożona. Jeżeli będzie miała opory, powiedzcie jej, że z mojego polecenia idziecie na policję w sprawie George'a.

- Ale dlaczego miałybyśmy iść na policję?

- Nie ma powodu. ale ona nie powinna o tym wiedzieć. Jest taka przerażona, że na samo słowo "policja". .

- To jest po prostu okrutne - przerwała mi Maggie surowo.

- Bzdury! - krzyknąłem i z trzaskiem odłożyłem słuchawkę.

W minutę później byłem z powrotem w magazynie i tym razem miałem czas przyjrzeć się bliżej i dłużej jego właścicielom. Obaj byli, nieomal karykaturami tego, jak-cudzoziemiec wyobraża sobie typowego amsterdamczyka. Bardzo masywni, bardzo tłuści, rumiani, mieli obwisłe policzki,

ich twarze podczas naszego pierwszego krótkiego spotkania wyrażały wszystkimi swymi głębokimi fałdami życzliwość i jowialność, którego to wyrazu zdecydowanie im teraz brakowało. Widocznie de Graaf, zniecierpliwiony moją wprawdzie tak krótką nieobecnością, rozpoczął czynności bez mnie. Nie zrobiłem mu z tego powodu wyrzutu, a on ze swojej strony miał na tyle taktu, aby nie spytać, jak mi poszło. Natomiast Muggenthaler orgenstern nadal stali nieomal w identycznej pozycji, w jakiej ich zostawiłem, spoglądając po sobie z konsternacją, przestachem oraz kompletnym brakiem zrozumienia. Muggenthaler, który trzymał jakiś papier w ręce, opuścił ją gestem człowieka nie wierzącego własnym oczom.

Nakaz rewizji: - Nuta patosu, desperacji i tragizmu wzruszyłaby do głębi nawet posąg; gdyby ten człowiek był o połowę szczuplejszy, byłby stworzony na Hamleta. - Nakaz rewizji w firmie Morgenstern i Muggenthaler! Od stu pięćdziesięciu lat obie nasze rodziny były szanowanymi, ba, onymi kupcami w Amsterdamie. A teraz coś takiego! - Sięgnął ręką za siebie i osunął się na fotel jakby w otumanieniu, a papier wypadł mu _.

- Nakaz rewizji!

_ Nakaz rewizji! - zaintonował Morgenstern. On także musiał poszukać sobie fotela. - Nakaz rewizji, Ernst. Czarny to dzień dla naszej firmy! Boże! Co za wstyd! Co za hańba! Nakaz rewizji!

uggenthaler uczynił zdesperowany, apatyczny ruch ręką.

Proszę, rewidujcie panowie wszystko, co chcecie.

Czy pan nie chce wiedzieć, czego szukamy? - zapytał de Graaf

- Dlaczego miałbym chcieć to wiedzieć? - Muggenthaler popróbowwał przez chwilę wzbudzić w sobie oburzenie, ale był nazbyt zdruzgotany. - Od pięćdziesięciu lat. . .

- Ależ panowie - powiedział uspokajająco de Graaf - nie bierzcie

tego _ tak tragicznie. Rozumiem wstrząs, jaki musicie odczuwać, i osobiście przypuszczam, że szukamy czegoś nie istniejącego. ale zwrócono się do mnie oficjalnie w tej sprawie i musimy dokonać oficjalnych czynności. Mamy informacje, że panowie posiadacie diamenty uzyskane w sposób niedozwolony. . . .

Diamenty! - Muggenthaler popatrzył z niedowierzaniem na swego współnika. - Słyszysz, Janie? Diamenty! - potrząsnął głową i powiedział do de Graafa: - Jeżeli pan jakieś znajdzie, niech pan mi da kilka, dobrze?

94 95

De Graaf nie przejął się tym posepnym sarkazmem.

- I co dużo ważniejsze, maszyny do szlifowania diamentów.

- Mamy wszystko zastawione od podłogi po sufit maszynami do szlifowania diamentów - powiedział Morgenstern ociężale. - Przekonajcie się sami

- A księgi faktur?

- Co chcecie, co tylko chcecie - odparł ze znużeniem Muggenthaler.

- Dziękuję panom za gotowość do współdziałania. - De Graaf skinął głową na van Geldera, który wstał i wyszedł z pokoju. De Graaf mówił dalej poufnie: - Z góry przepraszam za to, co na pewno okaże się kompletną stratą czasu. Szczerze mówiąc, bardziej mnie interesuje to okropieństwo dyndające na łańcuchu u waszego wyciągu. Lalka.

- Co? - zapytał Muggenthaler.

- Lalka. Duża lalka.

- Lalka na łańcuchu? - Muggenthaler miał minę zarazem otapiałą i przerażoną, co nie jest łatwe do osiągnięcia. - Na naszym magazynie?

Nie byłoby całkiem ściśle powiedzieć, że pognaliśmy po schodach na górę, bo Morgenstern i Muggenthaler nie mieli po temu odpowiedniej budowy, ale jednak uzyskaliśmy wcale niezły czas. Na drugim piętrze zastaliśmy van Geldera i jego ludzi przy pracy i na polecenie de Graafa van Gelder przyłączył się do nas. Miałem nadzieję, że jego ludzie nie przemęczą się szukaniem, bo wiedziałem, że nic nie znajdą. Nie natkną się nawet na zapach haszyszu, który unosił się tak gęsto na tym piętrze ubiegłej nocy, aczkolwiek uważałem, że mdławo-słodką woń jakiegoś silnego, kwiatowego preparatu do odświeżania powietrza, która go zastąpiła, trudno było uznać za przyjemniejszą. Jednakże nie była pora wspominać o tym kómukolwiek.

Lalka, obrócona do nas plecami, z głową zwisającą na prawe ramię, nadal kołysała się łagodnie na wietrze. Muggenthaler, przytrzymywany przez Morgensterna i najwyraźniej niezbyt zachwycony tą niebezpieczną pozycją, sięgnął ostrożnie ręką, pochwycił łańcuch tuż ponad hakiem i przyciągnął go na tyle, aby nie bez znacznych trudności odczepić zeń lalkę. Trzymał ją w ramionach i wpatrywał się w nią długą chwilę, po czym potrząsnął głową i spojrział na Morgensterna.

- Janie, ten, kto zrobił tę paskudną rzecz, ten wstrętny, wstrętny żart... zostanie usunięty z naszej firmy jeszcze dzisiaj.

- W ciągu godziny - poprawił go Morgenstern. Twarz wykrzywiła mu się z odrazy, nie na widok lalki, ale tego, co jej zrobiono. - I to taka piękna lalka!

Morgenstern bynajmniej nie przesadzał. Lalka była istotnie piękna, i to nie tylko, ani nawet nie w pierwszym rzędzie, z uwagi na ślicznie skrojony i dopasowany stanik i spódnicę. Mimo że szyja została złamana i okrutnie

_zorana hakiem, twarz była uderzająco piękna - dzieło wielkiej artystycznej wartości, w którym kolory ciemnych włosów, oczu i cery harmonizowały subtelnie ze sobą, a delikatne rysy wymodelowano tak wybornie, iż trudno było uwierzyć, że jest to twarz lalki, a nie ludzkiej istoty mającej własne życie i wyraźną indywidualność. I nie byłem jedynym, który tak uważał.

De Graaf wziął lalkę z rąk Muggenthalera i przypatrzył się jej.

-- Piękna - szepnął. - Jaka piękna! I jaka prawdziwa, jaka żywa! przecież ona żyje. - Spojrzał na Muggenthalera. - Czy pan się domyśla, kto _zrobił tę lalkę?

- Nigdy takiej nie widziałem. To na pewno nie jest jedna z naszych, ale trzeba zapytać majstra. Jednak wiem, że nie jest nasza.

- I ten prześliczny koloryt - powiedział de Graaf w zamyśleniu. - Tak dobrze dobrany do twarzy, tak nieomylnie. Nikt nie mógłby tego stworzyć na pamięć. Z całą pewnością musiał mieć żywy model, kogoś, kogo znał. _uważa pan, inspektorze?

- Nie można by zrobić tego inaczej - odrzekł krótko van Gelder.

- Mam jakby wrażenie, że już gdzieś widziałem tę twarz - ciągnął de Graaf. - Czy któryś z panów widział podobną dziewczynę?

Wszyscy z wolna potrząsnęliśmy głowami, a nikt nie uczynił tego wolniej ode mnie. Tamto ołowiane uczucie w żołądku znowu powróciło, ale tym razem ołów był pokryty grubą warstwą lodu. Lalka bowiem nie tylko odznaczała się przeraźliwie uderzającym podobieństwem do Astrid Lemay; stanowiła tak wierny jej wizerunek, że po prostu była to Astrid Lemay.

W piętnaście minut później, kiedy gruntowna rewizja przeprowadzona w magazynie dała, tak jak można było przewidzieć, całkowiCie negatywny skutek, de Graaf pożegnał się z Muggenthalerem i Morgensternem na rodach magazynu w obecności van Geldera i mojej. Muggenthaler promieniał, a Morgenstern stał obok niego uśmiechając się z protekcyjną satysfakcją. De Graaf serdecznie uściskał im kolejno dłonie. -Raz jeszcze tysiącrotnie przepraszam. - De Graaf był nieomal wylewny. - Nasze informacje były mniej więcej tak samo ścisłe jak zwykle. Wszystkie notatki dotyczące tej wizyty będą usunięte z akt. Uśmiechnął się szeroko. - Faktury zostaną panom zwrócone, gdy tylko zainteresowane osoby przekonają się, że nie zdołały tam znaleźć tych wszystkich nielegalnych dostawców diamentów, których się spodziewały Do widzenia panom.

_an Gelder i ja pożegnaliśmy się z kolei, ja zaś specjalnie serdecznie uściskałem dłoń Morgensternowi i pomyślałem sobie, iż dobrze się składa, że najwyraźniej brakuje mu umiejętności czytania w myślach i że niestety

przyszedł na ten świat bez mojej wrodzonej zdolności wyczuwania, kiedy śmierć i niebezpieczeństwo są bliskie - albowiem to właśnie Morgenstern był ubiegłej nocy w "Balinova" i pierwszy opuścił lokal, gdy Maggie i Belinda wyszły na ulicę.

Drogę powrotną na Marnirstraat odbyliśmy w częściowym milczeniu, przez co chcę powiedzieć, że de Graaf i van Gelder rozmawiali swobodnie, natomiast ja nie. Zdawali się o wiele bardziej interesować osobliwym, incydentem z okaleczoną lalką niż domniemanym powodem naszych odwiedzin w magazynie, co zapewne całkiem jasno świadczyło, jakie jest ich zdanie o owym powodzie, a ponieważ nie miałem ochoty przerywać im, aby powiedzieć, że rozumują słusznie, więc milczałem.

Po powrocie do biura de Graaf zapytał:

- Może kawy? Mamy tu dziewczynę, która robi najlepszą kawę w Amsterdamie.

- Tę przyjemność będę musiał odłożyć na później. Niestety zanadto się spieszę.

- Ma pan jakieś plany Czy jakąś linię działania?

- Bynajmniej. Chcę się położyć na łóżku i pomyśleć.

- To w takim razie, dlaczego...

- Dlaczego tu przyjechałem? Dwie małe prośby. Proszę dowiedzieć się, czy nie było do mnie telefonu.

- Telefonu?

- Od tej osoby, z którą musiałem się zobaczyć, kiedy byliśmy w magazynie. - Zaczynałem już nie odróżniać, kiedy mówiłem prawdę, a kiedy kłamałem.

De Graaf kiwnął głową, podniósł słuchawkę, porozmawiał chwilę, wypisał długą listę liter i cyfr i wręczył mi kartkę. Litery nie miały znaczenia, cyfry po odwróceniu ich kolejności byłyby nowym numerem telefonu obu dziewczyn. Schowałem kartkę do kieszeni.

- Dziękuję panu. Muszę to rozszyfrować. _

- A druga mała prośba?

- Czy mógłby pan pożyczyć mi lornetkę?

- Lornetkę?

- Chcę się zabawić w obserwowanie ptaków - wyjaśniłem.

- Oczywiście - odrzekł ociężałe van Gelder. - Pan zapewne pamięta, że mamy ściśle współpracować ze sobą?

- No więc?

- Nie jest pan, jeżeli wolno mi tak powiedzieć, zbyt komunikatywny.

- Skomunikuję się z panami, kiedy będę miał coś wartego zakomunikowania. Proszę nie zapominać, że panowie pracujecie nad tym od przeszło roku. Ja jestem tutaj od niespełna dwóch dni. Jak powiadam, muszę iść się położyć i pomyśleć.

Nie poszedłem położyć się i pomyśleć. Zajechałem przed budkę telefoniczną, znajdującą się moim zdaniem w rozsądnej odległości od komendy policji, i wykręciłem numer podany mi przez de Graafa.

_ Hotel "Touring" - odezwał się głos na drugim końcu linii.

Znałem ten hotel, ale nigdy nie byłem w środku; nie był hotelem tego rodzaju, który pasowałby do mojego konta wydatkowego, natomiast takim, który wybrałbym dla obu dziewczyn. Powiedziałem:

-Moje nazwisko Sherman. Paul Sherman. Zdaje się, że dziś rano zameldowały się u was dwie młode panie. Czy mógłbym z nimi mówić?

- Bardzo żałuję, ale nie ma ich w tej chwili.

,To nie było niepokojące; jeżeli nie wyszły odnaleźć czy też spróbować znaleźć Astrid Lemay, to zapewne wykonywały polecenia, które im dałem rano. Głos w telefonie uprzedził moje pytanie:

- Zostawiły dla pana wiadomość. Mam panu powtórzyć, że nie udało im się _ odszukać państwa wspólnej znajomej i że teraz szukają innych znajomych: Obawiam się, że to jest trochę niejasne, proszę pana.

Podziękowałem mu i odłożyłem słuchawkę. "Pomóż mi - powiedziałem Astrid - a ja pomogę tobie". Zaczynało się wydawać, że istotnie jej pomagałem - pomagałem dostać się do najbliższego kanału albo do _zmny. Wskoczyłem do policyjnej taksówki i narobiłem sobie mnóstwo wrogów podczas krótkiej jazdy do skromnej dzielnicy, sąsiadującej z Rem-Drzwi mieszkania Astrid były zamknięte, ale miałem nadal na sobie mój portfel z nielegalnymi wyrobami żelaznymi. Mieszkanie wyglądało tak samo jak wówczas, gdy zobaczyłem je po raz pierwszy: było schludne, czyste ubogie. Nie było żadnych oznak przemocy ani odejścia w pośpiechu. zajrzałem do nielicznych szuflad i szafek, jakie się tam znajdowały, i odniosłem wrażenie, że jednak są bardzo ogołoczone z odzieży. Ale Astrid napomknęła, że oboje są bardzo niezamożni, więc to zapewne nie miało żadnego znaczenia. Przetrzęsnałem całe mieszkanko w poszukiwaniu miejsca _, gdzie mogłaby być pozostawiona jakaś wiadomość, ale jeżeli była, to nie zdołałem jej znaleźć, i zresztą nie sądziłem, żeby istniała. Zamknąłem drzwi na klucz i pojechałem do "Balinova".

Jak na nocny lokal, była to wysoce nieodpowiednia poranna godzina, to też, jak należało przewidywać, drzwi zastałem zamknięte. Drzwi owe były mocne i nie naruszało ich dobijanie się oraz kopanie, którym je poddałem. Na szczęście nie można było tego powiedzieć o osobie znajdującej się wewnątrz, której drzemkę snadź przerwałem w sposób tak _tujący, bo klucz obrócił się w zamku i drzwi uchylły się odrobinę. wcisnąłem stopę w ową szparę i poszerzyłem ją nieco, na tyle, by ujrzeć głowę i ramiona wypłowiałej blondynki, która skromnie przytrzymywała szlafrok wysoko pod szyją. Zważywszy, że ostatnio widziałem

98 99

ją przystrojoną jedynie w cieniutką warstwę przezroczystych baniek mydlanych, uznałem to za lekką przesadę.

- Chciałbym zobaczyć się z kierownikiem.

- Otwieramy dopiero o szóstej.

- Nie chcę rezerwować stolika. I nie szukam pracy. Chcę zobaczyć się z kierownikiem. Zaraz.

- Nie ma go.

- Ach tak. Mam nadzieję, że pani następna posada będzie równie dobra jak ta.

- Nie rozumiem. - Nic dziwnego, że wczorajszej nocy oświetlenie w "Balinova" było takie przyćmione, bo w dziennym świetle ta uróżowana twarz wymiotłaby ludzi z lokalu równie skutecznie jak wiadomość że jeden z klientów ma dżumę. - Co to znaczy: moja posada?

Zniżyłem głos, co należy robić, kiedy się mówi z solenną powagą.

-Po prostu to, że pani ją straci, jeżeli kierownik się dowie, że przyszedłem w niezmiernie pilnej sprawie, a pani nie pozwoliła mi zobaczyć się z nim.

Popatrzyła na mnie niepewnie, a potem powiedziała: - Proszę zaczekać.

- Popróbowała zamknąć drzwi, ale byłem znacznie silniejszy od niej, więc po chwili dała za wygraną i odeszła. Wróciła po trzydziestu sekundach w towarzystwie mężczyzny jeszcze ubranego w strój wieczorowy.

Nie przypadł mi wcale do gustu. Podobnie jak większość ludzi, nie lubię węzów, a właśnie to mi nieodparcie przypominał. Był bardzo wysoki, bardzo chudy i poruszał się z węzową gracją. Zniewieściale elegancki i wymuskany odznaczał się niezdrową bladością nocnego stworu. Twarz miał alabastrową, rysy gładkie, wargi prawie niedostrzegalne, a włosy, rozczesane pośrodku na przedziałek, przylepione płasko do głowy. Jego smoking był elegancko skrojony, ale ten człowiek nie miał tak dobrego krawca jak ja; _wypukłość pod lewą pachą była wyraźnie dostrzegalna. Trzymał cygarniczkę z nefrytu w chudej, białej, pięknie wymanikiuowanej dłoni, a jego twarz miała wyraz spokojnie wzgardliwego rozbawienia, który prawdopodobnie stale się na niej malował. Sam fakt, że na kogoś popatrzył, był wystarczającym powodem, by mu dać w zęby. Wydmuchał w powietrze cienką smużkę papierosowego dymu.

= O co chodzi, drogi panie? - Wyglądał na Francuza czy Włocha, ale nim nie był; był Anglikiem. - Nasz lokal jeszcze nie jest otwarty.

- Teraz już jest - stwierdziłem. - Pan jest kierownikiem?

- Jestem jego przedstawicielem. Jeżeli pan zechce zjawić się później...

- wydmuchał w powietrze jeszcze trochę tego nieprzyjemnego dymu

. . .znacznie później, to wtedy zobaczymy. . .

- Jestem adwokatem z Anglii i mam pilną sprawę. - Wręczyłem mu bilet wizytowy stwierdzający, że jestem adwokatem z Anglii. = Jest rzeczą

100

dużej wagi, żebym natychmiast zobaczył się z kierownikiem. Idzie duże pieniądze.

Jeżeli taki wyraz, jaki miał na twarzy, może zmięknąć, to właśnie tak się stało, choć trzeba było mieć bystre oko, by dostrzec różnicę.

- Niczego nie obiecuję, panie Harrison. - To było nazwisko na bilecie wizytowym. - Możliwe, że pan Durrell da się nakłonić do zobaczenia się z panem.

Odszedł, jak tancerz z baletu w swój wolny dzień, i wrócił po chwili. skinął głową i usunął się na bok; przepuszczając mnie przed sobą _ obszerny i słabo oświetlony korytarz, który to układ nie przypadł mi do gustu, ale musiałem się z nim pogodzić. Na końcu korytarza były drzwi prowadzące do jasno oświetlonego pokoju, ponieważ zaś najwyraźniej było zamierzone, żebym tam wszedł bez pukania, więc tak też uczyniłem. wchodząc zauważyłem, że owe drzwi były takiego typu, jaki dyrektor skarbcza Banku Angielskiego - jeżeli taki osobnik istnieje - odrzuciłby, jako przekraczające jego wymagania.

Wnętrze pokój też mocno przypominało skarbiec. W jednej ze ścian były dwa sejfy; dostatecznie duże, aby pomieścić człowieka. Druga ściana

była przeznaczona na rząd zamykanych metalowych szafek, takich jak szafki do przechowywania bagażu, które znajdują się na dworcach kolejowych. Pozostałe dwie ściany prawdopodobnie nie miały okien, ale nie można było mieć pewności, gdyż zasłaniały je całkowicie karmazynowe fioletowe draperie. _

Mężczyzna siedzący za dużym mahoniowym biurkiem nie wyglądał wcale na dyrektora banku, w każdym razie nie na bankiera angielskiego, który z reguły ma zdrowy wygląd człowieka przebywającego dużo na powietrzu dzięki swojemu zamiłowaniu do golfa oraz krótkim godzinom spędzonym przy biurku. Ten człowiek był wyblady, miał z osiemdziesiąt rntów nadwagi, tłuste czarne włosy, nalaną twarz i stale przekrwione, błtawe oczy. Ubrany był w granatowy alpakowy garnitur, na obu dłoniach miał wielką różnorodność pierścieni, a na twarzy powitalny uśmiech, który zgoła do niego nie pasował.

- Pan Harrison? - Nie próbował się podnieść; prawdopodobnie doświadczenie przekonało go, że nie warto zdobywać się na taki wysiłek.

_ Miło mi pana poznać. Jestem Durrell.

Może i był nim, ale nie pod tym nazwiskiem się urodził; pomyślałem, że musi być Ormianinem, lecz nie miałem pewności. Jednakże przywitałem się z nim tak uprzejmie, jakby naprawdę nazywał się Durrell.

- Ma pan do omówienia ze mną jakąś sprawę? - rozpromienił się. Pan lurreß był przebiegły i wiedział, że adwokaci nie przyjeżdżają aż z Anglii nie mając do omówienia spraw wielkiej wagi, z reguły natury finansowej.

- Ano, właściwie nie z panem. Z jedną z osób, które pan zatrudnia.

101

Powitalny uśmiech poszedł do zamrażalni.

- Z osobą, którą zatrudniam?

- To dlaczego pan zwraca się do mnie?

- Bo nie zastałem tej osoby pod jej adresem domowym. Podobno pracuje tutaj.

- Kto to jest?

- Nazywa się Astrid.Lemay.

- Zaraz, zaraz. - Nagle stał się rozsądniejszy, tak jakby chciał mi pomóc.

Astrid Lema_ Pracuje tutaj? - Zmarszczył brwi w zamyśleniu. - Oczywiście mamy tu wiele dziewczyn, ale to nazwisko? - Potrzęsnał głową.

- Mówili mi o tym jej znajomi - zaprotestowałem.

- To jakaś pomyłka. Marcel?

Wężowy człowiek uśmiechnął się pogardliwie.

- Nie ma tu nikogo o tym nazwisku.

- I nigdy tu nie pracowała?

Marcel wzruszył ramionami; podszedł do jednej z szafek, wyjął teczkę, położył ją na biurku i skinął na mnie.

- Tu są wszystkie dziewczyny, które u nas pracują albo pracowały w ubiegłym roku. Niech pan sam sprawdzi.

Nie zadałem sobie tego trudu. - Źle mnie poinformowano. Przepraszam, że panów niepokoiłem.

- Może pan by sprawdził w którymś innym nocnym lokalu. - Durrell,

w sposób typowy dla potentatów, już coś notował na kartce papieru, aby dać do zrozumienia, że rozmowa jest zakończona. - Do widzenia panu.

Marcel już podszedł do drzwi. Ruszyłem za nim, ale po drodze obróciłem się i uśmiechnąłem przeprasząco.

- Naprawdę mi przykro...

- Do widzenia. ,

Nie zadał sobie nawet tyle trudu, by podnieść głowę. Znowu uśmiechnąłem się niepewnie, po czym grzecznie zamknąłem za sobą drzwi.

Wyglądały na solidne, dźwiękoszczelne.

Marcel, stojąc w korytarzu, obdarzył mnie znowu swoim ciepłym uśmiechem i nawet nie racząc przemówić, dał mi wzgardliwie znak, że mam iść przed nim korytarzem. Skinąłem głową i przechodząc trzasnąłem go w brzuch ze sporą satysfakcją i dużą siłą, i chociaż wiedziałem, że to wystarczy, uderzyłem go powtórnie, tym razem z boku w szyję. Wy dobyłem pistolet, zamocowałem tłumik, chwyciłem leżącego Marcela za kołnierz marynarki, powlokłem go ku drzwiom gabinetu i otworzyłem je ręką, w której trzymałem pistolet.

Durrell spojrział znad biurka. Oczy rozszerzyły mu się, tak jak mogą rozszerzyć się oczy, kiedy są niemal zagrzebane w fałdach tłuszczu.

A potem twarz mu znieruchomiała, tak jak nieruchomieją twarze, których właściciele pragną ukryć swe myśli czy zamiary.

- Nie rób pan tego - powiedziałem. - Nie rób pan żadnej z tych typowych cwanych rzeczy. Nie naciskaj pan żadnego guzika ani przełączników w podłodze, i nie bądź pan taki naiwny, żeby sięgnąć za broń, którą za pewne pan ma w górnej prawej szufladzie, jako że jest pan praworęki.

Nie uczynił żadnej z typowych cwanych rzeczy.

- Odsuń swój fotel o dwa kroki. Opuściłem Marcela na podłogę, sięgnąłem za siebie, zamknąłem drzwi, przekręciłem w zamku bardzo wymyślny klucz, schowałem go do kieszeni i powiedziałem:

_ Wstań pan.

:W Durrell wstał. Nie miał wiele więcej niż pięć stóp wzrostu. Budową bardzo przypominał ropuchę. Wskazałem głową bliższy z dwóch dużych sejfów.

- Otwórz pan go.

- Więc o to idzie! - Umiał dobrze manipulować swoją twarzą, ale nie dobrze głosem. Nie potrafił wyeliminować z niego tej małej nutki ulgi.

Rabunek, panié Harrison.

_ - Chodź pan tu - powiedziałem. - Podszedł. - Wie pan, kim jestem?

- Kim pan jest? - Wyraz zaskoczenia. - Przed chwilą pan mówił...

- Że nazywam się Harrison. Kim jestem?

- Nie rozumiem.

Wrzasnął z bólu i dotknął palcami już krwawiącego obrzmienia, które zostawił tłumik mojego pistoletu.

- Kto ja jestem?

_ = - Sherman. - Nienawiść w oczach i chrapliwym głosem. - Interpol._

- Otwieraj ten sejf.

- Niemożliwe. Mam tylko połowę kombinacji. Marcel ma...

Następny wrzask był głośniejszy, a obrzmienie na drugim policzku odpowiednio większe.

- Otwieraj.

Wykręcił cyfry i otworzył drzwi. Wnętrze sejfu miało około 30 cali kwadratowych, rozmiar wystarczający, aby pomieścić bardzo dużo guldenów, ale jeżeli wszystkie opowieści o "Balinova" były prawdziwe owe szeptane potajemnie gadki o salonach gry i znacznie bardziej interesujących przedstawieniach w suterenie, oraz o bogatym asortymencie artykułów, nie znajdujących zazwyczaj w normalnych sklepach detalicznych - to rozmiar ten był zapewne niezbyt wystarczający.

- Wskazałem głową Marcela.

- Ten dziubdziuś. Wsadź go do środka.

- Do środka? - Miał przerażoną minę.

- Nie chcę, żeby przyszedł do siebie i przerwał naszą dyskusję.

- Dyskusję?

102 103

- Jazda.

- Udusi się. Wystarczy dziesięć minut i...

- Jeżeli będę musiał jeszcze raz prosić, to przedtem wsadzę ci kulę w rzępkę kolanową, tak że nigdy więcej nie będziesz chodził bez laski.

Wierzysz mi?

Wierzył mi. Jeżeli nie jest się kompletnym głupcem, a Durreß nim nie był, zawsze można poznać, kiedy ktoś mówi serio. Wsadził Marcela do środka, co było zapewne najcięższym kawałkiem roboty, jaki wykonał od lat, bo musiał całkiem sporo zginać się i popychać, aby tak umieścić Marcela na małej podłodze sejfu, żeby drzwi dały się zamknąć. Wreszcie się zamknęły.

Obszukałem Durrella. Nie miał przy sobie żadnej niebezpiecznej broni. Natomiast, tak jak można było przewidzieć, w prawej szufladzie biurka znalazłem duży pistolet automatyczny nie znanego mi typu, co nie było niczym niezwykłym, ponieważ nie jestem zbyt biegły, jeżeli idzie o broń, z wyjątkiem celowania z niej i strzelania.

- Astrid Lemay - powiedziałem. - Ona tutaj pracuje?

- Pracuje.

- Gdzie teraz jest?

- Nie wiem. Bóg świadkiem, że nie wiem. - Te słowa były prawie krzykiem, bo znowu podniosłem pistolet.

- Możesz się pan dowiedzieć?

- Jakim sposobem?

- Pańska niewiedza i małomówność przynoszą panu zaszczyt - rzekłem. - Ale oparte są na strachu. Strachu przed kimś, strachu przed czymś. Tylko że staniesz się pan bardziej świadomy i uczynny, kiedy nauczysz się więcej bać czegoś innego. Otwórz pan sejf.

Otworzył. Marcel był wciąż nieprzytomny.

- Włóż pan do środka.

- Nie! - To krótkie słowo było chrapliwym krzykiem. - Mówię panu, że tam nie ma powietrza, zamknięcie jest hermetyczne. My dwaj w środku... umrzemy w kilka minut, jeżeli tam wejdem.

- Umrzesz pan w kilka sekund, jeżeli nie wejdziesz.

Włazł do środka. Trząśnięcie. Kimkolwiek był, nie należał do grubych ryb; ten, kto kierował handlem narkotykami, był człowiekiem - czy ludźmi - odznaczającym się absolutną twardością i bezwzględnością, a on nie

odznaczał się ani jednym, ani drugim.

Następne pięć minut spędziłem na bezowocnym przeglądaniu wszystkich dostępnych szuflad i akt. Wszystko, co obejrzałem, wiązało się w taki czy inny sposób z legalnymi interesami, co było zrozumiałe, bo Durreß nie przechowywałby dokumentów bardziej inkryminacyjnej natury tam, gdzie mogłyby dostać się w ręce biurowej sprzątaczkii. Po pięciu minutach otworzyłem sejf.

Durreß pomylił się co do ilości powietrza w jego wnętrzu. Przecenił ją. _ wpół leżał, oparty kolanami o plecy Marcela, który na szczęście dla siebie był ciągle nieprzytomny. Przynajmniej tak mi się wydawało. Nie zadałem sobie trudu, aby to sprawdzić. Chwyciłem Durreßa za ramię pociągnąłem. Przypominało to wyciąganie łosia z bagna, ale w końcu dał się _ poruszyć i wytoczył się na podłogę. Leżał tam chwilę, po czym dźwignął się w otumanieniu na kolana: Czekałem cierpliwie, aż chrapliwe _ żenie przeszło w zwykłe sapanie, a zabarwienie jego twarzy przemieniło się z sinofioletkowego w coś, co można by uznać za zdrową różowość, gdybym nie wiedział, że jego normalna cera przypominała raczej kolor trej gazety. Podparłem go i dałem znak, by powstał, czego udało mu się dokonać po kilku próbach.

- Astrid Lemay - powiedziałem.

- Była tutaj dziś rano. - Jego głos był chrapliwym szeptem, ale dość słyszalnym. - Mówiła, że wynikły bardzo ważne sprawy rodzinne. Musiała wyjechać z kraju.

- Sama?

- Nie, z bratem.

- On tu był?

- Nie.

_ - Mówiła, dokąd jedzie?

- Do Aten. Ona jest stamtąd.

- I przyszła tu tylko po to, żeby to panu powiedzieć?

- Miała do odebrania pensję za dwa miesiące. Potrzebowała jej na bilety.

Kazałem m mu wleźć z powrotem do sejfii. Miałem z nim trochę kłopotu, _ w końcu doszedł do wniosku, że to lepsze niż kula, i wlaźł. Nie zamierzałem go już terroryzować, po prostu nie chciałem, żeby słyszał to, co miałem powiedzieć.

; Zatelefonowałem bezpośrednio na lotnisko Schiphol, i w końcu połączyłem mnie z osobą, z którą chciałem rozmawiać.

. - Tu mówi inspektor van Gelder z komendy policji - powiedziałem.

_ Idzie mi o dzisiejszy poranny lot do Aten. Prawdopodobnie KLM. Chcę sprawdzić, czy na pokładzie były dwie osoby nazwiskiem Astrid Lemay George Lemay. Ich rysopisy są następujące... słucham?

Głos w telefonie powiedział mi, że byli na pokładzie. Jakoby wynikły drobne trudności z wpuszczeniem George'a do samolotu, ponieważ był w _ takim stanie, że zarówno lotniskowa obsługa lekarska, jak policyjna miały wątpliwości, czy jest to roztropne, ale przeważały błagania dziewczyny. Podziękowałem mojemu informatorowi i odłożyłem słuchawkę.

Otworzyłem drzwi sejfii. Tym razem były zamknięte zaledwie parę

hwil, toteż nie przewidywałem, żeby obaj znajdowali się w nazbyt złym stanie, i miałem rację. Twarz Durreßa była już jedynie zaczerwieniona,

104 105

Marcel nie tylko odzyskał przytomność, ale odzyskał ją tak dalece, że usiłował wydobyć spod pachy rewolwer, który niebacznie zapomniałem usunąć. Kiedy mu go odbierałem, aby nie zrobił nim sobie krzywdy, pomyślałem, że Marcel musi mieć niezwykłą zdolność regeneracyjną. Miałem to sobie przypomnieć z gorzkim żalem w parę dni później, w okolicznościach o wiele bardziej niepomyślnych dla mnie.

Zostawiłem ich obu siedzących na podłodze, a ponieważ nie było już nic istotnego do powiedzenia, żaden z nas trzech się nie odezwał. Otworzyłem drzwi, zamknąłem je za sobą na klucz, uśmiechnąłem się miło do wyblakłej blondynki i wpuściłem klucz do kratki kanalizacyjnej na ulicy przed "Balinova". Nawet jeżeli nie było zapasowego klucza, w pokoju znajdowały się telefony i dzwonki alarmowe, i otworzenie go za pomocą palnika acetylenowo-tlenowego nie powinno było potrwać dłużej niż dwie-trzy godziny. A było tam zapewne dosyć powietrza na taki czas. Zresztą nie wydawało się to zbyt ważne.

Pojechałem z powrotem do mieszkania Astrid i zrobiłem to, co powinienem był zrobić od razu - wpytałem jej bezpośrednich sąsiadów, czy widzieli ją tego rana. Dwaj ją widzieli i ich relacje zgadzały się ze sobą. Astrid i George odjechali taksówką dwie godziny temu z kilkoma walizkami.

Astrid się wymknęła i czułem się trochę tym zasmucony i zawiedziony, nie dlatego, że obiecała mi pomoc, a nie pomogła, ale ponieważ zamknęła sobie ostatnią drogę ucieczki.

Jej przełożeni nie zabili jej z dwóch powodów. Wiedzieli, że mógłbym powiązać ich z jej śmiercią, a to już było zbyt ryzykowne. Nie musieli tego robić, bo wyjechała i przestała być dla nich niebezpieczna; strach, jeżeli jest dostatecznie duży, może zamknąć usta równie skutecznie jak śmierć.

Polubiłem ją i chętnie widziałbym ją znowu szczęśliwą. Nie mogłem jej potępić. Dla niej wszystkie drzwi były zamknięte.

Rozdział piąty.

Widok ze szczytu strzelistego Havengebouw, drapacza chmur w porcie, jest niewątpliwie najładniejszy w Amsterdamie. Jednakże tego rana nie interesowałem się widokiem, tylko możliwościami, jakie dawał ten punkt obserwacyjny. Świeciło słońce, ale na tej wysokości było przewiewnie _hłodno, a nawet na poziomie morza wiatr wiał tak silnie, że marszczył niebieskoszare wody w nieregularne, faliste wzory białych pian. Platforma obserwacyjna była zatłoczona turystami, których większość, z rozwianymi włosami, trzymała lornetki i aparaty fotograficzne, ale chociaż nie miałem kamery, nie uważałem, żebym różnił się czymś od innych turystów. Różnił się tylko mój cel przebywania tam. Oparłem się na łokciach i popatrzałem na morze. De Graaf niewątpliwie uczynił mi wielką przysługę tą lornetką, bo była jedną z najlepszych,

jakimi się posługiwałem kiedykolwiek, a przy prawie doskonałej widoczności tego dnia, jej precyzja zaspokajała wszystkie moje życzenia. Skierowałem szkła na statek przybrzeżny wyporności około tysiąca ton, który właśnie skręcał do portu. Już w pierwszym momencie, kiedy go wypatrzyłem, dostrzegłem dwie rdzawe plamy na kadłubie i zauważyłem, że : płynie pod flagą belgijską. A pora, tuż przed południem; też pasowała. obserwowałem go i wydało mi się, że zatacza szerszy łuk niż kilka statków, które go poprzedziły, i że przepływa bardzo blisko boi wytyczających kanał żeglowny; ale może tam właśnie woda była najgłębsza. Obserwowałem go, aż dopłynął do portu, i wtedy odczytałem nieco wytartą nazwę na zardzewiałym dziobie. Brzmiała ona: "Marianne". Kapitan był na pewno pedantem, jeżeli idzie o punktualność, natomiast czy równie pedantycznie przestrzegał prawa, to już było zupełnie inne zagadnienie. Zjechałem na dół do "Havenrestaurant" i zjadłem obiad. Nie byłem głodny, ale odkąd tutaj przybyłem, wiedziałem z doświadczenia, że pory posiłków w Amsterdamie bywają nieregularne i nieczęste. Jedzenie "Havenrestaurant" ma dobrą opinię i nie wątpię, że na nią zasługuje, ale nie przypominam sobie, co zjadłem na obiad owego dnia.

107

Do hotelu "Touring" przybyłem o wpół do drugiej. Nie spodziewałem się w gruncie rzeczy, aby Maggie i Belinda już wróciły, i tak też było. Powiedziałem recepcjoniście, że zaczekam w hallu, ale nie bardzo lubię halle, zwłaszcza kiedy mam do przestudiowania takie dokumenty jak te, które znajdowały się w teczce zabranej przez nas z firmy Morgenstern i Muggenthaler, czekałem więc do momentu, kiedy recepcjonista oddalił się na chwilę, pojechałem windą na trzecie piętro i dostałem się do pokoju obu dziewczyn. Był odrobinę lepszy od poprzedniego, a tapczan, który natychmiast wypróbowałem, odrobinę większy, ale nie było to wystarczającym powodem, żeby Maggie i Belinda wywijały koziołki z radości, niezależnie od faktu, że pierwszy koziołek, wywinęty w którymkolwiek kierunku, rzuciłby je od razu o ścianę.

Przeleżałem na owym tapczanie przeszło godzinę przeglądając wszystkie faktury magazynu, które okazały się całkiem nieinteresujące i nieszkodliwe. Jednakże wśród innych nazw jedna pojawiała się z zaskakującą częstotliwością, a ponieważ pochodzące stamtąd wytwory zbiegały się z kierunkiem moich rosnących podejrzeń, zanotowałem sobie tę nazwę oraz miejsce na mapie.

W zamku obrócił się klucz i weszły Maggie i Belinda. Ich pierwszą reakcją na mój widok była ulga, po której szybko nastąpiło wyraźne rozdrażnienie. Zapytałem łagodnie:

- Czy coś się stało?
- Niepokoiłyśmy się o pana - odrzekła zimno Maggie. - Recepcjonista powiedział, że pan czeka na nas w hallu, a pana tam nie było.
- Czekaliśmy pół godziny - dodała Belinda niemal z pretensją. - Myślałyśmy, że pan sobie poszedł.
- Byłem zmęczony. Musiałem się położyć. A teraz, kiedy już się wytłumaczyłem, powiedzcie, jak wam poszło dziś rano.
- No cóż. . . - Maggie nie dała się zbytnio zmiękczyć = nie powiodło

nam się z Astrid.

- Wiem. Recepcjonista przekazał mi od was wiadomość. Możemy przestać martwić się o Astrid. Wyjechała.

- Wyjechała?

- Związała za granicę.

- Związała za granicę?

- Do Aten.

- Do Aten?

- Słuchajcie - powiedziałem. - Odłóżmy na później ten skecz kabaretowy. Odleciała z Georgem dziś rano.

- Dlaczego? - spytała Belinda.

- Była w strachu. Żli ludzie naciskali ją z jednej strony, a dobry człowiek, to znaczy ja, z drugiej. Więc wywiała.

- Skąd pan wie, że wyjechała? = spytała Maggie.

- Powiedział mi jeden gość w "Balinova". - Nie rozwodziłem się nad tym; jeżeli miały jeszcze jakieś złudzenia co do swojego sympatycznego szefa, chciałem, aby je zachowały. - I sprawdziłem to na lotnisku.

- Hm. - Na Maggie nie wywarły wrażenia moje osiągnięcia tego rana; zdawała się uważać, iż jest moją winą, że Astrid wyjechała, i jak zwykle miała rację. - No więc, kto najpierw: Belinda czy ja?

- Najpierw to. - Podałem jej kartkę z wypisanymi cyframi 910020.

- Co to oznacza?

Maggie obejrzała kartkę, odwróciła ją i zerknęła na drugą jej stronę.

- Nic - odrzekła.

- Pokażcie mi to - powiedziała żywo Belinda. - Jestem zmyślna do diagramów i krzyżówek. - I tak też było. Prawie zaraz powiedziała: - To trzeba odwrócić. 020019. Druga rano dziewiętnastego, czyli jutro. Wcale nieźle - powiedziałem łaskawie. Mnie samemu trzeba było godziny, żeby do tego dojść.

- I co ma się wtedy stać? - spytała Maggie podejrzliwie.

- Ten, kto wypisał te cyfry, zapomniał tego wyjaśnić - odrzekłem wymijająco, bo zaczynałem mieć dość mówienia jawnych kłamstw. - No, teraz ty, Maggie.

_ Usiadła i wygładziła swoją jasnozieloną bawełnianą sukienkę, która wyglądała tak, jakby się mocno skurczyła od wielokrotnego prania.

- Włożyłam do parku tę nową sukienkę, bo Trudi jeszcze jej nie widziała, a ponieważ wiał wiatr, więc włożyłam chustkę na głowę i...

- I ciemne okulary.

- Właśnie. - Nie było łatwo zbić Maggie z tropu. - Spacerowałam pół godziny przeważnie usuwając się z drogi emerytom i dziecinny wózek. A potem ją zobaczyłam... a raczej tę olbrzymią, tłustą, starą... starą...

- Jędzę. Ubrana była tak, jak pan zapowiadał. Potem zobaczyłam Trudi. Źła na siebie białą bawełnianą sukienkę z długimi rękawami, nie mogła stać w miejscu, brykała jak owieczka. - Maggie:przerwała, po czym dodała w zamyśleniu: - Ona jest naprawdę śliczna.

- Masz szlachetną duszę, Maggie.

_ Maggie zrozumiała ten przycinek. - Co jakiś czas przysiadła na ławce. Ja siadałam na innej o trzydzieści kroków i zerkiałam znad magazynu.

- Miły gest - pochwaliłem ją.
- Potem Trudi zaczęła zaplatać warkoczyk tej lalce...
- Jakiej lalce?
 - Tej, którą miała na ręku - odrzekła Maggie cierpliwie. - Jeżeli pan będzie wciąż przerywał, trudno mi będzie zapamiętać wszystkie

109

szczególne. Więc kiedy to robiła, podszedł jakiś mężczyzna i usiadł obok nich. Wysoki, w ciemnym ubraniu, z pastorskim kołnierzykiem, siwym wąsem i cudownie siwymi włosami. Wyglądał bardzo sympatycznie.

- Jestem tego pewny - wtrąciłem mechanicznie. Doskonale mogłem sobie wyobrazić wielebnego Thaddeusa Goodbody jako człowieka ogromnie czarującego, może z wyjątkiem godziny wpół do czwartej nad ranem.

- Trudi wyraźnie miała do niego wielką sympatię. Po paru minutach objęła go za szyję i coś mu szepnęła do ucha. Udawał, że jest zgorzony, ale widać było, że wcale nie jest, bo sięgnął do kieszeni i coś jej wcisnął w rękę. Pewnie pieniądze. - Już miałem zapytać, czy jest pewna, że to nie była strzykawka, ale Maggie była na to zbyt delikatna. - Potem Trudi wstała, ciągle przyciskając do siebie tę lalkę, i pobiegła do wózka z lodami. Kupiła sobie rozek lodów i ruszyła prosto ku mnie.

- A ty odeszłaś?

- Zasłoniłam się pismem - odrzekła Maggie z godnością. - Ale nie musiałam się trudzić. Przeszła obok mnie do innego otwartego wózka, który stał o dwadzieścia kroków.

- Żeby obejrzyć lalki?

- Skąd pan wie? - Maggie była zawiedziona.

- Co drugi wózek w Amsterdamie ma lalki na sprzedaż.

- To właśnie zrobiła. Dotykała ich, gładziła. Stary facet, który je sprzedawał, próbował udawać rozgniewanego, ale czy można się gniewać na taką dziewczynę? Obeszła wózek dookoła, a potem wróciła na ławkę. I ciągle częstowała tę lalkę lodami.

- I wcale nie była zmartwiona, kiedy lalka ich nie chciała. A co przez ten czas robiła stara i pastor?

- Rozmawiali. Wyraźnie mieli dużo do omówienia. Potem Trudi wróciła, pogadali jeszcze trochę, pastor poklepał Trudi po plecach, wszyscy wstali, on zdjął kapelusz, uklonił się starej, jak pan ją nazywa, i wszyscy troje odeszli.

- Idylliczna scena. Odeszli razem?

- Nie. Pastor poszedł osobno.

- Próbowowałaś iść za którymś z nich?

- Nie.

- Grzeczna dziewczynka. A ciebie ktoś śledził?

- Nie zdaje mi się.

- Nie zdaje ci się?

- Cały tłum ludzi odchodził jednocześnie ze mną. Pięćdziesięciu, sześćdziesięciu, czy ja wiem. Byłoby niemądrze twierdzić, że nikt na pewno nie ma na mnie oka. Ale nikt nie szedł za mną tutaj.

- A ty, Belindo?

- Prawie naprzeciwko tego hoteliku "Paris" jest kawiarnia. Do hotelu

przychodziła i wychodziła masa dziewczyn, ale dopiero przy czwartej _____ an-
_kawy rozpoznałam jedną z _____ych, co były wczoraj wieczorem w kościele.
taka wysoka, z kasztanowymi włosami, szalowa, jak pan by ją nazwał...
- Skąd wiesz, jak bym ją nazwał? Wczoraj była w stroju zakonnicy?

- Tak.

- To nie mogłaś widzieć, że ma kasztanowe włosy.

- Ma pieprzyk wysoko na lewej kości policzkowej.

- I czarne brwi? - wtrąciła Maggie.

- Tak, to ona - odrzekła Belinda.

Dałem za wygraną. Wierzyłem im. Kiedy jedna przystojna dziewczyna
przypatruje się innej przystojnej dziewczynie, jej oczy przemieniają się
w dalekosiężne teleskopy.

- Poszłam za nią do Kalverstraat - ciągnęła Belinda. Weszła do dużego
sklepu. Zdawała się krążyć bez celu po parterze, ale nie było to wcale
bezczelowe, bo dosyć prędko podeszła do kontuaru z napisem "Pamiątki
- tylko na eksport". Obejrzała je od niechcienia, ale widziałam, że o wiele
bardziej interesuje się lalkami niż czymś innym.

- No, ;to, no -- powiedziałem. - Znowu lalki. Po czym poznałaś, że się
nimi interesuje?

- Po prostu poznałam - odrzekła Belinda tonem osoby usiłującej
opisać różnorodne kolory komuś ślepemu od urodzenia. - A potem, po
iwili, zaczęła bardzo uważnie oglądać pewną grupę lalek. Jakiś czas niby
_wahała, którą wybrać, ale wiedziałam, że wcale się nie waha. - Za-
howałem roztropne milczenie. - Powiedziała coś do ekspedientki, która
i zapisała na kartce papieru.

- Trwało to tyle czasu, ile potrzeba na... .

- Na zapisanie zvrrykłego adresu - ciągnęła łagodnie, tak jakby nie
_yszła. = Potem ta dziewczyna wręczyła jej pieniądze i wyszła.

- Poszłaś za nią?

- Nie. Czy i ja też jestem grzeczną dziewczynką?

_ - Tak.

- I nikt nie szedł za mną.

- Ani cię nie śledził? To znaczy, w sklepie? Na przykład _jakiś tęgi, tłusty
_ężczyzna w średnim wieku?

Belinda zachichotała. - Cała masa tęgich...

- Już dobrze, dobrze. Cała masa tęgich, tłustych mężczyzn w średnim
rieku spędza mnóstwo czasu na obserwowaniu ciebie. A także cała masa
_odych i chudych; wcale bym się temu nie dziwił. - Przerwałem
r zamyśleniu. - Drogie bliźniaczki, kocham was obie.

Wymieniły spojrzenia. - To bardzo miło - powiedziała Belinda.

- Tylko profesjonalnie, moje koćhane, tylko profesjonalnie. Muszę
_wiedzieć, że obie złożyłyście świetne sprawozdania. Belindo, czy wi-
_iałaś lalkę, którą ta dziewczyna wybrała?

Il_ 111

- Płacą mi za to, żeby widzieć pewne rzeczy - odrzekła skromnie.

Spojrzałem na nią bacznie, ale puściłem to mimo uszu.

- Słusznie. To była lalka w stroju z Huyler. Taka jak ta, którą widzieliśmy w magazynie.

- Skąd pan to wie, u licha?

- Mógłbym powiedzieć, że jestem medium. Mógłbym powiedzieć, że jestem geniuszem. W rzeczywistości posiadam dostęp do pewnych informacji, których wy nie macie.

- No, to niech pan się nimi podzieli z nami. - Powiedziała to oczywiście Belinda.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo w Amsterdamie są ludzie, którzy mogliby was zabrać, wsadzić do zacisznego, ciemnego pokoju i zmusić do mówienia.

Nastąpiła dłuższa pauza, po czym Belinda spytała:

- A pan by nie mówił?

- Może i tak - przyznałem. - Ale przede wszystkim nie byłoby im łatwo wsadzić mnie do tego zacisznego, ciemnego pokoju. - Wziąłem plik faktur. - Czy któraś z was słyszała kiedy o Kasteel Linden? Nie? Ja też nie. Okazuje się jednak, że stamtąd dostarczają naszym przyjaciołom, Morgensternowi i Muggenthalerowi, dużą ilość zegarów wahadłowych.

- A po co? - zapytała Maggie.

- Tego nie wiem - skłamałem jawnie. = Może tu być jakiś związek. Prosiłem Astrid, żeby wytropiła źródło pewnego typu zegarów. Wiecie, ona miała masę podziemnych powiązań, których wcale nie chciała. Ale teraz jej nie ma. Zajmę się tym jutro.

- My to zrobimy dzisiaj - odparła Belinda. - Możemy pojechać to tego Kastel i...

- Jeżeli to zrobicie, znajdziecie się w pierwszym samolocie odlatującym z powrotem do Anglii. Nie mam ochoty marnować czasu na wyciąganie was z dna fosy, która otacza ten zamek. Jasne?

- Tak jest - odpowiedziały potulnie. Zaczynało być coraz bardziej niepokojąco jasne, że nie uważają mnie za tak groźnego, jak by się wydawało.

Zebrałem papiery i wstałem.

- Resztę dnia macie wolną. Zobaczymy się jutro rano.

Rzecz dziwna, nie wydawały się zbyt zadowolone, że resztę dnia mają dla siebie. Maggie zapytała:

- A pan?

- Mała wycieczka samochodem na wieś. Żeby mi się rozjaśniło w głowie. Potem drzemka, a wieczorem może przejażdżka statkiem.

- Taka romantyczna nocna przejażdżka po kanałach? - Belinda starała się mówić beztrąsko, ale jej to nie wychodziło. Obydwie z Maggie zdawały

się być zaprzątnięte czymś, co mi się wymknęło. - Przecież będzie pan potrzebował kogoś, kto by pana ubezpieczał, no nie? Ja też pojedę.

- Innym razem. Ale wy nie wybierajcie się na kanały. Nawet nie zbliżajcie się do kanałów. Trzymajcie się z daleka od nocnych lokali, nade wszystko trzymajcie się z daleka od portu czy tego magazynu.

- Pan też niech się nigdzie nie wybiera dziś wieczorem.

Spojrzałem na Maggie. Przez pięć lat nigdy nie odezwała się tak ostro, nawet zaciekle, a już z pewnością nigdy nie mówiła mi, co mam robić.

_hwyciła mnie za rękę, co było równie niesłychane. - Proszę!

- Maggie!

- Musi pan popłynąć dzisiaj tym statkiem?

- Ależ, Maggie...

- O drugiej nad ranem?

- Co się dzieje, Maggie? To do ciebie niepodobne...

- Nie wiem. Owszem, wiem. Chodzą mi ostre ciarki po plecach.

- Powiedz im, żeby chodziły delikatniej.

Belinda postąpiła krok ku mnie.

- Maggie ma rację. Nie powinien pan dzisiaj jechać. - Twarz miała stężałą z niepokoju.

- I ty też, Belinda?

- Proszę!

W pokoju zapanowało dziwne napięcie, którego nie mogłem ani rusz zrozumieć. Obydwie miały na twarzach błagalny wyraz, w oczach nieomal rozpacz, tak jakbym oznajmił, że zamierzam skoczyć ze skały.

: - Maggie idzie o to, żeby pan się z nami nie rozstawał - powiedziała _Zindâ. Maggie kiwnęła głową.

- Niech pan nie wychodzi dziś wieczorem. Proszę zostać z nami.

' - A, do diabła! - odrzekłem. - Jak następnym razem będę potrzebował pomocy za granicą, przywożę ze sobą twardsze dziewczyny. - Chciałem je minąć idąc ku drzwiom, ale Maggie zagroziła mi drogę, wspięła się na palce i pocałowała mnie. W sekundę później Belinda zrobiła to samo.

- _Hardzo niedobre dla dyscypliny - powiedziałem. Sherman zбитy z __tropu. - Doprawdy, bardzo niedobre.

i Otworzyłem drzwi i obróciłem się, aby sprawdzić, czy zgadzają się ze mną. Jednakże nic nie powiedziały, tylko stały z dziwnie osowiałymi twarzami. _ . Z irytacją potrząsnąłem głową i wyszedłem.

Wracając do "Rembrandta" kupiłem po drodze papier pakowy i sznurki. U siebie w pokoju zawiązałem w to garnitur, który już mniej więcej wrócił do formy po przemoczeniu ubiegłej nocy, wypisałem na paczce ccyjne nazwisko i adres i zaniósłem ją do recepcji. Kierownik był na posterunku

112 113

- Gdzie jest najbliższy urząd pocztowy? - zapytałem.

- Moje uszanowanie panu. - Wyszukanie przyjazne powitanie było automatyczne, ale kierownik już się nie uśmiechał. - Możemy to panu załatwić.

- Dziękuję, ale chcę to nadać osobiście.

- A, rozumiem. - Nic nie rozumiał, w szczególności tego, że nie chciałem powodować żadnego unoszenia brwi ani marszczenia czoła na widok pana Shermana wychodzącego z dużą paczką pod pachą. Podał mi adres, którego nie potrzebowałem.

Włożyłem paczkę do bagażnika "wozu policyjnego i ruszyłem przez miasto i przedmieścia, aż wreszcie znalazłem się w wiejskiej okolicy zmierzając na północ. Wiedziałem, że jadę wzdłuż wód Zuider Zee, ale nie

mogłem ich dojrzeć, bo zasłaniała je tama zaporowa, biegnąca po prawej stronie drogi. Po lewej też nie było wiele do oglądania; krajobraz holenderski nie jest stworzony do wprawiania turysty w ekstazę.

Niebawem dotarłem do tablicy z napisem "Huyler - 5 km" i o kilkaset jardów dalej skręciłem w lewo z szosy, i wkrótce potem zatrzymałem wóz na małym placu wioski jakby wyjętej z widokówki. Na placu była poczta, a przed pocztą budka telefoniczna. Zamknąłem na klucz bagażnik i samochód i tam go pozostawiłem.

Wróciłem na główną szosę, przeszedłem przez nią i wdrapałem się na spadziście, porośniętą trawą tamę, z której mogłem wyjrzeć na Zuider Zee. Rzeźwa bryza niebieszczyła i bieleła wody w późnopołudniowym słońcu, ale jeżeli idzie o widok, nie można było wiele więcej o tych wodach powiedzieć, bo otaczał je ląd tak nizinny, iż zdawał się być zaledwie płaską, ciemną ławicą na horyzoncie. Jedyne wyróżniającym się elementem, jaki mogłem dojrzeć gdziekolwiek, była wyspa znajdująca się o milę od brzegu w kierunku północno-wschodnim.

Była to wyspa Huyler, właściwie nawet nie wyspa. Była nią niegdyś, ale jacyś inżynierowie wybudowali groblę łączącą ją z lądem stałym, ażeby pełniej udostępnić wypiarzom dobrodziejstwa cywilizacji i ruchu turystycznego. Na wierzchu owej grobli zbudowano żużlową drogę.

Sama wyspa także niczym się nie wyróżniała. Była tak płaska, iż zdawało się, że pierwsza większa fala musi ją zalać, ale tę płaskość urozmaicały rozrzucone tu i tam zabudowania gospodarskie, kilka dużych holenderskich stodoł, a na zachodnim brzegu, położonym naprzeciw lądu stałego, miasteczko skupione wokół małego portu. I oczywiście, wyspa miała swoje kanały. To było wszystko, co dało się dojrzeć, więc wróciłem na szosę, przeszedłem ją do przystanku i pierwszym autobusem odjechałem do Amsterdamu.

Postanowiłem pójść wcześniej na kolację, bo nie przewidywałem, żebym miał sposobność jeść później tego wieczora, i podejrzewałem, że cokolwiek mi dzisiaj gotuje, lepiej nie wychodzić temu na spotkanie z pełnym żołądkiem. Potem położyłem się do łóżka, bo nie przewidywałem również, abym mógł przespać się później.

Podróżny budzik wyrwał mnie ze snu o wpół do pierwszej w nocy. Włożyłem ciemne ubranie, ciemny marynarski golf, ciemne płócienne pantofle na gumowych podeszwach i ciemną brezentową wiatrówkę. Rezerwolwer umieściłem w zamkniętym na ekler, nieprzemakalnym futerale wsadziłem do kabury podramiennej. Dwa zapasowe magazynki, w podobnym futerale, ulokowałem w zaciąganej na zamek błyskawiczny kieszeni brezentowej kurtki. Popatrzyłem tęsknie na butelkę whisky stojącą na stoliku i postanowiłem jej nie tykać. Wszedłem.

Wszedłem, tak jak się u mnie już stało drugą naturą, schodkami przeciwpożarowymi. Ulica w dole była jak zwykle pusta, i wiedziałem, że nie podąży za mną, gdy będę odchodził z hotelu. Nikt nie musiał iść za mną, bo ci, co mi źle życzyli, wiedzieli, dokąd zmierzam i gdzie mnie mogą znaleźć. A ja z kolei wiedziałem, że to wiedzą. Miałem jedynie nadzieję, iż nie wie, że wiem.

Zdecydowałem się iść pieszo, bo nie miałem teraz samochodu, a stałem

się uczulony na amsterdamskie taksówki. Ulice były puste - przynajmniej , które sobie wybrałem. Miasto wydawało się bardzo ciche i spokojne. _ Doszedłem do dzielnicy portowej, zorientowałem się, gdzie jestem, ruszyłem dalej, aż znalazłem się w cieniu szopy magazynowej. Fosforująca tarcza mojego zegarka powiedziała mi, że jest za dwadzieścia druga. Wiatr przybrał na sile i ochłodziło się z_ acznie, ale deszcz nie padał, chociaż wisiał w powietrzu. Wyczuwałem jego zapach poprzez

tą, swoistą woń morza, smoły, lin i tych wszystkich rzeczy, które sprawiają, że dzielnice portowe pachną tak samo wszędzie na świecie. Postrzępione, ciemne chmury mknęły po tylko odrobinę mniej ciemnym niebie, od czasu do czasu odsłaniając na chwilę blady, wysoki półksiężyc, częściej go zakrywając, ale nawet kiedy był niewidoczny, ciemność nie była absolutna, bo w górze wciąż szybko się przesuwały plamy rozświetlonego gwiazdami nieba.

Kiedy robiło się jaśniej, patrzyłem na port, który rozciągał się najpierw w półmrok, a potem w nicość. Dosłownie setki barek stały w tym porcie, jednym z wielkich portów transportowych świata - barek sięgających pod względem rozmiaru od małych, sześciometrowych, do potężnych, pływających po Renie - a wszystkie stłoczone w rzekłbyś niemożliwym do rozwikłania nieładzie. Wiedziałem jednak, że nieład ten jest bardziej pozorny niż rzeczywisty. Barki były niewątpliwie stłoczone, ale - choć wymagałoby to wysoce zawilego manewrowania - każda miała swój

114 115

dostęp do wąskiego szlaku żeglownego, który zbiegał się z kilkoma coraz szerszymi szlakami przed dotarciem do otwartych wód rozciągających się dalej, Barki były połączone z lądem szeregiem długich, szerokich nawodnych pomostów, do których z kolei dołączały się pod prostym kątem inne, węższe.

Księżyc skrył się za chmurą. Wysunąłem się z cienia i wszedłem na jeden z głównych pomostów. W moich gumowych pantoflach stąpałem bezgłośnie po mokrych deskach, ale gdybym nawet kroczył w podkutych butach, wątpię czy ktokolwiek - poza tymi, co mieli wobec mnie złe zamiary - zwróciłby na to uwagę, bo chociaż wszystkie barki były prawie na pewno zamieszkałe przez załogi, a w wielu wypadkach także i ich rodziny, wśród setek stojących tam statków widać było jedynie tu i ówdzie kilka świateł w kabinach. Poza stłumionym zawroźdzeniem wiatru i cichym skrzypieniem i chrobotem, kiedy poruszane wiatrem barki ocierały się łagodnie o deski, panowała absolutna cisza. Ten port barkowy był miastem sam w sobie, a miasto to spało.

Przeszedłem mniej więcej jedną trzecią długości głównego pomostu, gdy księżyc wynurzył się zza chmur. Przystanąłem i rozejrzałem się.

O jakieś pięćdziesiąt kroków w tyle szli ku mnie cicho i zdecydowanie dwaj ludzie. Byli jedynie cieniami, sylwetkami, ale widziałem, że zarysy ich prawych rąk są dłuższe od lewych. Coś trzymali w prawych dłoniach. Nie zaskoczył mnie widok owych przedmiotów w ich rękach, tak jak nie zaskoczył mnie widok samych tych ludzi.

Zerknąłem w prawo. Dwaj inni mężczyźni zbliżali się powoli od lądu sąsiednim pomostem. Szli równolegle z tymi dwoma, którzy byli na moim.

Zerknął w lewo. Dwaj następni - dwie poruszające się, ciemne sylwetki. Podziwiałem ich koordynację.

Odwrociłem się i ruszyłem dalej. Idąc wyciągnąłem pistolet z kabury, zdjąłem nieprzemakalny futerał, zaciągnąłem na powrót zamek błyskawiczny i schowałem futerał do kieszeni. Księżyc skrył się za chmurą. Zacząłem biec i biegnąc obejrzałem się przez ramię. Trzy dwójki mężczyzn również puściły się biegiem. Po pięciu jardach obejrzałem się znowu. Dwaj mężczyźni na moim pomoście zatrzymali się i mierzyli do mnie z pistoletów albo tak mi się wydało, bo trudno było coś dojrzeć w poświacie gwiazd. Jednakże w chwilę potem przekonałem się, że się nie pomyliłem, bo w mroku wyprysnęły wąskie, czerwone płomyki, chociaż nie usłyszałem strzałów, co było całkiem zrozumiałe, ponieważ żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie mógł chcieć alarmować setek krzepkich barkarzy holenderskich, niemieckich i belgijskich. Natomiast najwyraźniej nie mieli żadnych zastrzeżeń co do alarmowania mnie. Księżyc pokazał się znowu i powtórnie ruszyłem biegiem.

Kula, która mnie trafiła, wyrządziła większą szkodę mojemu ubraniu niż mnie samemu, aczkolwiek ostry, piekący ból wysoko na zewnętrznej

stronie prawej ręki sprawił, że mimowolnie chwyciłem się za nią drugą ręką. Tego było za wiele. Skręciłem z głównego pomostu, zeskoczyłem na dziób barki przycumowanej do mniejszego, odchodzącego ceń pod prostym kątem, i przebiegłem cicho przez pokład za sterownię na _ rufie. Schroniwszy się tam wyrzałem ostrożnie zza węgła. Dwaj mężczyźni na centralnym pomoście przystanęli i dawali gwałtowne znaki swoim kolegom po prawej, pokazując, że należy mnie zająć z boku, jeżeli się da, strzelić mi w plecy. Jak mi się wydało, mieli dosyć ograniczone pojęcie o tym, co się składa na fair play i sportowe podejście, ale nie można było kwestionować ich sprawności. Było zupełnie jasne, że jeśli mnie w ogóle dorwą - a szanse ich oceniałem jako dobre - dokonają tego ową metodą okrążenia czy oskrzydlenia, toteż byłoby oczywiście bardzo dobrze dla mnie, gdybym zdołał jak najprędzej zniechęcić ich do _ koncepcji. Dlatego chwilowo zignorowałem tych dwóch na centralnym moście zakładając - ufałem, że trafnie - iż pozostaną na miejscu poczekają, aż oskrzydlający przydybią mnie znienacka, i obróciłem się w stronę lewego pomostu.

Po pięciu sekundach ukazali się, nie biegnąc, tylko idąc ostrożnie zaglądając w cienie, rzucane w świetle księżyca przez sterownię i nadnadbódkówki barek, co było rzeczą nader lekkomyślną czy też po prostu niemądrą, ponieważ stałem w najgłębszym cieniu, jaki mogłem znaleźć, natomiast ich oświetlał niemal brutalnie księżyc, toteż dojrzałem ich na długo przedtem, zanim dojrzeliby mnie: Wątpię, czy w ogóle mnie zauważyli. Klen na pewno mnie nie spostrzegł, bo nie zobaczył już nigdy nic więcej; musiał być martwy jeszcze zanim runął na pomost i z osobliwym brakiem żadnego odgłosu poza cichym pluśnięciem osunął się do wody. Złożyłem się do następnego strzału, ale drugi mężczyzna zareagował bardzo szybko i rzucił się w tył poza zasięg mojego wzroku, zanim zdążyłem nacisnąć spust. Nie wiedzieć czemu przyszło mi na myśl, że moje sportowe podejście jest na jeszcze niższym poziomie niż ich, ale owej nocy miałem skłonność do ułatwiania sobie sprawy.

Zawróciłem, posunąłem się znowu naprzód i wyjrzałem zza sterowni. Dwaj mężczyźni na centralnym pomoście nie ruszyli się z miejsca. Może _ wiedzieli, co się stało. Byli daleko jak na celny strzał z pistoletu w nocy, _ wymierzyłem starannie i długo, i spróbowałem mimo wszystko. Jednak _ cel był za daleko. Człowiek krzyknął i chwycił się za nogę, ale sądząc po żwawości, z jaką pobiegł za swoim towarzyszem i zeskoczył z pomostu chroniąc się na jednej z barek, nie mógł być poważnie uszkodzony. Księżyc znów<i schował się za chmurę, bardzo małą, ale jedyną, jaka mogła napłynąć w ciągu następnych paru minut, a oni wiedzieli dokładnie, gdzie jestem. Przebiegłem więc przez barcę, wdrapałem się z powrotem na główny pomost i ruszyłem pędem przed siebie.

116 117

Nie przebiegłem nawet dziesięciu jardów, gdy ten przeklęty księżyc pojawił się znowu. Rzuciłem się płasko na deski, twarzą w stronę lądu. Pomost po lewej był pusty, czemu trudno się dziwić, bo pewność siebie drugiego mężczyzny musiała zostać mocno nadszarpnięta. Zerknąłem w prawo. Tam dwaj mężczyźni byli znacznie bliżej niż ci, którzy przed chwilą tak roztropnie usunęli się z centralnego pomostu, a sądząc po tym, że nadal ufnie i zdecydowanie posuwali się naprzód, było oczywiste, iż jeszcze nie wiedzą, że jeden z ich grona znajduje się na dnie portu, lecz widać równie szybko jak tamci trzej zrozumieli zalety roztropności, bo bardzo żwawo zniknęli z pomostu, kiedy dałem do nich dwa prędkie, niepewne strzały, oba wyraźnie chybione. Dwaj mężczyźni, którzy przedtem szli centralnym pomostem, ostrożnie próbowali nań wrócić, ale byli za daleko, aby mnie niepokoić czy ja ich.

Jeszcze pięć minut trwała ta mordercza zabawa w chowanego - bieganie, krycie się, strzał, znowu bieg - a przez cały ten czas nieubłaganie zbliżali się do mnie. Byli teraz bardzo rozważni, podejmując minimum ryzyka i zręcznie wykorzystując swoją liczebną wyższość; jeden lub dwaj ściągali na siebie moją uwagę, a inni podkradali się naprzód z barki na barcę. Byłem chłodno i trzeźwo świadomy, że jeżeli nie uczynię czegoś innego, i to bardzo prędko, zabawa ta może mieć tylko jeden koniec, i koniec ten musi nadejść rychło.

Ze wszystkich nieodpowiednich po temu momentów wybrałem kilka tych krótkich chwil, które spędzałem kryjąc się za kajutami i sterowniami, aby pomyśleć o Belindzie i Maggie. Zastanawiałem się, czy to dlatego zachowały się tak dziwnie, kiedy ostatnio je widziałem? Czy odgadywały albo wyczuwały dzięki jakiejś swoście kobiecej intuicji, że coś takiego nastąpi, i jaki będzie koniec, i bały się mi to powiedzieć? Pomyślałem sobie, iż dobrze, że mnie teraz nie widzą, bo nie tylko przekonałyby się, że miały rację, ale ich wiara w nieomylność szefa zostałaby żałośnie nadwerżona. Byłem w desperacji i zapewne na to właśnie musiałem wyglądać; spodziewałem się napotkać zaczajonego na mnie człowieka, chybkiego do rewolweru lub jeszcze bardziej do noża, i pewnie potrafiłbym dać sobie radę z nim albo przy odrobinie szczęścia nawet z dwoma - natomiast tego się nie spodziewałem. Co to powiedziałem Belindzie przed magazynem? "Ten, kto walczy i ucieka, drugiego dnia walki doczeka". jednakże teraz nie miałem dokąd uciekać, bo byłem zaledwie o dwadzieścia kroków od końca głównego pomostu.

Makabryczne to było uczucie, być zagonionym na śmierć jak dzikie zwierzę

czy wściekły pies, podczas gdy setki ludzi spały o sto jardów ode mnie, i aby się uratować, wystarczyłoby mi odkręcić tłumik i wystrzelić dwa razy w powietrze, a cały port rzuciłby mi się na pomoc. Ale nie mogłem się na to zdobyć, bo to, co musiałem zrobić, należało uczynić tej nocy, a wiedziałem, że teraz mam ostatnią szansę. Jutro moje życie w Antsterdamie nie byłoby warte złamanego szeląga. Nie mogłem się na to zdobyć, dopóki jeszcze miałem

choćby cię szansy. Nie uważałem właściwie, żebym ją miał, przynajmniej tą, którą uznaliby za szansę człowiek będący przy zdrowych zmysłach. Nie sądzę jednak, abym nim był w owej chwili.

Spojrzałem na zegarek. Za sześć drugą. Czas kończył się pod jeszcze jednym względem. Popatrzyłem na niebo. Mała chmurka sunęła ku księżycowi i właśnie ten moment wybrałoby na następny i prawie na pewno ostatni atak; musiał to także być moment, który bym wykorzystał na moją następną i prawie ostatnią próbę ucieczki. Zerknąłem na pokład barki: była załadowana złomem, więc wziąłem kawałek metalu. Ponownie sprawdziłem kierunek owej ciemnej chmurki, która jakby jeszcze zmaląła. Jej środek miał przesunąć się prosto przez księżyc, ale to musiało wystarczyć.

Miałem jeszcze pięć kul w drugim magazynku i wystrzeliłem je szybko raz po raz w miejsce, gdzie, jak wiedziałem albo odgadywałem, schronili się moi prześladowcy. Miałem nadzieję, że to ich może zatrzymać na kilka sekund, ale w gruncie rzeczy chyba w to nie wierzyłem. Szybko wsadziłem spowrotem pistolet do nieprzemakalnego futerału, zaciągnąłem zamek błyskawiczny i dla dodatkowego zabezpieczenia włożyłem go nie do kabury, ale do zamykanej na ekler kieszeni mojej brezentowej kurtki, przebiegłem po pokładzie kilka kroków, wspiąłem się na burtę i rzuciłem się na główny pomost. Zerwałem się rozpaczliwie i w tym momencie zauważyłem, że ta przeklęta chmura w ogóle nie trafiła na księżyc. Nagle poczułem się bardzo spokojny, ponieważ nie miałem już wyjścia. zacząłem biec, bo nie mogłem uczynić nic innego, miotając się jak szalony z boku na bok, aby utrudnić celowanie moim przyszłym zabójcom. W ciągu niespełna trzech sekund dosłyszałem z pół tuzina przytłumionych łomotów - tamci byli już bowiem tak blisko - i dwukrotnie poczułem; że niewidzialne ręce chwytają mnie zaciekle za ubranie. Nagle odchyliłem głowę do tyłu, wyrzuciłem wysoko obie ręce, cisnąłem do wody ów kawałek metalu. Zwaliłem się ciężko na pomost, jeszcze zanim dosłyszałem plusk. Dźwignąłem się jak pijany na nogi, złapałem się za gardło i tyłem runąłem do wody. nabrałem głęboko tchu i wstrzymałem oddech przed uderzeniem o nią. Woda była zimna, ale nie lodowata, mętna i niezbyt głęboka. Stopami dotknąłem błota i dotykałem go nadal. Zacząłem wydychać powietrze, bardzo ostrożnie, bardzo powoli, gospodarując oszczędnie jego rezerwą, która zapewne nie była zbyt duża, bo nieczęsto uprawiałem takie rzeczy. jeżeli nie przeceniłem zapału mych prześladowców do wykończenia mnie - a nie przeceniłem go - to obaj mężczyźni na centralnym pomoście powinni byli zaglądać z nadzieją w miejsce, w którym zniknąłem im z oczu. ufałem, że wyciągną wszelkie błędne wnioski z powolnego strumienia banieczek wypływającego na powierzchnię wody, i miałem też nadzieję,

że wnioski wyciągną prędko, bo nie byłem w stanie kontynuować tego wyczynu wiele dłużej.

Po chwili, która wydawała mi się trwać z pięć minut, a zapewne nie była dłuższa niż trzydzieści sekund, przestałem wydychać powietrze i wysyłać banieczki na powierzchnię z tego dobrego powodu, że nie miałem go już więcej w płucach. Płuca zaczynały mnie trochę boleć, bez mała słyszałem - a niewątpliwie czułem - serce łomocące mi w pustej piersi, i rozbolały mnie uszy. Wydobyłem się z błota i popłynąłem w prawo mając w Bogu nadzieję, że zmierzam we właściwym kierunku. Tak też było. Dłoń moja natrafiła na kil barki i wykorzystałem to oparcie, aby przesunąć się szybko pod spodem, po czym wynurzyłem się na powierzchnię.

Nie sądzę, żebym mógł pod nią pozostać dłużej niż jeszcze parę sekund nie łykając wody. Kiedy się wynurzyłem, potrzeba mi było dużego opanowania i siły woli, żeby nie nabrać powietrza głęboko w płuca z charczeniem, które byłoby dosłyszalne prawie w całym porcie, ale w pewnych okolicznościach, kiedy życie od tego zależy, człowiek potrafi zdobyć się na doprawdy wielką siłę woli, toteż zadowolilem się kilkoma dużymi, lecz bezgłośnymi haustami powietrza.

Z początku nic nie widziałem, ale przyczyną była po prostu warstwa oleju na powierzchni wody, która na chwilę zakleiła mi powieki. Starłem go, ale nadal nie mogłem wiele dojrzeć poza ciemnym kadłubem barki, za którą się skryłem, głównym pomostem na wprost mnie i drugą barką stojącą równolegle o jakieś dziesięć stóp. Słyszałem głosy, stłumiony szept głosów. Podpłynąłem cicho do rufy barki, przytrzymałem się steru i wyrząłem ostrożnie zza rufy. Dwaj mężczyźni, jeden z latarką, stali na pomoście zaglądając w miejsce, w którym niedawno zniknąłem; z zadowoleniem widzieli, że woda tam jest ciemna i nieruchoma.

Wyprostowali się. Jeden z nich wzruszył ramionami i uczynił gest obiema dłońmi podniesionymi do góry; drugi przytaknął mu ruchem głowy i ostrożnie roztarł sobie nogę. Pierwszy podniósł ręce i dwukrotnie skrzyżował je nad głową, najpierw w lewo, potem w prawo. W tej samej chwili rozległo się urywane prychanie i łächanie uruchomionego gdzieś bardzo blisko dieslowskiego silnika. Najwyraźniej żaden z dwóch mężczyzn nie był zbyt zachwycony tym nowym wydarzeniem, bo ten, który dał sygnał, od razu chwycił drugiego za ramię i najszybciej jak mógł odprowadził go kulejącego ciężko.

Wciągnąłem się na barkę, co wydaje się czynnością ogromnie prostą, ale kiedy stroma burta kadłuba sterczy cztery stopy nad wodą, ta prosta czynność może okazać się prawie niepodobieństwem i tym okazała się dla mnie. Jednakże w końcu dokonałem tego przy pomocy liny rufowej, przewaliłem się przez nadburcie i przeleżałem z pół minuty dysząc jak wyciągnięty na brzeg wieloryb, zanim pierwszy nawrót sił, po całkowitym wyczerpaniu, połączony z rosnącą świadomością konieczności pośpiechu,

sprawił, że dźwignąłem się na nogi i ruszyłem ku dziobowi barki oraz głównemu pomostowi.

Dwaj mężczyźni, którzy tak niedawno usiłowali mnie zniszczyć, a teraz niewątpliwie peli tej uzasadnionej radości, którą daje satysfakcja dobrego wypełnienia ważnego zadania, byli teraz jedynie mglistymi

Łazni znikającymi w jeszcze głębszym cieniu nabrzeżnych magazynów. wciągnąłem się na pomost i przykucnąłem tam na chwilę, dopóki nie łem, skąd dochodzi warkot diesla, po czym pochyliłem się i szybko pobiegłem pomostem do miejsca, gdzie owa barka była przymocowana pomostu bocznego. Tam najpierw opadłem na czworaki, a potem podczołgałem się i wyjrzałem przez krawędź pomostu. barka miała co najmniej siedemdziesiąt stóp długości i odpowiednią szerokość i była zupełnie pozbawiona wszelkiego wdzięku w sylwetce. Trzy czwarte jej pokładu były w całości przeznaczone na ładunek. niżej znajdowała się sterownia, do której przylegało od strony rufy pomieszczenie dla załogi. Żółte światła błyszcząły za jego przesłoniętymi szybami. Z okna sterowni wyglądał masywny mężczyzna w czapce z daszkiem, rozmawiając z członkiem załogi, który właśnie wdrapywał się na główny pomost, aby odcumować. rufa barki przywierała do głównego pomostu, na którym leżałem. odczekałem, aż barkarz wdrapał się na boczny pomost i odszedł, by rucić cumę dziobową, po czym ześliznąłem się bezgłośnie na rufę barki schyliłem się za kabiną, dopóki nie usłyszałem chrobotania lin zrzucanych na pokład i głuchego łomotu stóp o deski, kiedy ów człowiek zeskoczył z bocznego pomostu. Ruszyłem cicho ku dziobowi, dotarłem do żelaznej drabinki przymocowanej do przedniego krańca kabiny, wdrapałem się na pokład, przesunąłem do przodu i wyciągnąłem się płasko na dachu sterowni. paliły się światła nawigacyjne, ale to mi nie przeszkadzało, bo były tak ulokowane po obu stronach sterowni, że na szczęście miejsce, w którym byłem, znajdowało się w stosunkowo jeszcze głębszym cieniu.

Warkot silnika wzmógł się i boczny pomost zaczął powoli zostawać za mną. Zastanowiłem się pośpiesznie, czy przypadkiem nie wpadłem z deszczu pod rynnę.

120

Rozdział dziesiąty

Byłem dosyć pewny, że tej nocy wypłynę na morze, a każdy, kto by to uczynił w warunkach, jakie przewidywałem, powinien był także wziąć pod uwagę możliwość, że mocno przemoknie; gdybym miał choć odrobinę przezorności pod tym względem, powinienem był wybrać się w pełnym, nieprzemakalnym stroju płetwonurka, ale myśl o takim stroju nigdy nie przyszła mi do głowy, i teraz nie miałem przed sobą innej alternatywy jak leżeć tam, gdzie leżałem, a płacić cenę za moje niedbalstwo.

Czułem się tak, jakbym szybko zamarzał na śmierć. Nocny wiatr na Zuider Zee był dostatecznie przenikliwy, by przejąć chłodem nawet ciepło ubranego człowieka, zmuszonego do leżenia bez ruchu, a ja nie byłem ciepło ubrany. Byłem przemoczony do nitki morską wodą, a ten mrozący wiatr sprawiał, iż miałem wrażenie, że przemieniłem się w bryłę lodu - z tą różnicą, że bryła lodu jest bezwładna, a ja bez przerwy dygotałem,

jak człowiek chory na ostrą malarię. Jediną pociechę stanowił fakt, że było mi zupełnie obojętne, czy zacznie padać deszcz, albowiem nie mogłem zmoknąć jeszcze bardziej.

Zdrętwiałymi i zlodowaciałymi palcami, które mi drżały bez przerwy, odciągnąłem zamki błyskawiczne obu kieszeni kurtki, wyjąłem zarówno pistolet, jak magazynki z ich wodoszczelnych futerałów, załadowałem broń i wsadziłem ją pod brezentową kurtkę. Zastanowiłem się nieporadnie, co by było, gdybym w chwili zagrożenia stwierdził, że mój palec od naciśnięcia spustu zamarzył na sztywno, więc wetknąłem prawą dłoń za przemoczoną kurtkę. Ale skutek był taki, że zrobiło mi się jeszcze zirnniej w rękę, toteż wyciągnąłem ją na powrót.

Światła Amsterdamu pozostawały już daleko w tyle, bo wypłynęliśmy na Zuider Zee. Zauważyłem, że barka podąża po tym samym szerokim łuku, co "Marianne", kiedy zawijała do portu w południe poprzedniego dnia. Przepłynęła bardzo blisko dwóch boi i kiedy spojrzałem nad dziobem, wydało mi się, że bierze kurs prowadzący do zderzenia z trzecią boją,

znajdującą się około czterystu jardów przed nami. Jednakże ani przez chwilę nie wątpilem, że szyper doskonale wie, co robi.

Warkot silnika przycichł, kiedy zmniejszono jego obroty, i z kabiny wyszli na pokład dwaj mężczyźni - pierwsi członkowie załogi, jacy się ukazali na zewnątrz, odkąd opuściliśmy port. Próbowałem rozplaszczyć się jeszcze bardziej na dachu sterowni, ale nie poszli w moją stronę, tylko ku rufie. Okręciłem się, by lepiej ich obserwować.

eden z nich niósł żelazną sztabę z linkami uwiązanymi u końców.

obydwaj, stanąwszy po bokach rufy, poluzowali trochę owe linki, tak że sztaba musiała opuścić się bardzo blisko poziomu wody. Obróciłem się spojrzałem ku dziobowi. Barka, posuwająca się teraz bardzo wolno, musiała być nie dalej niż o dwadzieścia jardów od błyskającej boi i płynęła

na _kursie, który powinien był doprowadzić ją na odległość dwudziestu stóp od niej. Usłyszałem ostre słowa komendy ze sterowni, spojrzałem ku rufie i zobaczyłem, że obaj mężczyźni zaczynają przepuszczać linki między palcami, przy czym jeden z nich coś odliczał. Przyczyna tego liczenia była łatwa do odgadnięcia. Aczkolwiek nie widziałem tego w ciemnościach, na linach musiały być węzły w regularnych odstępach, aby obaj mężczyźni _puszczający linki mogli utrzymać żelazną sztabę prostopadle do kursu

gdy ta znalazła się dokładnie na wysokości boi, jeden z nich zawołał , po czym zaczęli powoli, lecz równomiernie wciągać linki na pokład. wiedziałem już, co teraz nastąpi, lecz mimo to obserwowałem bacznie. teras gdy oba_ nadal ciągnęli, z wody wyprysnęła cylindryczna boja wysokości dwóch stóp. Po niej ukazała się kotwiczka o czterech łapach, których jedna była zaczepiona o metalową sztabę. Do tej kotwiczki przymocowana była lina. Boję, kotwiczki i sztabę wciągnięto na barkę, po czym obaj mężczyźni zaczęli wybierać linę kotwiczną, aż w końcu z wody wynurzył się jakiś przedmiot, który złożyli na pokładzie. Była to szara, z metalowymi pasami, żelazna skrzynka o boku około osiemnastu cali, wysoka na dwanaście. Natychmiast zanieśli ją do kabiny, alé jeszcze zanim to uczynili, barka znowu ruszyła pełną parą i boja zaczęła szybko zostawać w tyle. Całej tej operacji dokonano z łatwością i sprawnością,

świadczyły o dużym obeznaniu z zastosowaną dopiero co techniką. czas mijał, a był to czas przejmującego chłodu, dygotania i udreki. myślałem, że nie może mi być już zimniej i bardziej mokro, ale się myliłem, bo około czwartej nad ranem niebo pociemniało i zaczął padać a nigdy deszcz nie wydał mi się tak zimny. Do tej pory owa odrobina ciepła, która mi jeszcze pozostała w ciele, jakoś częściowo .yła wewnętrzne warstwy odzieży, ale od pasa w dół - bo brezentowa kurtka stanowiła jaką taką ochronę - okazało się to stratą czasu. miałem tylko nadzieję, że kiedy będę musiał ruszyć się z miejsca i znowu

122. ~ 123

skoczyć do wody, nie okaże się, że jestem już w takim stanie odrętwiającego paraliżu, że zdołam jedynie utonąć.

Na niebie ukazało się pierwsze światło zwodniczego brzasku i mogłem niewyraźnie rozeznac zamazane zarysy lądu na południu i wschodzie. Potem znów zrobiło się ciemniej i przez jakiś czas nic nie widziałem, aż wreszcie prawdziwy świt począł rozlewać się blado od wschodu i znowu dojrzałem ląd, i stopniowo doszedłem do wniosku, że jesteśmy dość blisko północnego brzegu wyspy Huyler i zaczynamy skręcać na południowy wschód, a potem na południe, ku małemu portowi wyspy.

Nigdy dotąd nie zdawałem sobie sprawy, że te przeklęte barki poruszają się tak wolno. Patrząc na brzegi Huyler miało się wrażeń, że barka stoi nieruchomo na wodzie. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłem, było podpłynięcie do wyspy Huyler w jasnym świetle dziennym i wywołanie komentarzy nieumilnionych gapiów portowych na temat faktu, iż jeden z członków załogi jest tak ekscentryczny, że woli zimny dach sterowrła od ciepła w jej wnętrzu. Pomyślałem o owym ciepłe i odsunąłem od siebie tę myśl.

Nad dalekim wybrzeżem Zuider Zeé ukazało się słońce, ale nic mi nie pomogło; było to jedno z owych osobliwych słońc, które nie osuszają ubrania, a po chwili z zadowoleniem spostrzegłem, że jest także jednym z owych wczesnoporannych słońc, które tylko sprawiają zawód, bo zaraz przesłonił je całun ciemnych chmur, po czym ów zacinający, mroźny deszcz znów zabrał się ostro do dzieła paraliżując tę resztkę krążenia krwi, która mi jeszcze została. Byłem rad, bo od tych chmur znów pociemniało, a deszcz mógł nakłonić portowych ciekawskich do pozostania w domu.

Zbliżaliśmy się do kresu podróży. Deszcz na szczęście wzmógł się tak dalece, że boleśnie bębnił po mojej odsłoniętej twarzy i rękach i biał syczał po morzu; widoczność ograniczyła się do paruset jardów i chociaż dostrzegłem rząd znaków nawigacyjnych, ku ktbrym skręcała barka, nie mogłem dojrzeć portu za nimi.

Włożyłem pistolet do nieprzemakalnego futerału i wsadziłem go do kabury. Byłoby bezpieczniej włożyć go do zaciągniętej na ekler kieszeni brezentowej kurtki, tak jak to zrobiłem poprzednio, ale nie zamierzałem zabierać jej ze sobą. Przynajmniej niezbyt daleko, bo byłem tak odrętwiały i osłabiony po przeżyciach tej długiej nocy, że owa oblepiająca mnie i ściskająca, uciążliwa kurtka mogłaby uniemożliwić mi wydostanie się na brzeg; jeszcze jedną rzeczą, której niebacznie zapomniałem zabrać ze sobą, była nadmuchiwana ratunkowa kamizelka lub pas.

Ściągnąłem kurtkę i zwinąłem ją sobie pod pachą. Wiatr nagle wydał mi

się znacznie bardziej lodowaty niż kiedykolwiek, ale nie była już pora tym się przejmować. Popelznałem po dachu sterowzŚ, ześliznąłem się cicho po drabince, przeczołgałem się poniżej poziomu odsłoniętych teraz okien kabiny, zerknąłem szybko na dziób - co było zbędną ostrożnością, bo

żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie wyszedłby na pokład w tej chwili, jeżeliby nie musiał - cisnąłem brezentową kurtkę za burtę, przrzuciłem się przez rufę, opuściłem się na całą długość r. nion, sprawdziłem, czy w pobliżu nie ma kogoś z załogi, i osunąłem się w wodę. W morzu było cieplej niż na dachu sterowni, co dobrze się dla mnie składało, bo czułem się niemal przerażająco osłabiony. Miałem pierwotnie zamiar utrzymywać się w wodzie, dopóki barka nie weszłaby do portu bo przynajmniej w istniejących warunkach nie zniknęłaby w mgławicy i deszczu, ale nie była to pora na tego rodzaju wymyślności. Moją główną troską, jedyną troską w tej chwili, było pozostać przy życiu. Poprułem za szybko oddalającą się rufą barki, najprędzej jak mogłem.

był to wyczyn pływacki, który trwał nie więcej niż dziesięć minut którego z łatwością mogło dokonać każde dobrze wyćwiczone sześciolatnie _ dziecko, ale owego rana znajdowałem się poniżej tego standardu _ chociaż nie mogę twierdzić, że graniczyło to z niepodobieństwem, nie mógłbym uczynić tego powtórnie. Kiedy wyraźnie dojrzałem obmurowanie _ portu, zboczyłem od znaków nawigacyjnych, pozostawiając je po prawej ręce, i wreszcie dotarłem do brzegu.

z _ chlupotem przeszedłem przez plażę i wtedy, jakby na dany znak, deszcz ustał. Ostrożnie wspiąłem się na niewielką wyniosłość, którą miałem _ przed sobą, a której wierzch znajdował się na jednym poziomie z wierzchem obmurowania portu, wyciągnąłem się płasko na zmoczonej i ostrożnie uniosłem głowę.

tuż obok po prawej były dwa małe, czworokątne baseny portu Huyler, których zewnętrzny łączył się wąskim przejściem z wewnętrznym. Za we _ wnętrznym basenem leżało ładne; jakby wyjęte z widokówki miastecz- _ Huyler, które poza jedną długą i dwiema' krótkimi, prostymi ulicami, biegnącymi równolegle do wewnętrznego basenu, było uroczym labiryntem zamkniętych zaułków i chaotycznym nagromadzeniem domów pomalowa- nych głównie na zielono i białe i ustawionych na podporach dla zabez- pieczenia przed powodzią. Podpory te były obmurowane dla korzystania jako piwnice, a do domów wchodziło się po zewnętrznych drewnianych schodkach prowadzących na pierwszą kondygnację.

zeniósłem wzrok znowu na basen zewnętrzny. Barka stała przy jego urowaniu i rozładunek był już w pełni. Dwa małŃ nabrzeżne żurawie obywały z ładowni skrzynie i worki, mnie jednak, nie interesowały skrzynki i worki będące z pewnością całkowicie legalnym ładunkiem, 'tamta mała metalowa skrzynka podjęta z morza, co do której miałem pewność, że jest najbardziej nielegalnym ładunkiem, jaki można sobie wyobrazić. Dałem więc spokój ładunkowi legalnemu i skupiłem całą uwagę na kabinie barki. Miałem w Bogu nadzieję, że jeszcze się nie spóźniłem, chociaż nie bardzo wiedziałem, jak to było możliwe.

Nie spóźniłem się, ale niewiele brakowało. W niespełna trzydzieści sekund po rozpoczęciu przeze mnie obserwacji kabiny, ukazali się dwaj ludzie, z których jeden niósł worek przerzucony przez ramię. Aczkolwiek zawartość worka grubo czymś wyścielono, odznaczał się on niewątpliwą kanciastością, która nie pozostawiła mi większych wątpliwości, że jest właśnie tym, co mnie interesuje.

Obaj mężczyźni zeszli na ląd. Obserwowałem ich przez chwilę, aby uzyskać ogólne pojęcie o kierunku, w którym zmierzali, ześliznąłem się po błotnistym obwałowaniu - następna pozycja na moim koncie wydatków, bo ubranie moje dostało tej nocy okropne cięgi - i ruszyłem za nimi. Łatwo było ich obserwować. Nie tylko najwyraźniej nie mieli żadnych podejrzeń, że ktoś za nimi idzie, ale te wąskie i opętane kręte uliczki czyniły z Huyler raj dla śledzącego. W końcu obaj mężczyźni zatrzymali się przed podłużnym, niskim budynkiem na północnym skraju miasteczka. Parter - albo raczej piwnica w tym miasteczku - był zbudowany z betonu. Wyższe piętro, na które wchodziło się po drewnianych schodkach, podobnych do tych, za którymi ukryłem się obserwując z bezpiecznej odległości czterdziestu jardów, miało wysokie, wąskie okna, zaopatrzone w tak gęste kraty, że kot prześliznęłyby się przez nie z trudnością; ciężkie drzwi były zamknięte na dwie żelazne sztaby i zabezpieczone dwiema dużymi kłódkami. Mężczyźni weszli na schodki, ten, który nie był obciążony workiem, otworzył kłódkę, pchnął drzwi, po czym zniknęli w środku. Ukazali się znowu po dwudziestu sekundach, zamknęli za sobą drzwi i odeszli. Teraz obaj nie byli niczym obciążeni.

Przez chwilę pożałowałem, że waga mojego pasa z narzędziami włamawacza zmusiła mnie do zostawienia go tej nocy, ale nikt nie wybiera się pływać opasany pokaźną ilością metalu. Żal ten jednakże trwał krótko. Niezależnie od faktu, że na drzwi prowadzące do tego grubo okratowanego budynku wychodziło z pięćdziesiąt okien i że człowiek zupełnie tu obcy zostałby natychmiast rozpoznany przez każdego mieszkańca Huyler, było jeszcze za wcześnie odkrywać karty; płotki mogą być wcale niezłym pożywieniem, ale ja goniłem za wielorybami i potrzebowałem przynęty w owej skrzynie, aby je złowić.

Nie musiałem mieć planu miasta, aby wydostać się z Huyler. Port znajdował się na zachodzie, a zatem koniec drogi wiodącej przez groblę musiał być w stronie wschodniej. Przeszedłem kilka wąskich, krętych uliczek nie będąc jednak w odpowiednim nastroju, aby ulegać temu dziwnemu, staroświeckiemu urokowi, który każdego lata ściągał tutaj dziesiątki tysięcy turystów, i dotarłem do niewielkiego mostu przerzuconego łukiem nad wąskim kanałem. Kiedy przezeń przechodziłem, minęły mnie pierwsze trzy osoby, jakie dotąd ujrzałem w miasteczku - trzy miejscowe matrony ubrane w swe tradycyjne, sute stroje. Zerknęły na

mnie bez zaciekawienia, a potem równie obojętnie odwróciły wzrok, jak gdyby było rzeczą najnaturalniejszą w świecie napotkać wczesnym rankiem na ulicach Huyler człowieka, który najwyraźniej niedawno skąpał się w morzu.

O kilka jardów za kanałem znajdował się nadspodziewanie duży parking; w tej chwili stało na nim zaledwie parę wozów i z pół tuzina rowerów, których żaden nie był zaopatrzone w kłódkę lub łańcuch czy jakiegol-

wiek inne zabezpieczenie. Najwyraźniej kradzież nie była problemem na wyspie Huyler, co wcale mnie nie zdziwiło, albowiem kiedy zaczęli tutejsi obywatele brać się do przestępstwa, czynili to na znacznie większą skalę. Na parkingu nie było żywej duszy i nie spodziewałem się zastać tam o tej porze obsługi. Czując się bardziej winnym niż z powodu wszelkich innych czynów, jakich dokonałem od przybycia na lotnisko Schiphol, wybrałem sobie najsprawniej wyglądający rower, podprowadziłem go do zamkniętej bramy, przełożyłem go na drugą jej stronę, potem przelazłem sam popedałowałem przed siebie. Nie rozległy się krzyki: "łapać złodzieja!"
nic w tym rodzaju.

Od lat nie siedziałem na rowerze i mimo że nie byłem w odpowiednim humorze, by znowu odczuć tamto pierwsze wspaniałe, beztroskie upojenie, wkrótce odzyskałem sprawność i chociaż niezbyt rozkoszowałem się jazdą, była przynajmniej lepsza od maszerowania na piechotę i miała ten skutek, że ponownie wprawiła w ruch trochę moich czerwonych ciałek. Zaparkowałem rower na małym placu wioski, gdzie zostawiłem policyjną taksówkę - nadal tam stała - i popatrzyłem z namysłem najpierw na budkę telefoniczną, a potem na zegarek; uznałem, że jest jeszcze za wcześnie, więc otworzyłem samochód i odjechałem.

;'O pół mili dalej na drodze do Amsterdamu dotarłem do starej holenderskiej stodoły, stojącej z dala od domu gospodarza. Zatrzymałem wóz w takim miejscu, że stodoła znalazła się między nim a kimś, kto mógłby przypadkiem wyrzucić z owego domu. Otworzyłem bagażnik, wyjąłem zawiniętą w brunatny papier paczkę, udałem się do stodoły, stwierdziłem, że jest zamknięta, wszedłem do środka i przebrałem się w całkowicie suche odzienie. Nie przeobraziło mnie to w zupełnie innego człowieka, ale nie mogłem przestać się trząść, ale przynajmniej nie byłem już pogrążony w tej oślizłej, lodowatej udręce, w której trwałem od wielu godzin.

Ruszyłem znowu w drogę. Ujechawszy dalsze pół mili natrafiłem na przydrożny budynek rozmiarów małego bungalowu, którego szylt zuchwale : głosił, że jest to motel. Motel czy nie motel, był w każdym razie otwarty, a niczego więcej nie pragnąłem. Pulchna właścicielka spytała, czy chcę : zjeść śniadanie, lecz dałem jej do zrozumienia, że mam inne, pilniejsze potrzeby. W Holandii mają przemiły zwyczaj napełniania kieliszka

126 127

Jonge Genever po same brzegi, toteż właścicielka przypatrywała się ze zdumieniem i niemąym niepokojem, jak moje rozdygotane dłonie próbowały podnieść ów płyn do ust. Nie rozlałem więcej niż połowę, ale widziałem, iż kobieta zastanawia się, czy nie wezwać policji albo pomocy lekarskiej, ażeby się zajęła alkoholikiem cierpiącym na delirium tremens - lub może narkomanem, który zgubił swoją strzykawkę; jednakże była ząną osobą i na mą prośbę przyniosła mi drugi Jonge Genever. Tym razem rozlałem najwyżej ćwierć, a za trzecią kolejką nie tylko nie uroniłem ani kropli, ale wyraźnie poczułem, że resztką moich czynnych ciałek czerwonych dźwiga się na nogi i zabiera energicznie do działania. Po czwartym Jonge Genever ręce miałem już spokojne jak skała.

Pożyczyłem elektryczną maszynkę do golenia, a potem zjadłem gigan-

tyczne śniadanie, złożone z jajek, mięsa, szynki i serów, czterech różnych rodzajów chleba i bez mała galonu kawy. Jedzenie było znakomite. Może ten motel i był dopiero w powijakach, ale miał przed sobą przyszłość.

Poprosiłem, żeby mi pozwolono skorzystać z telefonu.

Połączyłem się z hotelem "Touring" w parę sekund, natomiast znacznie dłuższego czasu potrzebowała recepcja, żeby uzyskać odpowiedź z pokoju Maggie i Belindy. W końcu odezwał się bardzo zaspany głos Maggie:

- Halo, kto mówi?

Nieomal ją widziałem przeciągającą się i ziewającą.

- Hulało się wczorajszego wieczora, co? - zapytałem surowo.

- Słucham? - Jeszcze nie oprzytomniała.

- Śpicie twardo w środku dnia. - Dochodziła dopiero ósma. - Po prostu para leniuchów w minispódniczkach.

- Czy to. . . czy to pan ?

- A któż by inny, jak nie pan i władca? - Te kilka Jonge Genever zaczynało z opóźnieniem wywierać swój skutek.

- Belindo! Wrócił! - Pauza. - Pan i władca, powiada.

- Tak się cieszę! - To był głos Belindy. - Tak się cieszę! Bo my...

- Nie cieszysz się nawet w przybliżeniu tak jak ja. Możesz wrócić do łóżka. Jutro rano postaraj się wstać przed mleczarzem.

- Nie wychodziłyśmy z pokoju. - Była ogromnie speszona. - Rozmawiałyśmy, niepokoiłyśmy się, prawie nie zmrużyłyśmy oka i myślałyśmy...

- Przepraszam. Maggie, ubierz się. Nie trać czasu na kąpiel piankową i śniadanie. . .

- Bez śniadania? Założę się, że pan jadł śniadanie. - Belinda miała niedobry wpływ na tę dziewczynę.

- Jadłem.

- I spędził pan noc w luksusowym hotelu?-

- Ranga ma swoje przywileje. Weź taksówkę, zostaw ją na krańcach miasta, zadzwoń po miejscową i jedź w stronę Huyler.

- Tam, gdzie wyrabiają te lalki?

-Właśnie. Spotkasz mnie jadącego w południowym kierunku żółto--czerwoną taksówką. - Podałem jej numer rejestracyjny. - Każ kierowcy _ stanąć. I pospiesz się, jak tylko możesz.

Odłożyłem słuchawkę, zapłaciłem i ruszyłem w drogę. Cieszyłem się, że żyję. Tak, cieszyłem się, że żyję. Była to noc, która nie wyglądała na to, by po _ niej nastąpił jakiś poranek, ale oto żyłem i cieszyłem się z tego.

dziewczyny też się cieszyły. Było mi sucho i ciepło, najadłem się, Jonge gnever radośnie popędzał czerwone ciała jak na karuzeli, wszystkie główne nici spletały się w piękny wzór i z końcem dnia miało już być po wszystkim. Jeszcze nigdy nie czułem się tak dobrze.

Nie miałem już więcej czuć się tak dobrze.

Kiedy zbliżałem się do przedmieść, z jakiejś złtej taksówki dano mi znak, żebym się zatrzymał. Przeszedłem na drugą stronę szosy w chwili, gdy _ Maggie wysiadała z samochodu. Miała na sobie granatowy kostium białą bluzkę, i jeżeli spędziła bezsenną noc, to z pewnością nie było tego po niej widać. Wyglądała pięknie, ale przecież zawsze tak wyglądała;

Jednakże tego rana było w niej coś szczególnego.

- No, no, no - powiedziała. - Cóż to za zdrowo wyglądający upiór!

_ mogą pana pocałować?

- Jasne, że nie - odrzekłem z godnością. - Stosunki między pracodawcą a pracownicą są...

- Daj spokój, Paul. - Pocałowała mnie bez zezwolenia. - Co chcesz, żebym zrobiła?

- Jedź do Huyler. Przy porcie jest dużo lokali, gdzie możesz zjeść śniadanie. Jest też pewne miejsce, które masz obserwować pilnie, ale nie bez przerwy. - Opisałem jej zakratowany budynek i jego położenie.

Postaraj się zorientować, kto wchodzi i wychodzi z tego budynku i co tam się dzieje. I pamiętaj, że jesteś turystką. Przez cały czas trzymaj się ludzi albo możliwie najbliżej nich. Belinda jeszcze jest u siebie

Tak - uśmiechnęła się Maggie. - Był do niej telefon, kiedy się kąpałam. - Zdaje się, że dobra wiadomość.

A kogoż to Belinda zna w Amsterdamie? - spytałem ostro. - Kto dzwonił?

Astrid Lemay.

Co ty mówisz, na miłość boską? Astrid uciekła za granicę. Mam na to dowody.

Jasne, że uciekła. - Maggie bawiła się doskonale. - Uciekła, bo jej bardzo ważne zadanie do wykonania, a nie mogła go wykonać,

ponieważ była śledzona wszędzie, gdzie się ruszyła. Więc się wymknęła, wysiadła w Paryżu, otrzymała zwrot pieniędzy za swój bilet do Aten i przyleciała z powrotem. Mieszka z Georgem pod Amsterdamem, u przyjaciół, którym może zaufać. Kazała ci powiedzieć, że zastosowała się do twoich wskazówek. Że była w Kasteel Linden i że...

- O, Boże! - zawołałem. - O, Boże!

Popatrzyłem na Maggie, która stała przede mną z uśmiechem z wolna zamierającym na ustach, i przez chwilę zapragnąłem rzucić się wściekle na nią za jej bezmyślność, za jej głupotę, za tę uśmiechniętą twarz, za czcze gadanie o dobrej wiadomości, ale potem zawstydziłem się bardziej niż kiedykolwiek w życiu, bo wina była moja, nie Maggie, i prędzej dałbym sobie uciąć rękę, niż zrobił jej krzywdę, więc zamiast tego objąłem ją za ramiona i powiedziałem:

- Maggie, muszę cię teraz zostawić.

Uśmiechnęła się do mnie niepewnie.

- Przepraszam, nie rozumiem.

- Maggie. . .

- Co, Paul?

-Jak myślisz, skąd Astrid Lemay dowiedziała się numeru waszego nowego hotelu?

- Boże drogi! - wykrzyknęła, bo teraz zrozumiała.

Pobiegłem do swego wozu nie oglądając się i ruszyłem naciskając gaz jak szalencie, którym chyba naprawdę byłem. Włączyłem migające błękitne światło policyjne oraz syrenę, potem wcisnąłem słuchawki na uszy i począłem rozpaczliwie manipulować gałkami radia. Nikt mi nie pokazał,

jak trzeba się z nim obchodzić, a teraz nie była pora się uczyć. Hałas wypełnił samochód - przenikliwy ryk przeciążonego silnika, wycie syreny, trzaski i zakłócenia w słuchawkach i wreszcie to, co wydawało mi się najgłośniejsze ze wszystkiego - moje chrapliwe, zaciekle i jałowe przekleństwa, kiedy usiłowałem uruchomić to przekłete radio. A potem nagle trzaski ustały i usłyszałem czyjś spokojny, opanowany głos.

- Komenda policji? - krzyknąłem. - Dajcie mi pułkownika de Graafa! Nieważne, kim jestem. Szybko, człowieku, szybko!

Nastąpiła długa, rozwścieczająca cisza, podczas gdy przemykałem się przez poranny natłok pojazdów, po czym głos w słuchawkach powiedział:

- Pułkownika de Graafa jeszcze nie ma w biurze.

- To łapcie go w domu! - krzyknąłem.

W końcu odnaleźli go w domu.

- Pułkownik de Graaf? Tak, tak, tak. Mniejsza o to. Ta lalka, którą widzieliśmy wczoraj. Ja już przedtem widziałem taką dziewczynę. Astrid Lemay. - De Graaf począł zadawać pytania, ale mu przerwałem. = Na miłość boską, to nieważne. Ten magazyn... przypuszczam, że ona jest

śmiertelnym niebezpieczeństwem. Mamy do czynienia ze zbrodniczym anakiem. Pospieszcie się, na miłość boską.

Zrzuciłem słuchawki i skupiłem uwagę na prowadzeniu wozu i przeklinaniu samego siebie. Jeżeli ktoś szuka kandydata na łatwe wywiedzenie pole - myślałem z wściekłością - to Sherman jest tym, kogo mu trzeba. ale jednocześnie byłem świadom, że przynajmniej do pewnego stopnia jestem wobec siebie niesprawiedliwy; miałem do czynienia ze znakomicie zorganizowaną organizacją przestępczą, to niewątpliwe, ale z organizacją, która miała w sobie nieobliczalny element psychopatyczny, prawie uniemożliwiający normalne przewidywanie. Jasne, Astrid wydała Jimmy'ego Duclosa, ale miała do wyboru albo jego, albo George'a, a George był jej bratem. Nasłali ją, żeby mnie rozpracowała, bo przecież sama nie mogła żadną miarą wiedzieć, że zatrzymałem się w hotelu "Rembrandt", ale zamiast zapewnić sobie moją pomoc i współczucie, stchórzyła w ostatniej chwili, ja zaś kazałem ją śledzić, i wtedy właśnie zaczęły się kłopoty, wtedy stała się obciążeniem, zamiast atutem. Zaczęła widywać się ze mną - czy ja z nią - bez wiedzy tamtych. Mogli mnie zaobserwować, kiedy odprowadzałem George'a od tej katarynki na Rembrandtplein albo w kościele, mogli także mnie widzieć ci dwaj pijacy przed jej mieszkaniem, którzy wcale nie byli pijakami.

W końcu tamci doszli do wniosku, iż lepiej ją usunąć, ale nie w taki sposób, abym pomyślał, że stało jej się coś złego; uważali bowiem, słusznie, że gdybym przypuścił, iż jest uwięziona czy w niebezpieczeństwie, porzuciłbym wszelką nadzieję osiągnięcia mojego ostatecznego celu uczyniłbym to, co jak teraz wiedzieli, było ostatnią rzeczą, którą chciałem uczynić - a mianowicie poszedłbym na policję i ujawnił wszystko, co wiedziałem, a podejrzewali, że jest tego bardzo dużo. I to również było ostatnią rzeczą, którą pragnęliby, abym uczynił, bo chociaż zgłaszając się na _ policję przekreśliłbym swoje zamierzenia, mógłbym tak poważnie zaszkodzić ich organizacji, że trzeba by było miesięcy, a może i lat, aby ją odbudować. Dlatego Durrell i Marcel odegrali swoją rolę wczoraj rano w "Balinova", gdy tymczasem ja do gruntu przeszarżowałem moją, i prze-

klinali mnie, że Astrid i George odlecieli do Aten. Jasne, że tak. Odlecieli rzeczywiście, ale w Paryżu zmuszono ich do opuszczenia samolotu i powrotu do Amsterdamu. Kiedy Astrid rozmawiała z Belindą, miała pistolet przystawiony do głowy.

A teraz oczywiście była już dla nich bezużyteczna. Przeszła na stronę wroga, a z takimi ludźmi robi się tylko jedno. No i oczywiście nie musieli już obawiać się jakiegś reakcji z mojej strony, ponieważ utonąłem o drugiej nad ranem w porcie barkowym. Teraz miałem już klucz do tego wszystkiego, bo wiedziałem, dlaczego czekali. Ale wiedziałem też, że ten klucz uzyskałem za późno, aby ocalić Astrid.

130 131

Na nic nie najechałem i nikogo nie zabiłem podczas przejazdu przez Amsterdam, ale to dlatego, że jego obywatele mają bardzo szybki refleks. Znalazłem się w starej dzielnicy i z wielką szybkością zbliżałem się do magazynu prowadzącą doń wąską, jednokierunkową uliczką, gdy wtem ujrzałem barierę policyjną i policyjny wóz stojący w poprzek ulicy z uzbrojonymi policjantami po obu jego stronach. Zahamowałem z poślizgiem. Kiedy wyskoczyłem z wozu, podszedł do mnie policjant.

- Policja - powiedział na wypadek, gdybym pomyślał, że jest agentem ubezpieczeniowym albo kimś takim. - Proszę zawrócić.

- Nie poznajecie waszego własnego wozu? - warknąłem. - Zejdź pan z drogi, do diabła!

- Nikomu nie wolno wjeżdżać w tę ulicę.

- W porządku. - Zza rogu ukazał się de Graaf i gdybym już się nie domyślił ujrzawszy policyjny samochód, wyraz jego twarzy powiedziałby mi wszystko. - To nie bardzo przyjemny widok, panie majorze.

Wyminąłem go bez słowa, wyszedłem za róg i spojrzałem w górę. Z tej odległości podobna do lalki postać, kołysząca się powoli u krańca wyciągnika na szczycie magazynu Morgensterna i Muggenthalera, wydawała się niewiele większa od lalki, którą widziałem wczoraj rano, ale tamtą oglądałem wprost od dołu, więc ta musiała być większa, dużo większa. Ubrana była w ten sam tradycyjny strój, co lalka, która kołysała się tam jeszcze tak niedawno; nie musiałem podchodzić bliżej, by wiedzieć, że twarz wczorajszej lalki była doskonałą repliką tej twarzy, którą widziałem teraz. Zawróciłem za róg, a de Graaf ze mną.

- Dlaczego jej nie zdejmiecie? - spytałem. Słyszałem własny głos jakby z oddalenia, nienormalnie, lodowato spokojny i zupełnie bezbarwny.

- To robota dla lekarza. Już poszedł tam na górę.

- Oczywiście. - Przerwałem, po czym powiedziałem: - Ona chyba nie może tam być od dawna. Żyła jeszcze niespełna godzinę temu. Na pewno magazyn był otwarty na długo przed...

- Dziś jest sobota: W soboty nie pracują.

- Oczywiście - powtórzyłem mechanicznie. Inna myśl przyszła mi do głowy, myśl, która mnie przejęła jeszcze większym lękiem i chłodem. Astrid, z pistoletem przystawionym do głowy, zatelefonowała do hotelu

"

Touring". Ale telefonowała z wiadomością dla mnie, a ta wiadomość nie

miała znaczenia i nie mogła ani nie powinna była nic osiągnąć, bo przecież leżałem na dnie portu: Mogła mieć jakiś cel jedynie wtedy, gdyby została mi przekazana. Podano by ją tylko wtedy, gdyby tamci wiedzieli, że nadal żyję. A skąd mogli wiedzieć, że żyję? Kto mógł przekazać im tę wiadomość? Nikt mnie nie widział, z wyjątkiem tamtych trzech matron na Huyler. A dlaczego miałyby się tym zajmować?

Było coś więcej. Dlaczego kazali Astrid zatelefonować, a potem narazili samych siebie i swoje plany zabijając ją, kiedy tak usilnie starali się mnie przekonać, że żyje i jest zdrowa, i cała? Nagle, z całą pewnością objawiła mi się odpowiedź. Oni o czymś zapomnieli i ja o czymś zapomniałem. Zapomnieli o tym, o czym zapomniała Maggie: że Astrid nie знаła numeru telefonicznego nowego hotelu dziewczyn; a ja zapomniałem, że ani Maggie, ani Belinda nigdy nie spotkały się z Astrid i nie słyszały jej głosu. Zawróciłem za róg. Pod szczytem dachu magazynu łańcuch i hak nadal kołysały się lekko, ale już pozbaw one obciążenia.

Powiedziałem de Graafowi: - Niech pan poprosi doktora. - Zjawił się po paru minutach, młody, zapewne świeżo po studiach, i jak przypuszczałem, blebszy niż zazwyczaj. Zapytałem szorstko:

- Ona nie żyje od kilku godzin, prawda?

Kiwnął głową. - Od czterech, pięciu, nie mam pewności.

' - Dziękuję. - Odszedłem za róg w towarzystwie de Graafa. Na jego twarzy, malowały się liczne pytania, ale nie miałem ochoty na nie odpowiadać. - To ja ją zabiłem - powiedziałem. - Myślę, że może zabiłem jeszcze

- Nie rozumiem - rzekł de Graaf.

- Przypuszczam, że posłałem Maggie na śmierć.

- Maggie?

- Przepraszam, nie mówiłem panu. Miałem ze sobą dwie dziewczyny, dwie z Interpolu. Jedną z nich była Maggie. Druga jest w hotelu "Touring".

- Podałem mu nazwisko i numer telefonu Belindy. - Niech pan się z nią skontaktuje w moim imieniu, dobrze? Proszę jej powiedzieć, żeby się zamknęła na klucz w pokoju i nigdzie nie wychodziła, dopóki się do niej nie odezwę, i żeby nie reagowała na żadne telefony ani pisemne wiadomości, _ które nie będą zawierały słowa "Birmingham". Czy zechce pan to zrobić osobiście?

- Naturalnie.

Wskazałem głową samochód de Graafa. - Może pan połączyć się radio telefonem z Huyler?

Potrząsnął głową.

- To z komendą policji.

Podczas gdy de Graaf wydawał polecenia kierowcy, zza rogu ukazał się Van Gelder z ponurą miną. W rękę trzymał torebkę.

- To jest torebka Astrid Lemay? - spytałem. Kiwnął głową. - Poproszę o nią.

Stanowczo potrząsnął głową.

- Nie mogę. W przypadku morderstwa...

- Niech pan ją da majorowi - powiedział de Graaf.

- Dziękuję. - Do de Graafa powiedziałem: - Pięć stóp cztery cale wzrostu, długie, czarne włosy, niebieskie oczy, bardzo przystojna, granatowy kostium, biała bluzka i biała torebka. Powinna być w okolicy...
- Chwileczkę. - De Graaf pochylił się do kierowcy, po czym powiedział:
- Połączenie z Huyler jest martwe. Śmierć chodzi za panem, majorze.
- Zadzwoń do pana później - odrzekłem i ruszyłem do mego samochodu.
- Pojadę z panem - powiedział van Gelder.
- Ma pan tu pełne ręce roboty. Tam, gdzie jadę, nie potrzebuję żadnych policjantów.
Van Gelder kiwnął głową. - Co oznacza, że wykroczy pan poza prawo.
- Już jestem poza prawem. Astrid Lemay nie żyje. Jimmy Duclos nie żyje. Maggie może też. Chcę porozmawiać z ludźmi, którzy innym odbierają życie.
- Uważam, że powinien pan oddać nam broń - powiedział spokojnie van Gelder.
- A co pan chce, żebym miał w rękę, kiedy będę z nimi rozmawiał? Biblię? Żeby pomodlić się za ich dusze? Najpierw niech pan mnie zabije, a potem zabierze mi broń.
- Pan ma jakieś informacje i zataja je przed nami? - zapytał de Graaf.

- Tak. '
- To nie jest uprzejme ani mądre, ani legalne.
Wsiadłem do samochodu.
- Jeżeli idzie o mądrość, osądzi pan później. Uprzejmość i legalność już mnie nie obchodzą.
Uruchomiłem silnik i w tym momencie van Gelder ruszył ku mnie, ale usłyszałem, jak de Graaf powiedział:
- Niech pan go zostawi, inspektorze, niech pan go zostawi.

Rozdział jedenasty

Nie pozyskałem sobie wielu przyjaciół w drodze do Huyler, ale też nie byłem w nastroju po temu. W normalnych warunkach, prowadząc wóz tak po wariacku i całkowicie nieodpowiedzialnie, powinienem był spowodować co najmniej z pół tuzina wypadków, wszystkich poważnych, ale przekonałem się, że błyskające policyjne światło i syrena miały moc oczyszczenia przede mną drogi: Zbliżające się albo jadące w tym samym, co ja, kierunku samochodu zwalniały na odległość pół mili bądź zatrzymywały się przy samym poboczu drogi. Przez chwilę ścigał mnie jakiś wóz policyjny, którego kierowca powinien był mieć więcej rozumu, nie miał powodów do takiego pośpiechu jak ja i słusznie uznał, że nie ma sensu zabić się tylko po to, by zarobić na tygodniową płacę. Wiedziałem, że natychmiast zostanie zarządzony przez radio alarm, ale nie obawiałem się barier drogowych ani innych takich przykrości, bo' z chwilą, kiedy na komendzie otrzymaliby mój numer rejestracyjny, zostawiliby mnie

w spokoju.

Wolałbym odbyć tę podróż innym samochodem albo autobusem, bo żółto-czerwonej taksówce brak jednej zalety, a mianowicie niepozorności, Ale pośpiech był ważniejszy od dyskrecji. Wybrałem kompromisowe wyjście przejeżdżając ostatni odcinek szosy na grobli ze stosunkowo umiarkowaną szybkością, bo widok żółto-czerwonej taksówki zbliżającej się do miasteczka w tempie mniej więcej stu mil na godzinę dałby powód do _niejakich dociekań nawet znanym z braku ciekawości Holendrom. Zaparkowałem wóz na szybko zapelniającym się parkingu, zdjąłem kurtkę, kaburę podramienną i krawat, postawiłem kołnierz, podwinąłem rękawy i wysiadłem z samochodu niosąc kurtkę niedbale przewieszoną przez lewą rękę; pod kurtką trzymałem pistolet z nałożonym tłumikiem. znana z kapryśności holenderska pogoda zmieniła się raptownie na jlepsze. Już kiedy wyjeżdżałem z Amsterdamu, zaczęło się przejaśniać Teraz jedynie puchate obłoczki sunęły po skądinąd bezchmurnym niebie, w gorącym słońcu parowały domy oraz przyległe pola. Poszedłem

135

nieśpiesznie, ale nie zanadto powoli ku budynkowi, który poleciłem Maggie mieć pod obserwacją. Drzwi były szeroko otwarte i widziałem przesuające się wewnątrz osoby, wszystko kobiety w tradycyjnych strojach; od czasu do czasu któraś wychodziła i zmierzała do miasteczka, a niekiedy wynurzał się jakiś mężczyzna z kartonowym pudłem, które ustawiał na taczkach i popychał w tym samym kierunku. Była to widać siedziba jakiegoś chałupniczego przemysłu, ale z zewnątrz nie można było osądzić jakiego. O tym, że był to przemysł całkowicie nieszkodliwy, świadczył fakt, że przechodzących od czasu do czasu turystów zapraszano z uśmiechem do wnętrza, aby się rozejrzeli. Wszyscy, którzy wchodzili, wychodzili na powrót, więc miejsce to najwyraźniej nie było złowieszcze. Na północ od budynku rozciągała się ogromna łąka, w oddali widziałem grupkę tradycyjnie ubranych kobiet podrzucających siano, by je osuszyć w porannym słońcu. Pomyślałem sobie, że widocznie mężczyźni z Huyler potrafili się dobrze urządzać, najwyraźniej żaden z nich nie wykonywał jakiegokolwiek pracy w ogóle.

Nigdzie nie było ani śladu Maggie. Powędrowałem, z powrotem do miasteczka, kupiłem sobie przydymione okulary - bardzo ciemne bowiem, zamiast przyczyniać się do maskowania, raczej zwracają uwagę i pewnie dlatego tak wiele osób je nosi - oraz obwisły słomiany kapelusz, w którym nie pokazałbym się nawet martwy nigdzie poza Huyler. Nie można było tego nazwać doskonałym przebraniem, bo nic poza szminką nie mogło ukryć białych blizn na mojej twarzy, ale przynajmniej dawało mi pewien stopień anonimowości i myślę, że nie odróżniałem się tak bardzo od dziesiątków innych turystów wędrujących po miasteczku.

Huyler jest bardzo małym miasteczkiem, ale kiedy zaczynamy się rozglądać za kimś nie mając pojęcia, gdzie się znajduje, i kiedy ten ktoś wędruje tu i ówdzie jednocześnie z nami, nawet najmniejsze miasteczko może się stać kłopotliwie rozległe. Najszybciej jak mogłem to uczynić, nie zwracając na siebie uwagi, przemierzyłem wszystkie uliczki Huyler i nie

znalazłem ani śladu Maggie.

Byłem już dosyć bliski cichej desperacji i nie baczyłem na głos wewnętrzny mówiący mi z porażającą pewnością, iż zjawiłem się za późno, a jeszcze bardziej trapił mnie fakt, że musiałem prowadzić poszukiwania nie zdradzając większego pośpiechu. Zacząłem z kolei obchodzić wszystkie sklepy i kawiarnie, chociaż jeżeli Maggie była jeszcze żywa i cała, nie spodziewałem się znaleźć jej tam z uwagi na zadanie, które jej powierzyłem. Ale nie mogłem sobie pozwolić na przeoczenie żadnej możliwości.

Sklepy i kawiarnie w pobliżu wewnętrznego portu nic mi nie dały - a obszedłem je wszystkie. Z kolei począłem zataczać coraz szersze koncentryczne koła, jeżeli można określić takim geometrycznym terminem

labirynt chaotycznych uliczek, którym było Huyler. I oto na ostatnim z tych zakrętów znalazłem Maggie, żywą, zdrową i całkowicie nietkniętą; ulga moja była niewiele większa od poczucia własnej lekkomyślności.

Znalazłem ją tam, gdzie powinienem był jej szukać od razu, gdybym ruszył głową tak, jak ona to uczyniła. Kazałem jej mieć ów budynek pod obserwacją, ale zarazem trzymać się innych ludzi, i właśnie to robiła. Była w dużym, zatłoczonym sklepie z pamiątkami, brała do ręki różne wystawione na sprzedaż przedmioty, ale w gruncie rzeczy nie oglądała ich; wpatrywała się za to uparcie w ów duży budynek stojący o niespełna trzydzieści jardów - tak uparcie, że wcale mnie nie zauważyła. Postąpiłem krok do wnętrza, by do niej zagadać, gdy wtem ujrzałem coś, co sprawiło, że stanąłem jak wryty i zapatrzyłem się równie uparcie jak Maggie, choć nie w tym samym kierunku.

Ulicą nadchodziły Trudi i Herta. Trudi, w różowej sukience bez rękawów i w długich, białych, bawełnianych rękawiczkach, podskakiwała we właściwy sobie, dziecinny sposób, z rozwianymi blond włosami i uśmiechem na twarzy; fierta, ubrana jak zwykle w swój dziwaczny strój, dreptała z powagą obok, niosąc dużą skórzaną torbę.

Nie stałem jednak długo w miejscu. Szybko wszedłem do sklepu, lecz nie w kierunku Maggie, bo cokolwiek by się zdarzyło, nie chciałem, żeby te dwie zobaczyły, że z nią rozmawiam; zająłem więc strategiczną pozycję za wysokim obrotowym stojakiem z pocztówkami i czekałem, aż Herta i Trudi przejdą.

Nie przeszły. To znaczy minęły frontowe drzwi, ale nie posunęły się dalej, bo Trudi nagle się zatrzymała, zajrzała przez okno wystawowe, za którym stała Maggie, i złapała Hertę za rękę. W kilka sekund później pociągnęła wyraźnie opierając się Hertę do wnętrza sklepu, puściła rękę Hertę, która pozostała w miejscu z miną groźną jak wulkan mający wybuchnąć, postąpiła naprzód i ujęła Maggie pod ramię.

- Ja ciebie znam! - powiedziała radośnie. - Znam ciebie!

Maggie obróciła się i uśmiechnęła.

- Ja także ciebie znam. Dzień dobry, Trudi. ,

- A to jest Herta. - Trudi obróciła się do Hertę, która wyraźnie nie pochwałała tego, co się działo. - Herto, to moja przyjaciółka, Maggie.

Herta pokwitowała to łypnięciem spode łba. Trudi powiedziała:

- Major Sherman jest moim przyjacielem.

- Wiem o tym - uśmiechnęła się Maggie.

- A ty jesteś moją przyjaciółką, Maggie?

- Oczywiście, Trudi.

Trudi była wyraźnie zachwycona. - Mam całą masę innych przyjaciółek. Chciałabyś je zobaczyć? - Nieomal pociągnęła Maggie do wyjścia wskazując ręką. Wskazywała w kierunku północnym i wiedziałem, że może

136 137

chodzić jedynie o kobiety pracujące przy sianie na drugim końcu pola.

- Patrz. To one.

- Na pewno są bardzo miłe - powiedziała Maggie grzecznie.

Jakiś amator pocztówek podsunął się do mnie, niejako dając do zrozumienia, że powinienem zrobić mu miejsce i pozwolić je obejrzeć; nie wiem, jakie mu posłałem spojrzenie, ale z całą pewnością wystarczające, aby oddalił się bardzo pospiesznie.

- To są przemiłe przyjaciółki - mówiła Trudi. Wskazała głową Hertę i torbę, którą ta trzymała. - Kiedy tu przyjeżdżamy z Hertą, zawsze im przywozimy rano kawę i jedzenie. - Dodała impulsywnie: - Chodź je zobaczyć, Maggie - a kiedy Maggie się zawahała, rzekła z niepokojem: - Przecież ty jesteś moją przyjaciółką, prawda?

- Oczywiście, ale...

- One są takie miłe - powiedziała Trudi błagalnie. - Takie wesołe. ładnie grają. Jeżeli będziemy bardzo grzeczne, może dla nas odtańczą taniec siana.

- Taniec siana?

- Tak, Maggie. Taniec siana. Proszę cię. Wszystkie jesteście moimi przyjaciółkami. Chodź ze mną. Zrobisz to dla mnie, Maggie?

- No, dobrze. - Maggie powiedziała to z uśmiechem, ale bez entuzjazmu. - Tylko dla ciebie. Ale nie mogę zostać długo.

- Ja ciebie lubię, Maggie. - Trudi uścisnęła jej rękę. - Lubię cię.

Wszystkie trzy odeszły. Oczekałem odpowiednią chwilę, po czym wysunąłem się ostrożnie ze sklepu. Były już o pięćdziesiąt jardów, minęły budynek, który Maggie miała na moją prośbę obserwować, i szły przez łąkę. Pracujące kobiety znajdowały się co najmniej o sześćset jardów i układały pierwszą dzienną kopę siana w pobliżu czegoś, co nawet z tej odległości można było rozpoznać jako starą i zmurszałą holenderską stodołę. Słyszałem szczebiot, kiedy wszystkie trzy szły przez zżętą łąkę; a to szczebiotanie zdawała się wydawać tylko Trudi, która znowu, jak zwykle, baraszkowała niczym owieczka na wiosnę. Trudi nigdy nie szła - zawsze podskakiwała.

Podążałem za nimi, ale bez podskoków. Wzdłuż skraju łąki biegł żywopłot i roztropnie kryłem się za nim, trzymając się o jakieś trzydzieści czy czterdzieści jardów w tyle. Nie mam wątpliwości, że moja metoda poruszania się wyglądała nieomal równie osobliwie jak ta, którą stosowała Trudi, bo żywopłot miał niecałe pięć stóp wysokości i większą część owych sześciuset jardów przeszedłem zgięty wpół, niczym siedemdziesięciolatek cierpiący na atak lumbago.

Powoli dotarły do starej stodoły i zasiadły po jej zachodniej stronie, kryjąc się w cieniu przed coraz gorętszym słońcem. Podszedłem tak, że stodoła znalazła się między mną a nimi oraz pracującymi przy sianie kobietami, przebiegłem szybko pozostałą przestrzeń i wszedłem do stodo-

ły bocznymi drzwiczkami.

Nie pomyliłem się co do niej. Musiała sobie liczyć co najmniej sto lat i była rzeczywiście w bardzo kiepskim stanie. Podłoga była zapadnięta, drewniane ściany wybrzuszone prawie w każdym możliwym miejscu, a poziome deski, między którymi znajdowały się pierwotnie szpary wpuszczające do środka powietrze, popaczyły się poszerzając je tak dalece, że można było bez mała wytknąć przez nie głowę.

Nad stodołą był stryszek, którego podłoga zdawała się grozić niezwłocznym zawaleniem, bo była przegniła, popękana i zżarta przez korniki; nawet angielskiemu pośrednikowi sprzedaży nieruchomości trudno byłoby zbyć tę budowlę powołując się na jej antyczność. Nie wydawało się, aby owa podłoga mogła wytrzymać ciężar przeciętnej zbudowanej myszy, a cóż dopiero mój, ale dolna część stodoły niezbyt się nadawała do obserwacji, a poza tym nie chciałem wyglądać na zewnątrz przez którąś : z owych szpar w ścianach, tylko po to, by stwierdzić, że ktoś inny zagląda do środka o dwa cale ode mnie, toteż niechętnie wstąpiłem na rozchwierutane drewniane schodki, które prowadziły na stryszek.

Stryszek ten, którego wschodnia strona była jeszcze do połowy wypełniona zeszłorocznym sianem, okazał się dokładnie tak niebezpieczny, jak wyglądał, ale stąpałem ostrożnie i dotarłem na zachodnią stronę stodoły. Ta jej część posiadała jeszcze większy wybór szczelin między deskami i w końcu znalazłem sobie idealną, mającą co najmniej sześć cali szerokości i zapewniającą doskonały widok. Wprost pod sobą ujrzałem głowy Maggie, Trudi i Herty; widziałem też owe kilkanaście kobiet, które pilnie i sprawnie układały kopę siana błyskając w słońcu zębami swych widel o długich trzonkach, widziałem nawet część samego miasteczka, włącznie z _ prawie całym parkingiem samochodowym. Doznałem uczucia niepokoju i nie mogłem pojąć jego przyczyny; scena zbierania siana rozgrywająca się na łące była tak idylliczna, że nawet najbardziej bukolicznie nastawiony człowiek nie mógłby pragnąć lepszej. Myślę, że to dziwne uczucie niepokoju emanowało z najmniej prawdopodobnego źródła, a mianowicie z samych tych kobiet pracujących przy sianie, bo nawet tutaj, w ich swojskim 'otoczeniu, te powłóczyste, pasiaste spódnice, przepysznie haftowane bluzki śnieżnobiałe czepce nie wydawały się całkiem naturalne. Było w tym coś z lekka teatralnego, jakaś aura nierealności. Miałem bez mała uczucie, że _ oglądam przedstawienie urządzone na mój benefit.

Minęło z pół godziny, przez który to czas kobiety pracowały nieprzerwanie, a trójka siedząca pode mną rozmawiała tylko chwilami; w taki ciepły, cichy, spokojny dzień wszelka rozmowa wydaje się zbędna, toteż jedynym odgłosem był szelest siana i dalekie brzęczenie pszczoł. Zastanowiłem się, czy mogę zaryzykować papierosa i poważylem się na to;

139

wydobyłem z kieszeni zapalniczki i papierosa, położyłem na podłodze kurtkę, a na niej pistolet-z tłumikiem i zapaliłem papierosa uważając, by dym nie wymykał się przez szpary między deskami.

Po jakimś czasie Herta spojrzała na swój ręczny zegarek wielkości mniej więcej kuchennego budzika i powiedziała coś do Trudi, która wstała, wyciągnęła rękę i dźwignęła Maggie na nogi. Razem podeszły do pracują-

cych kobiet, zapewne by je namówić na poranną przerwę, bo Herta już rozpościerała na ziemi kraciatą serwetę, wyjmowała kubki i odwijała jedzenie z serwetek.

Jakiś głos za mną powiedział:

- Niech pan nie próbuje sięgać po pistolet. Jeżeli pan to zrobi, będzie pan martwy, nim pan go dotknie.

Wierzyłem temu głosowi. Nie próbowałem sięgać po pistolet.

- Proszę obrócić się bardzo powoli.

Obróciłem się bardzo powoli. Taki to był głos.

- Proszę odejść trzy kroki od pistoletu. W lewo.

Nie widziałem nikogo. Ale słyszałem dobrze. Odszedłem trzy kroki.

W lewo.

Słoma po drugiej stronie stryżku poruszyła się i wychynęły z niej dwie postacie: wielebny Thaddeus Goodbody i Marcel, ów wężowy dandys, którego pobiliśmy i wsadziłem do sejfu w "Balinova". Goodbody nie miał broni w ręku, ale też jej nie potrzebował; armata, którą trzymał w garści Marcel, była tak wielka jak dwa zwyczajne pistolety, a sądząc po błysku w jego płaskich, czarnych, nie zmrużonych oczach, pilnie szukał choćby cienia wymówki, aby jej użyć. Nie zachęcił mnie również fakt, że jego pistolet miał nałożony tłumik, oznaczało to bowiem, iż wszystko im jedno, ile razy do mnie strzelą, bo i tak nikt nic nie usłyszy.

-Diabelnie tu gorąco - poskarżył się Goodbody. - I łechtliwie.

- Uśmiechnął się w ten sposób, który sprawiał, że małe dzieci pragnęły wziąć go za rękę. - Muszę powiedzieć, drogi majorze, że pański zawód prowadzi pana w najbardziej niespodziewane miejsca.

- Mój zawód?

- O ile dobrze pamiętam, to kiedy ostatnio pana widziałem, podawał się pan za kierowcę taksówki.

- A, wtedy. Założę się, że mimo wszystko nie zameldował pan o mnie policji.

- Rozmyśliłem się - przyznał wielkodusznie Goodbody. Podszedł do miejsca, gdzie leżał mój pistolet, podniósł go z obrzydzeniem i cisnął w siano. - Prostacka, nieprzyjemna broń.

- W istocie - zgodziłem się. - Pan woli wprowadzać element wyrafinowania do swoich zabójstw.

- Co wkrótce mam zamiar udowodnić.

Goodbody nie zadawał sobie trudu, by zniżyć głos, czego zresztą nie potrzebował czynić, bo kobiety z Huyler właśnie zasiadły do swej porannej kawy, a nawet z pełnymi ustami potrafiły mówić wszystkie naraz. Goodbody wygrzebał ze słomy brezentowy worek i wydobył zeń linkę.

-Bądź czujny, mój drogi Marcelu. jeżeli pan Sherman zrobi najmniejszy ruch, choćby pozornie nieszkodliwy, strzel do niego. Nie żeby zabić. W udo.

Marcel przesunął językiem po wargach. Miałem nadzieję, że nie uzna poruszania się mojej koszuli, spowodowanego przyspieszonym biciem serca, za coś, do czego należałoby odnieść się podejrzliwie. Goodbody podszedł do mnie roztropnie od tyłu, zawiązał linkę na moim prawym przegubie, przerzucił ją przez belkę, a potem, po niepotrzebnie długiej chwili dopasowywania, zawiązał ją na przegubie mej lewej ręki. Dłonie

miałem teraz na wysokości uszu. Goodbody wyjął drugi kawał linki.

- Od mojego tu obecnego przyjaciela, Marcela - powiedział tonem towarzyskiej rozmowy - dowiedziałem się, że pan posiada niejaką biegłość w posługiwaniu się rękami. Przychodzi mi na myśl, że pan może być podobnie uzdolniony, jeżeli idzie o nogi.- Pochylił się i związał mi kostki nóg z zapalem, który źle wróżył dla krążenia w moich stopach. - Następnie przychodzi mi na myśl, że pan mógłby mieć jakieś komentarze do Wygłoszenia na tematy sceny, której będzie pan świadkiem. Wolelibyśmy obejść się bez tych komentarzy. - Wetknął mi w usta daleką od czystości _hustkę i obwiązał ją inną. - Marcel, czy uważasz, że tak będzie dobrze?

Oczy Marcela zabłyśły.

- Mam do przekazania panu Shermanowi polecenie od pana Durrella.

- No, no, mój drogi, po co ten pośpiech? Później, później. Na razie chcemy, żeby nasz przyjaciel posiadał w pełni zdolność rozeznania wzrok nie zmętniała, słuch nie osłabiony, umysł wyostrzony, ażeby móc ocenić wszystkie artystyczne niuanse widowiska, które przygotowaliśmy na jego benefis.

- Oczywiście, proszę pana - odrzekł posłusznie Marcel. Znowu powrócił do tego obrzydliwego oblizywania warg.

- Ale potem. . .

- Potem - powiedział wspaniałomyślnie Goodbody - będziesz mógł przekazywać tyle poleceń, ile ci się spodoba. Ale pamiętaj: chcę, żeby był żywy, kiedy stodoła spłonie dziś wieczorem. Szkoda, że nie będziemy mogli obserwować tego z bliska. - Wydawał się naprawdę zasmucony. - Pan i ta czarująca młoda pani, która jest tam... kiedy ludzie znajdują w zgliszczach wasze zwęglone szczątki, na pewno wyciągną pewne wnioski co do lekkomyślnych młodocianych zapędów miłosnych. Palenie papierosów w stodole, tak jak pan to robił przed chwilą, jest wysoce nieostrożne. Wysoce. Żegnam pana i nie mówię au revoir. Muszę obejrzeć

140 141

taniec siana bardziej z bliska. To taki uroczy, starodawny zwyczaj, na pewno pan się z tym zgodzi.

Odszedł pozostawiając oblizującego wargi Marcela. Nie było ni' zbyt przyjemnie zostać z nim sam na sam, ale to nie miało większego znaczenia w tej chwili. Okręciłem się i wyjrzałem przez szparę między deskami.

Kobiety skończyły śniadanie i dźwigały się na nogi. Trudi i Maggie znajdowały się wprost pode mną.

- Prawda, że ciastka były pyszne, Maggie? - spytała Trudi. - I kawa też.

- Doskonałe, Trudi, doskonałe. Ale za długo tu siedzę. Mam sprawunki do załatwienia. Muszę już iść. - Maggie przerwała i podniosła wzrok.

- Co to?

Dwa akordy zaczęły grać cicho, łagodnie. Nie widziałem grających; dźwięki zdawały się dochodzić zza kopy siana, którą kobiety właśnie skończyły ułładać.

Trudi zerwała się klaszcząc w podnieceniu. Pociągnęła Maggie, która też wstała.

- Taniec siana! - wykrzyknęła Trudi jak dziecko, które dostaje prezent

urodzinowy. - Taniec siana! Będą go tańczyły! Musiały ciebie polubić, Maggie. Robią to dla ciebie. Jesteś teraz ich przyjaciółką.

Kobiety, wszystkie w średnim wieku lub starsze, z twarzami osobliwie, nieomal przerażająco pozbawionymi wyrazu, zaczęły się poruszać z jakąś ociężałą precyzją. Założywszy widły na ramiona jak karabiny, ustawiły się prostym szeregiem i jęły przytupywać ciężko to w jedną, to w drugą stronę, a ich przewiązane wstążkami warkocze kołysały się, gdy muzyka akordeonów przybierała na sile. Wykonały z powagą piruet, po czym znowu powrbiły do tego rytmicznego kroczenia tam i z powrotem. Zauważyłem, że ów prosty szereg wygina się stopniowo w kształt półksiężyca.

- Jeszcze nigdy nie oglądałam takiego tańca. - W głosie Maggie było zaskoczenie. Ja także nigdy takiego nie oglądałem i z okropną i mrozącą pewnością wiedziałem, że nie będę nigdy chciał go obejrzeć - chociaż w tej chwili wszystko wskazywało na to, że więcej nie będę miał po temu sposobności.

Słowa Trudi zabrzmiały jak echo moich myśli, ale ich złowieszcze znaczenie nie dotarło do Maggie.

- I nigdy więcej nie zobaczysz takiego tańca, Maggie - powiedziała.
- Dopiero zaczynają. Och, widzisz, musiałas im się spodobać, zapraszają cię!
- Mnie?
- Tak. Podobasz im się. Czasem proszą mnie. Dzisiaj ciebie.
- Muszę już iść.

- Proszę cię, Maggie. Tylko na chwilę. Nie musisz nic robić. Po prostu stajesz naprzeciw nich. Proszę cię. Będą urażone, jeżeli tego nie zrobisz. Maggie roześmiała się z rezygnacją. - No więc, dobrze.

W chwilę później, mocno zakłopotana, stała już w samym środku półkola, podczas gdy tworzące je kobiety z widłami przybliżyły się i oddalały od niej. Stopniowo układ i tempo tańca uległy zmianie i przyspieszeniu, a tańczące kobiety utworzyły wokół Maggie zamknięty krąg. Krąg ten zacieśniał się i poszerzał, zacieśniał i poszerzał, kobiety skłaniały się z powagą, gdy były najbliżej Maggie, a odrzucały w tył głowy i warkocze, kiedy się znowu cofały.

W zasięgu mego wzroku ukazał się Goodbody z lekko rozbawionym, miłym uśmiechem, pośrednio uczestnicząc z przyjemnością w tym uroczym, starym tańcu, który się przed nim odbywał. Stał obok Trudi i położył jej dłoń na ramieniu, a ona uśmiechnęła się do niego z zachwytem.

Czułem, że robi mi się niedobrze. Chciałem odwrócić wzrok, ale w ten sposób opuściłbym Maggie, a nie mogłem jej opuścić - ale Bóg mi świadkiem, że nie byłem w stanie już nic jej pomóc. Na twarzy miała wyraz zakłopotania i zaskoczenia, z odrobiną niepokoju. Spojrzała niepewnie na Trudi przez lukę między dwiema kobietami, a Trudi uśmiechnęła się szeroko i pomachała ręką wesoło, zachęcająco.

Nagle muzyka akordeonowa zmieniła się. Dotychczas była łagodną, śpiewną melodią taneczną, aczkolwiek w nieco wojskowym rytmie, a teraz szybko przybrała na sile przechodząc w coś zupełnie innego, co wykraczało poza ów marszowy charakter, było ostre i prymitywne, dzikie i gwałtowne. Kobiety, rozszerzywszy w pełni swój krąg, zaczynały go

z nowu zacieśniać. Z wysokości, na której się znajdowałem mogłem wciąż widać Maggie; oczy miała szeroko rozwarte, a na jej twarzy pojawił się strach, i pochyliła się w bok, by niemal rozpaczliwie poszukać wzrokiem Trudi. Ale w Trudi nie było ocalenia; jej uśmiech teraz zniknął, dłonie w bawełnianych rękawiczkach miała mocno splecione i oblizywała sobie wargi powoli, odrażająco. Obejrzałem się na Marcela, który robił to samo ale broń miał ciągle wymierzoną we mnie i obserwował mnie równie bacznie, jak ja scenę rozgrywającą się na zewnątrz. Nie mogłem nic zrobić.

Kobiety dreptały teraz ku środkowi. Ich księżycowe twarze straciły bezbarwny wyraz, były bezlitosne, nieubłagane i pogłębiający się lęk w oczach Maggie ustąpił miejsca przerażeniu, podczas gdy muzyka stawała się coraz głośniejsza, coraz bardziej nieharmonijna. A potem nagle, z wojskową precyzją, trzymane na ramionach widły opuściły się z rozmachem kierując się prosto w Maggie. Krzyczała i krzyczała, ale ledwie można ją było dosłyszeć poprzez szalone crescendo akordeonów. A potem upadła i na szczęście mogłem widzieć jedynie plecy kobiet, kiedy ich

142 143

widły coraz to podnosiły się wysoko i dźgały konwulsyjnie coś, co leżało teraz nieruchomo na ziemi. Przez chwilę nie mogłem patrzeć dłużej. Musiałem odwrócić wzrok i zobaczyłem Trudi, której dłonie rozwierały się i zaciskały, a zahipnotyzowana, urzeczona twarz miała w sobie coś ohydnie zwierzęcego. Obok stał wielebny Goodbody, jak zawsze z dobrotliwym, łagodnym wyrazem twarzy, który zadawał kłam jego chciwie wpatrzonym oczom. Złe, chore umysły, które już dawno pozostawiły daleko za sobą granice poczytalności.

Zmusiłem się, by spojrzeć znowu, kiedy muzyka jęła z wolna przycichać tracąc swój pierwotny, atawistyczny charakter. Szaleńczy ruch wśród kobiet osłabł, dźganie ustało, i nagle jedna z nich odeszła na bok i nabrała na widły siana: Na chwilę dojrzałem leżącą na ziemi skręconą postać w białej bluzce, która nie była już biała, a potem kłęb siana zakrył ją przed moim wzrokiem. Po nim narzucono następny, jeszcze jeden i jeszcze jeden, i podczas gdy dwa akordeony, miękkie, delikatne i przyciszone, mówiły nostalgicznie o starym Wiedniu, kobiety układały na Maggie kopę siana. Dr Goodbody i Trudi, znów uśmiechnięta i paplająca wesoło, odeszli ku miasteczku trzymając się pod rękę.

Marcel odwrócił się od szpary między deskami i westchnął.

- Doktor Goodbody tak dobrze organizuje te rzeczy, nie uważa pan? To wycucie, wrażliwość, wybór pory, miejsca, ta atmosfera... znakomicie zrobione, znakomicie.

Pięknie modulowany oksfordzki akcent dobywający się z tej głowy węża był nie mniej odrażający niż kontekst, w którym zostały użyte słowa; podobnie jak cała reszta, ten człowiek był kompletnym obłąkańcem.

Podszedł do mnie ostrożnie od tyłu, zdjął chustkę, którą obwiązano mi głowę i wyciągnął brudny gałgan, wetknięty mi do ust. Nie sądziłem, żeby kierował się jakimiś względami humanitarnymi, i miałem rację. Powiedział od niechcienia:

- Chcę słyszeć, jak pan będzie krzyczał. Nie sądzę, żeby te panie na

dworze zwrócić na to większą uwagę.

Byłem pewien, że nie zwrócą. Powiedziałem:

- Jestem zdziwiony, że doktor Goodbody zdołał się od tego oderwać.

Mój głos wydał mi się zupełnie obcy; był chrapliwy, głuchy, a słowa wymawiałem z taką trudnością, jak gdybym miał uszkodzoną krtań. Marcel uśmiechnął się.

- Doktor Goodbody ma pilne rzeczy do załatwienia w Amsterdamie.

Ważne rzeczy.

-1 ważne rzeczy do przewiezienia stąd do Amsterdamu.

- Niewątpliwie. - Uśmiechnął się znowu. - Mój drogi majorze, kiedy ktoś znajduje się w pańskim położeniu, gdy przegrał i ma umrzeć, w zasadzie jest we zwyczaju, aby osoba będąca w mojej sytuacji wyjaśniła

z drobiazgowymi szczegółami, gdzie ofiara popełniła błędy. Ale poza faktem, że lista pańskich błędów jest tak długa, iż byłoby zbyt nudno je wyliczać, po prostu nie mam na to czasu. Więc już załatwmy to, dobrze?

- Co mamy załatwić? - Teraz to nadchodzi, pomyślałem, ale nie byłem zbyt przejęty; jakoś przestało to być ważne.

- Polecenie od pana Durreßa, rzecz jasna.

Ból przerwał mi głowę i bok twarzy niczym topór rzeźniczy, kiedy Marcel trzasnął mnie lufą swej broni. Pomyślałem, że muszę mieć złamaną lewą kość policzkową, ale nie miałem pewności, natomiast językiem wyczułem, że co najmniej dwa zęby zostały bezpowrotnie obłuzowane.

- Pan Durreß - ciągnął z satysfakcją Marcel - kazał mi panu powiedzieć, że nie lubi być bity pistoletem.

Tym razem ńderzył mnie w prawą stronę twarzy i chociaż widziałem, że to nadchodzi i popróbowiałem targnąć w tył głowę, nie zdołałem uniknąć ciosu. Ten nie był tak bolesny, ale pojąłem, że jestem ciężko poturbowany wnioskując z chwilowej utraty wzroku po oślepiającym, białym błysku, który mi wybuchł tuż przed oczami. Twarz miałem w ogniu, głowa mi pękała, ale mój umysł był dziwnie jasny. Wiedziałem, że wystarczy jeszcze trochę tego systematycznego grzmocenia, a nawet chirurg plastyczny z ubolewaniem potrząśnie głową, aio naprawdę ważne było to, że jeśli będę dalej tak obrywał, stracę przytomność, może na wiele godzin. Wydawało się, że pozostaje tylko jedna nadzieja: sprawić, by to grzmocenie przestało być systematyczne.

Wyplułem ząb i powiedziałem:

- Pedał.

Z jakiejś przyczyny to go rozjątrzyło. Przede wszystkim polewa cywilizowanej uprzejmości musiała być nie grubsza od łupinki cebuli, i nie odpadła, tylko po prostu zniknęła w mgnieniu oka, i pozostał jedynie bezmyślny, oszalały dzikus, który zaatakował mnie z nieokiełznaną, bezrozumną i opętaną furią człowieka chorego umysłowo, którym był prawie na pewno. Ciosy spadały gradem ze wszystkich stron na moją głowę i ramiona, ciosy zadawane pistoletem i pięściami, a kiedy popróbowiałem zasłonić się jak mogłem rękoma, przeniósł swój obłąkany atak na moje ' ciało. Jęknąłem, oczy wywróciły mi się w tył głowy, a nogi przemieniły w galaretę i byłbym upadł, gdybym mógł, ale w tym stanie rzeczy tylko ` zwiłem bezwładnie na linkach przytrzymujących mnie za przeguby rąk. ' Minęło jeszcze kilka pełnych udręki sekund, zarim oprzytomniał na tyle,

: by pojąć, że traci czas; z jego punktu widzenia nie było wielkiego sensu zadawać cierpień komuś, kto nie mógł ich odczuwać. Z gardła dobył mu się dziwny odgłos, który zapewne znamionował rozczarowanie bardziej niż cokolwiek innego, po czym Marcel stanął dysząc ciężko. Nie miałem pojęcia, co teraz zamierza uczynić, bo nie śmiałem otworzyć oczu.

144 145

Poczułem, że odsuwa się nieco, i zaryzykowałem szybkie spojrzenie kątem oka. Chwilowy obłęd przeminął i Marcel, który najwyraźniej był w równej mierze oportunistą jak sadystą, podniósł moją kurtkę i zaczął ją przeszukiwać z nadzieją, ale bez powodzenia, albowiem portfele noszone w wewnętrznej kieszeni kurtki zawsze wypadają, kiedy kurtkę przewieszają się przez rękę, toteż roztropnie przełożyłem mój portfel z pieniędzmi, paszportem i prawem jazdy do tylnej kieszeni spodni. Marcel niebawem doszedł do właściwego wniosku, bo prawie zaraz potem usłyszałem jego kroki i poczułem, że wyciąga mi portfel z tylnej kieszeni.

Stał teraz obok mnie. Nie widziałem go, ale to wyczuwałem., Jęknąłem i zakotłosałem się bezwładnie na lince, którą byłem uwiązany do belki. Nogi moje zwisały za mną dotykając podłogi czubkami butów. Otworzyłem oczy odrobinę.

Widziałem jego stopy nie dalej niż o jard ode mnie. Na ułamek sekundy zerknąłem w górę. Marcel, ze skupieniem i wyrazem przyjemnego zdziwienia, był pochłonięty przekładaniem do własnej kieszeni bardzo poważnej sumy pieniędzy, którą nosiłem w portfelu. Trzymał go w lewej ręce, na której zagiętym środkowym palcu zwiisał pistolet zaczepiony za kabłąk spustowy. Był tak zajęty, iż nie zauważył, że sięgam rękami wyżej, aby uzyskać lepszy uchwyt na przytrzymujących mnie linkach.

Skuliłem się i konwulsyjnie wyrzuciłem ciało w przód i do góry z całą nienawiścią, furią i bólem, które były we mnie, i nie przypuszczam, by Marcel zdążył dojrzeć moje stopy uderzające jak taran. Nie wydał żadnego głosu, tylko złożył się jak scyzoryk, równie konwulsyjnie jak ja przed chwilą, zwałił się na mnie i wolno osunął na podłogę. Legł tam tocząc głową z boku na bok - nie wiem, czy w nie_wiadomym releksie, czy też świadomym releksie ciała porażonego paroksyzmem bólu. Nie byłem jednak skłonny ryzykować. Wyprostowałem się, cofnąłem tak daleko, jak mi pozwalały moje więzy, i rzuciłem się nań znowu. Odczułem mgliste zdziwienie, że głowa jeszcze mu się trzyma na szyi; nie było to miłe, ale też nie miałem do czynienia z miłymi ludźmi.

Pistolet był nadal zaczepiony na środkowym palcu jego lewej ręki. Zsunąłem go czubkiem buta. Próbowałem uchwycić broń między buty, ale tarcie metalu o skórę było za słabe i broń wciąż się wysuwała. Ściągnąłem buty zapierając je piętami o podłogę, a następnie tą samą techniką skarpetki, co trwało znacznie dłużej. Obtarłem sobie przy tym sporo skóry i nabierałem drzazg, ale nie odczuwałem właściwie tego bólu, albowiem ból w twarzy sprawiał, iż inne, mniejsze obrażenia były tak nieznaczące, że prawie nie istniejące.

Bosymi stopami zdołałem z łatwością uchwycić pistolet. Trzymając je mocno ściśnięte zebrałem razem obydwie końce linki i podciągnąłem się w górę, aż dosięgnąłem belki. To dało mi cztery stopy luźnej linki, co

zupełnie wystarczało. Zawisłem na lewej ręce i sięgnąłem w dół prawą, podkurczając zarazem nogi. I wtedy miałem już pistolet w dłoni.

Opuściłem się na podłogę, napiąłem linkę przytrzymującą mój lewy przegub i przyłożyłem do niej wylot lufy. Pierwszy strzał przeciął ją gładko jak nóż. Rozplątałem wszystkie pętające mnie węzły, urwałem przód śnieżnobiałej koszuli Marcela, aby obetrzeć sobie zakrwawioną twarz i usta, zabrałem swój portfel i pieniądze i wyszedłem. Nie wiedziałem, czy Marcel żyje, czy nie, wydawał mi się całkiem martwy, ale nie interesowało mnie to na tyle, aby rzecz zbadać.

146

Rozdział dwunasty

Było późne popołudnie, kiedy dojechałem do Amsterdamu, i słońce, które rano oglądało śmierć Maggie, jakby symbolicznie się skryło. Ciężkie, ciemne chmury toczyły się od Zuider Zee. Mogłem dotrzeć do Amsterdamu o godzinę wcześniej, ale doktor w ambulatorium podmiejskiego szpitala, gdzie zajechałem, aby mi opatrzono twarz, zasypywał mnie pytaniami i był niezadowolony, kiedy się upierałem, że na razie potrzebuję jedynie plastra - oczywiście w dużej ilości - i że szwy oraz zwoje białych bandaży mogą poczekać na potem. Ma się rozumieć, z tym plastrem, odpowiednią ilością siniaków oraz na wpół przymkniętym lewym okiem musiałem wyglądać na jedyne go pasażera ocalałego z katastrofy ekspresowego pociągu, ale przynajmniej nie tak źle, by na mój widok dzieci uciekały z krzykiem do matek.

Zaparkowałem policyjną taksówkę niedaleko garażu wynajmu samochodów i przekonałem właściciela, aby mi dał małego czarnego opla. Nie był tym zachwycony, bo moja twarz musiała budzić w każdym wątpliwości co do moich poprzednich wyczynów automobilowych, ale w końcu się zgodził. Pierwsze krople deszczu zaczęły padać, kiedy odjechałem, zatrzymałem się przy wozie policyjnym, zabrałem torebkę Astrid i parę kajdanków na wszelki wypadek i ruszyłem dalej w drogę.

Zaparkowałem samochód w bocznej uliczce, którą już zaczynałem uważać za dosyć swojską i poszedłem pieszo w stronę kanału. Wytknąłem głowę zza rogu i zaraz ją cofnąłem; kiedy wyjrzałem ponownie, wysunąłem tylko jedno oko.

Przed wejściem do kościoła Amerykańskiego Stowarzyszenia Hugonotów stał czarny mercedes. Jego pojemny bagażnik był otwarty i dwaj mężczyźni wkładali doń najwyraźniej bardzo ciężką skrzynię. Kilka podobnych skrzynek znajdowało się już głębiej w jego wnętrzu. W jednym z mężczyzn od razu rozpoznałem wielebnego Goodbody, tego drugiego, chudego, średniego wzrostu; w ciemnym garniturze, o ciemnych włosach i smagłej twarzy, też natychmiast poznałem; był to ów śniady, brutalny

mężczyzna, który zastrzelił Jimmy'ego Duclosa na lotnisku Schiphol. Na chwilę zapomniałem o obolałej twarzy. Nie mogę powiedzieć, żebym się uradował widząc znów tego człowieka, ale wcale mnie to nie przygnębiło, bo rzadko schodził mi z myśli. Poczułem, że koło się zamyka.

Wyszli z kościoła zataczając się pod ciężarem jeszcze jednej skrzynki, włożyli ją do środka i zamknęli bagażnik. Wróciłem do mojego opla i kiedy dojechałem do kanału, mercedes z Goodbodym i śniadym mężczyzną był już o sto jardów. Ruszyłem za nim w dyskretnej odległości.

Deszcz padał teraz gęsto; czarny mercedes zmierzał przez miasto w kierunku południowo-zachodnim. Chociaż było dopiero wczesne popołudnie, nóbo tak się zaciągnęło burzowymi chmurami, jak gdyby już zapadał zmierzch, do którego pozostawało jeszcze parę godzin. To mi nie przeszkadzało, bo bardzo ułatwiło śledzenie; w Holandii przepisy wymagają zapalania reflektorów samochodowych podczas gęstego deszczu, a w tych warunkach każdy wóz wygląda jak ciemna, bezkształtna masa.

Wyjechaliśmy poza ostatnie przedmieścia w wiejską okolicę. W naszej jeździe nie było żadnego elementu szalonego pościgu. Goodbody, chociaż prowadził mocny wóz, jechał z umiarkowaną szybkością, co może nie było zaskakujące z uwagi na bardzo poważny ciężar, jaki miał w bagażniku. Uważnie obserwowałem znaki drogowe i wkrótce nie miałem już wątpliwości, dokąd zmierzamy; nie miałem ich zresztą od początku.

Uznałem, że będzie roztropnie przybyć do naszego wspólnego miejsca przeznaczenia przed Goodbodym i śniadym mężczyzną, więc dodałem gazu, aż znalazłem się o niespełna dwadzieścia jardów za mercedesem. Nie obawiałem się, że Goodbody rozpozna mnie w swoim lusterku wstecznym, bo wzbijał tak gęste tumany wodnego pyłu, że mógł jedynie dojrzeć za sobą dwa zapryskane reflektory. Zaczekałem, aż znalazłem się na prostym odcinku drogi, i minąłem mercedesa. Kiedy znalazłem się z nim bok w bok, Goodbody zerknął przelotnie i bez zaciekawienia na wóz, który go wyprzedzał, po czym równie obojętnie odwrócił wzrok. Zobaczyłem jego tyranaz jedynie jako jasną plamę, a deszcz i bryzgi wznijane przez oba samochody były tak gęste, iż wiedziałem, że nie mógł mnie rozpoznać. Wysforowałem się naprzód i wróciłem na prawą stronę szosy nie zmniejszając prędkości.

Trzy kilometry dalej dojechałem do odchodzącej w prawo drogi ze znakiem "Kasteel Linden 1 km". Skręciłem w nią i w minutę później przejechałem przez nader imponującą kamienną łukową bramę ze słowami "Kasteel Linden", wypisanymi nad nią złotymi literami. Przejechałem jeszcze ze dwieście jardów, potem skręciłem z drogi i zatrzymałem opla w zwartej gęstwinie.

Czekało mnie znowu przemoczenie do nitki, ale nie miałem wielkiego wyboru. Wsiadłem z wozu i przebiegłem przez rzadko zadrzewiony

teren do gęstego pasa sosen, który najwyraźniej służył za coś w rodzaju osłony czyjejs siedziby przed wiatrem. Bardzo ostrożnie przedostałem się między sosnami i rzeczywiście ujrzałem ową siedzibę - zamek Kasteel Linden. Nie bacząc na deszcz, który bębnił po moich odsłoniętych plecach, położyłem się ukryty w wysokiej trawie i krzakach i przypatrzyłem się

temu miejscu.

Tuż przede mną znajdował się kolisty, wyżwirowany podjazd, który prowadził w prawo do owej łukowej bramy. Za nim wznosił się sam Kasteel Linden, czworokątna, czteropiętrowa budowla, z oknami na pierwszych dwóch piętrach, strzelnicami powyżej, a na szczycie wieżyczkami i blankami według najlepszych średniowiecznych wzorów. Zamek otaczała zewsząd fosa szeroka na piętnaście stóp, a według przewodnika niemal równie głęboka. Brakowało jedynie zwodzonego mostu, aczkolwiek widoczne były bloki od jego łańcuchów, nadal mocno osadzone w grubych murach, ale zamiast mostu przez fosę przerzucone były schody o jakichś dwudziestu szerokich i niskich kamiennych stopniach, wiodące do masywnych, zamkniętych wrót, które wydawały się być zrobione z dębowego drzewa. Po lewej, o jakieś trzydzieści jardów od zamku, stał czworokątny, jednopiętrowy budynek z cegły, najwyraźniej wzniesiony dosyć niedawno.

Czarny mercedes ukazał się w bramie, przejechał z chrzęstem po żwirze i zatrzymał się tuż przed czworokątną budowlą. Goodbody pozostał w samochodzie, natomiast smagły mężczyzna wysiadł i obszedł cały zamek dookoła; Goodbody nigdy nie robił na mnie wrażenia człowieka lubiącego ryzykować. Wreszcie wysiadł i obaj wnieśli zawartość bagażnika do zamku; drzwi były zamknięte, ale Goodbody najwidoczniej miał do nich odpowiedni klucz, i to bynajmniej nie wytrych. Kiedy wnieśli ostatnie skrzynki do środka, drzwi zamknęły się za nimi.

Ostrożnie wstałem z ziemi i podsunąłem się za krzakami aż do samej budowli. Równie ostrożnie zbliżyłem się do mercedesa i zajrzałem do środka. Nie było tam jednak nic godnego uwagi - w każdym razie nic, czego szukałem. Z jeszcze większą ostrożnością podszedłem na palcach do bocznego okna i zajrzałem do środka. _

Wnętrze było najwyraźniej połączeniem warsztatu, magazynu i sali wystawowej. Ściany zawieszane były staroświeckimi zegarami wahadłowymi - czy też ich replikami - wszelkich możliwych kształtów, rozmiarów i odmian. Inne zegary oraz bardzo liczne ich części leżały na czterech dużych stołach warsztatowych, w toku wytwarzania czy montowania, czy rekonstrukcji. W głębi sali stało kilka drewnianych skrzynek, podobnych do tych, które przed chwilą przyniósł Goodbody ze swoim towarzyszem; skrzynki te były wyścielone słomą. Na półkach nad nimi znajdowały się różne inne zegary, przy każdym zaś leżało wahadło, łańcuch i ciężarki.

150

Goodbody i smagły mężczyzna robili coś przy tych półkach. Kiedy ich obserwowałem, sięgnęli do jednej z otwartych skrzynek i zaczęli wydobywać z niej ciężarki zegarowe. Goodbody przerwał robotę, wyjął jakiś papier i począł go uważnie studiować. Po chwili pokazał na nim jakiś zapis i powiedział coś do smagłego mężczyzny, który kiwnął głową i powrócił do swego zajęcia. Goodbody, wciąż oglądając ów papier, wyszedł bocznymi drzwiami i zniknął mi z oczu. Smagły mężczyzna wziął inną kartkę papieru i zaczął układać pary identycznych ciężarków jedną obok drugiej.

Właśnie zaczynałem się zastanawiać, gdzie podział się Goodbody, kiedy się tego dowiedziałem. Jego głos ozwał się tuż za mną.

- Cieszę się, że pan mnie nie zawiódł, majorze Sherman.

Obróciłem się z wolna. Tak jak można było przewidzieć, uśmiechał się swym świątobliwym uśmiezkiem, i tak jak również można było przewidzieć, trzymał w ręku duży pistolet.

- Nikt oczywiście nie jest niezniszczalny - rozpromienił się - ale muszę przyznać, że pan posiada jakąś odporność. Trudno jest nie doceniać policjantów, ale może byłem nieco lekkomyślny w pańskim przypadku. Dwa razy w ciągu dzisiejszego dnia myślałem, że pozbyłem się pańskiej obecności, która, muszę wyznać, zaczyna się stawać dla mnie trochę kłopotliwa. Jednakże jestem pewny, że trzeci raz okaże się dla mnie pomyślny. Wie pan, powinien pan być zabić Marcela.

- nie zabiłem?

- No, no, musi pan się nauczyć maskować swoje uczucia i nie pokazywać po sobie rozczarowania. Marcel odzyskał przytomność na krótką chwilę, ale wystarczającą, by zwrócić na siebie uwagę tych zacnych pań pracujących na polu. Obawiam się jednak, że ma pękniętą czaszkę i jakiś krwotok mózgowy. Może tego nie przeżyć. - Popatrzył na mnie w zamyśleniu. - Ale mam wrażenie, że dobrze się wykazał.

- Walka na śmierć i życie - przyznałem. - Czy musimy stać tu na dworze?

- Oczywiście, że nie. - Wprowadził mnie pod pistoletem do wnętrza. smagły mężczyzna obejrzał się bez większego zdziwienia; zastanowiłem się ile czasu minęło, odkąd otrzymali ostrzeżenie z Huyler.

- Jacques - powiedział Goodbody - to pan Sherman, m a j o r Sherman. Zdaje się, jest powiązany z Interpolem czy jakąś inną taką poronioną organizacją.

- Już się spotkaliśmy - wyszczerzył zęby Jacques.

- Ach, oczywiście, jakże mogłem zapomnieć! - Goodbody wymierzył we mnie pistolet, a Jacques odebrał mi mój.

- Ma tylko ten jeden - zameldował. Przejechał mi muszką broni po policzku odrywając częściowo plastry i znowu wyszczerzył zęby. - Założę się że to boli, co?

151

teraz będą już na zawsze wolni od wszelkich podejrzeń. Któż oprócz szaleńców mógłby brać pod uwagę popełnienie d w ó c h takich ohydnych zbrodni we własnym przedsiębiorstwie? To takie logiczne, nie sądzi pan? jeszcze jedna lalka na łańcuchu. Podobnie jak tysiące innych lalek na całym świecie. Nabita na hak i tańcząca, tak jak jej zagramy.

- Pan oczywiście wie, że pan jest całkiem obłąkany? - zapytałem.

= Zwiąż go - powiedział ostro Goodbody. Jego uprzejmość nareszcie przysła. Prawda widocznie go ubodła.

Jacques związał mi ręce w przegubach grubym, powleczonym gumą kablem. Tak samo skrupował mi nogi w kostkach, popchnął mnie do ściany i innym kawałkiem kabla przywiązał moje ręce do pierścienia osadzonego w murze.

- Puść zegary! - rozkazał Goodbody. Jacques posłusznie obszedł pokój dookoła uruchamiając ich wahadła; rzecz znamienne, nie zadawał sobie trudu z mniejszymi zegarami.

- Wszystkie działają i wszystkie wydzwanają kuranty, niektóre bardzo głośno - powiedział Goodbody z satysfakcją. Znowu powrócił do równowagi, był uprzejmy i układny jak zawsze. - Te słuchawki wzmocnią dźwięk mniej więcej dziesięciokrotnie. Tam jest wzmacniacz oraz mikrofon, jak pan widzi, daleko poza pańskim zasięgiem. Słuchawki są niełamiwe. Po piętnastu minutach dostanie pan obłądu, po trzydziestu straci pan przytomność. Wynikające stąd omdlenie trwa od ośmiu do dziesięciu godzin. Ocknąłby się pan nadal w obłądzie. Tylko że pan się nie ocknie. Już zaczynają tykać i dzwonić całkiem głośno, nieprawdaż?

- Tak właśnie umarł George, oczywiście - powiedziałem. - że pan będzie się teŃ przyglądał. Przez tę szybę w drzwiach, ma się rozumieć. Tam, gdzie nie będzie takiego hałasu. '

- Niestety, nie wszystkiemu. Jacques i ja mamy do załatwienia pewne sprawy. Ale wrócimy na najbardziej interesujący moment, prawda, Jacques?

- Tak jest, proszę pana - odrzekł Jacques, wciąż pilnie uruchamiający wahadła.

- Jeżeli zniknę. . .

- O, ale pan nie zniknie. Moim zamiarem było, żeby pan wczoraj zniknął w porcie, ale to było prostackie, było posunięciem nerwowym, któremu brakowałyby piętna mojego profesjonalizmu. Nasunął mi się znacznie lepszy pomysł, prawda, Jacques?

- Tak, istotnie, proszę pana. - Jacques musiał teraz prawie krzyczeć, aby go dosłyszano.

- Rzecz w tym, że pan wcale nie zniknie, drogi panie. Skądże znowu! Zostanie pan znaleziony zaledwie w kilka minut po utonięciu.

- Po utonięciu?

- Otóż to. A, myśli pan, że wtedy władze od razu zaczną podejrzewać jakieś przestępstwo. Zrobią sekcję zwłok. I pierwszą rzeczą, jaką zobaczą, będą przedramiona pokryte ukłuciami po zastrzykach - mam pewien system, dzięki któremu ukłucia sprzed dwóch godzin mogą wyglądać jak zrobione przed dwoma miesiącami. Dalsza sekcja wykaże, że jest pan nafaszerowany narkotykami - i tak w istocie będzie. Nastrzykamy pana, kiedy pan będzie nieprzytomny, na jakieś dwie godziny przed zepchnięciem pana w samochodzie do kanału, a potem zawiadomimy policję. Temu nie dadzą wiary. Sherman, nieustraszony tropiciel narkotyków z Interpolu? Wtedy przeszukają pańskie bagaże. Strzykawki, igły, heroina, w pańskich kieszeniach ślady haszyszu. Smutne to, smutne. Kto by pomyślał? Jeszcze jeden z tych, co ścigają z psami gończymi, a uciekają z zającem.

- jedno muszę panu przyznać - powiedziałem - że jest pan zmyślnym wariatem.

Uśmiechnął się, co musiało oznaczać, że mnie dosłyszał poprzez rosnący hałas zegarów. Nasadził mi na głowę słuchawki i zamocował je dosłownie całymi jardami przylepca. Na moment w pokoju wydało się nieomal cicho; słuchawki działały chwilowo jako izolatory. Goodbody podszedł do wzmacniacza, uśmiechnął się do mnie znowu i przekręcił przełącznik.

Poczułem się tak, jakby mi zadano jakiś gwałtowny cios czy ostry wstrząs elektryczny. Całe moje ciało wygięło się i zaczęło skręcać konwulsyjnymi szarpnięciami, i wiedziałem, że ta część twarzy, która była widoczna spod

plastrów i przyłepców, musiała wyrażać mękę. Albowiem cierpiałem mękę, mękę po dziesięciokroć bardziej przeszywającą i nieznośną niż ta, którą zadały mi najlepsze - czy najgorsze - wyczyny Marcela. Uszy i całą głowę wypełniała mi ta obłądna, rycząca, upiorna kakofonia dźwięków. Przeszywała mi czaszkę jak rozpalone do białości szpikulce, zdawała się rozdzierać mózg. Nie pojmowałem, dlaczego nie pękają mi bębniaki. Zawsze słyszałem i byłem przekonany, że dostatecznie głośna eksplozja dźwięku, następująca blisko uszu, może natychmiast ogłuszyć człowieka do końca życia - ale w moim przypadku to nie działało. Tak jak najwidoczniej nie podziałało w przypadku George'a. W mojej udręce przypomniałem sobie mgliście, że Goodbody przypisał śmierć George'a jego słabej kondycji fizycznej.

Przetaczałem się z boku na bok w instynktownej, zwierzęcej reakcji uciekania od tego, co sprawia ból, ale nie mogłem przetoczyć się daleko, bo Jacques uwiązał mnie do pierścienia w murze dość krótkim kablem, i byłem w stanie przesunąć się w jedną czy drugą stronę zaledwie o parę stóp. W pewnym momencie zdołałem skoncentrować wzrok na tyle, by dojrzeć Goodbody'ego i Jacquesa, którzy wyszedłszy z pokoju przypatrywali mi się z zainteresowaniem przez szybę w drzwiach. Po paru

154 : 155

sekundach Jacques podniósł lewą rękę i postukał palcem w zegarek. Goodbody niechętnie kiwnął głową i obaj szybko odeszli. W moim oślepiającym morzu bólu pomyślałem, że spieszno im powrócić na obejrzenie wielkiego finału.

Po piętnastu minutach stracę przytomność, powiedział Goodbody. Nie wierzyłem mu; nikt nie mógł tego wytrzymać dłużej niż kilka minut bez załamania zarówno umysłowego, jak fizycznego. Szarpałem się gwałtownie z boku na bok, usiłowałem rozbić słuchawki o podłogę albo zedrzeć je z głowy. Ale Goodbody miał rację, słuchawki były odporne, a przyłepiec nałożony tak ciasno i wytrawnie, że moje próby zdarcia ich z głowy dały w wyniku tylko ponowne rozdrapanie ran na twarzy.

Wahadła się kołysały, zegary tykały, kuranty wydzwaniały prawie nieprzerwanie. Nie było żadnej ulgi, żadnego pofolgowania czy chociażby chwilowego wytchnienia od tego morderczego ataku na system nerwowy, powodującego niemożliwe do opanowania, epileptyczne konwulsje. Był to jeden nieustający elektrowstrząs o niemal śmiertelnym nasileniu, i teraz mogłem bez trudu uwierzyć w zasłyszane opowieści o pacjentach poddawanych terapii elektrowstrząsowej, którzy kończyli na stole operacyjnym, gdzie zestawiano im ręce czy nogi połamane na skutek niezależnych od woli skurczów mięśniowych.

Czułem, że tracę zmysły, i przez krótką chwilę usiłowałem temu pomóc. Niepamięć - wszystko za niepamięć! Zawiodłem, zawiodłem na całej linii, wszystko, czego się tknąłem, przemieniało się w zniszczenie i śmierć.

Maggie nie żyła, Duclos nie żył, Astrid i jej brat, George, nie żyli. Została tylko Belinda, a i ona miała umrzeć tej nocy. Wielki szlem.

A potem już wiedziałem. Wiedziałem, że nie mogę pozwolić umrzeć Belindzie. I to mnie uratowało; wiedziałem, że nie mogę pozwolić, aby umarła. Duma nie była już dla mnie ważna, moja klęska nie była ważna, pełne zwycięstwo Goodbody'ego i jego łajdackich kompanów nie było ważne. Jeżeli o mnie idzie, mogli sobie zalać świat tymi swoimi przekłętymi narkotykami. Ale nie mogłem pozwolić, aby Belinda umarła.

Podciągnąłem się jakoś, tak że oparłem się plecami o ścianę. Poza częstymi konwulsjami drgałem na całym ciele - nie trząsałem się jak w febrze; co byłoby łatwe do wytrzymania, ale drgałem, jak człowiek przywiązany do gigantycznego świdra pneumatycznego. Nie mogłem już skoncentrować wzroku dłużej niż na parę sekund, ale zdołałem rozejrzeć się półprzytomnie, rozpaczliwie, czy nie ma czegoś, co dawałoby jakąkolwiek nadzieję ocalenia. Nie było niczego. A potem, bez ostrzeżenia hałas w mojej głowie nasilił się nagle do miazdzącego crescendo - zapewne jakiś duży zegar w pobliżu

mikrofonu wydzwaniał godzinę - i przewróciłem się na bok, jak zdzielony w skroń drągiem. Głowa moja, uderzając o podłogę, uderzyła zarazem o jakiś występ na listwie przypodłogowej.

Utraciłem już całkowicie zdolność skupienia wzroku, ale rozróżniłem mgliście przedmioty znajdujące się nie bliżej niż o kilka cali, a ten był najwyżej o trzy. Wymownym świadectwem, iż umysł miałem prawie zupełnie sparaliżowany, jest fakt, że trzeba mi było kilku sekund, aby zdać sobie sprawę, czym jest ów przedmiot, ale kiedy to nastąpiło, dźwignąłem się na powrót do pozycji siedzącej. Było to ściennie gniazdko elektryczne.

Ręce miałem związane z tyłu i trzeba mi było niezmiernie długiego czasu, aby namacać i uchwycić dwa wolne końce kabla, który mnie przytrzymywał. Dotknąłem tych końców czubkami palców; w obydwu kablach żyłka była na wierzchu. Rozpaczliwie próbowałem wetknąć ich końce w otwory gniazdka - w ogóle nie przyszło mi na myśl, że mogło być osłonięte klapką, choć było to mało prawdopodobne w tak starym domu - ale ręce tak mi się trzęsły, że nie mogłem znaleźć otworów. Czułem, że przytomność mnie opuszcza. Wymacałem ten przekłety kontakt, czułem pod palcami gniazdko, ale nie mogłem trafić końcami kabli w jego otwory. Nie widziałem już nic, w palcach prawie nie miałem czucia, ból przekraczał ludzką wytrzymałość i chyba krzyczałem bezgłośnie w mojej męce, gdy nagle buchnął jaskrawy, niebieskawobiały błysk i upadłem bokiem na podłogę.

Nie potrafiłem powiedzieć później, jak długo leżałem nieprzytomny, ale musiało to trwać co najmniej kilka minut. Pierwszą rzeczą, jaką sobie uświadomiłem, była niewiarygodna, cudowna cisza - nie cisza absolutna, bo nadal słyszałem dzwonienie zegarów, ale dzwonienie stłumione, albowiem spałem właściwy bezpiecznik i słuchawki znowu działały jak izolatory. Dźwignąłem się do współsiedzącej pozycji. Czułem krew ściekającą mi po brodzie; przekonałem się później, że przegryzłem sobie dolną wargę. Twarz miałem zlaną potem, całe ciało bolało tak, jakby łamano mnie kołem. To wszystko było mi obojętne; miałem świadomość tylko jedynej rzeczy: niewymownej błogości ciszy. Ci faceci ze Stowarzyszenia Zwalczenia Hałasu wiedzieli, co robią.

Skutki tej dzikiej tortury minęły prędej, niżbym się spodziewał, ale bynajmniej nie całkowicie; ból w głowie i uszach i obolałość całego ciała miały trwać jeszcze długo - z tego zdawałem sobie sprawę. Jednakże owe skutki nie ustępowały tak szybko, jak myślałem, bo trzeba mi było przeszło minuty, by uświadomić sobie, że gdyby Goodbody i Jacques wrócili w tym momencie i zastali mnie siedzącego pod ścianą z wyrazem bezsprzecznie idiotycznej błogości na twarzy, nie bawiliby się już w żadne półśrodki. Szybko zerknąłem na szybę w drzwiach, ale jeszcze nie było za nią widać żadnych uniesionych w zdumieniu brwi.

156 157

Wyciągnąłem się na podłodze i znowu zacząłem tarzać się z boku na bok. Uczyniłem to zaledwie o dziesięć sekund za wcześnie, bo przy trzecim czy czwartym przetoczeniu się w stronę drzwi dojrzałem za szybą głowy Goodbody'ego i Jacquesa. Wzmogłem moje wyczyny, tarzałem się jeszcze gwałtowniej, wyginałem się łukiem i rzucałem tak konwulsyjnie tam i sam, że cierpiałem prawie równie dotkliwie jak wówczas, kiedy naprawdę przechodziłem ową męczarnię. Za każdym przetoczeniem się w stronę drzwi ukazywałem im moją wykrzywioną twarz, oczy wytrzeszczone lub zaciśnięte w udręce, i myślę, że ta lśniąca od potu twarz oraz krew wyciekająca z wargi i paru rozdrapanych przez Marcela okaleczeń musiały składać się na dosyć przekonujące widowisko. Goodbody i Jacques uśmiechali się szeroko, aczkolwiek wyraz Jacquesa nie dorównywał dobrotliwej świątobliwości Goodbody'ego.

Poderwałem się raz szczególnie efektownie, tak że całe moje ciało wyskoczyło w powietrze, a ponieważ o mało nie zwichnąłem sobie ramienia opadając na podłogę, uznałem, że dosyć tego dobrego - wątpię, czy nawet Goodbody orientował się w gruncie rzeczy, ile należy oczekiwać, toteż moje wicie się i skręcanie zaczęło słabnąć coraz bardziej, aż wreszcie po ostatnim konwulsyjnym targnięciu ległem bez ruchu.

Goodbody i Jacques weszli. Goodbody podszedł do wzmacniacza, który wyłączył, po czym uśmiechnął się błogo i włączył go na powrót; zapomniał że miał zamiar nie tylko pozbawić mnie przytomności, ale i zdrowych zmysłów. Jednakże Jacques coś mu powiedział i Goodbody kiwnął niechętnie głową i znowu wyłączył wzmacniacz; być może Jacques, powodowany nie współczuciem, lecz myślą, że mogą mieć trudności, jeżeli umrę, zanim mi wstrzykną narkotyki, zwrócił mu na to uwagę, sam zaś poszedł za-trzymać wahadła największych zegarów. Potem obaj podeszli, by mi się przyjrzeć. Jacques na próbę kopnął mnie w żebra; ale przeszedłem już zbyt wiele, by na to zareagować. _

- No, no, mój kochany - dosłyszałem niewyraźnie pełen wyrzutu głos Goodbody'ego - pochwalam twoje uczucia, ale żadnych śladów, żadnych śladów. Policji to by się nie podobało.

- Ale niech pan spojrzy na jego twarz - zaprotestował Jacques.

- Istotnie - zgodził się przyjaźnie Goodbody. - W każdym razie rozetnij mu więzy na przegubach; nie byłoby dobrze, gdyby pozostały na nich odcisnięte pręgi, kiedy strażacy wyłowią go z kanału. A także zdejmij te słuchawki i schowaj je.

Jacques uczynił jedno i drugie w dziesięć sekund; kiedy zdejmował

słuchawki, miałem takie wrażenie, jak gdyby ściągał wraz z nimi całą moją twarz. Jacques bowiem miał nader nonszalancki stosunek do przylepca.

- Jeżeli idzie o niego - Goodbody wskazał głową George'a Lemay - to go usuń. Wiesz jak. Przyślę Maiera, żeby ci pomógł wynieść

Shermana. - Nastąpiła chwila ciszy. Wiedziałem, że Goodbody patrzy na mnie; potem westchnął. - Ach, Boże, życie jest tylko błędzącym cieniem.

Po tych słowach Goodbody wyszedł. Nucił sobie wychodząc i jeśli można coś nucić w sposób uduchowiony, to jego wykonanie pieśni "Bądź przy mnie, Panie" było najbardziej uduchowione, jakie słyszałem. Wielbny Goodbody miał naprawdę wycucie sytuacji.

Jacques podszedł do skrzynki stojącej w kącie, wyjął z niej kilka dużych ciężarków zegarowych i począł przewlekać przez ich uszka izolowany gumą kabel, którym następnie obwiązał George'a w pasie nie pozostawiając większych wątpliwości co do swoich zamiarów. Wywłókł George'a z pokoju na korytarz i słyszałem chrobot obcasów zmarłego po podłodze, kiedy go ciągnął na front zamku. Wstałem, zgiąłem na próbę rękę i poszedłem za nim.

Zbliżając się do drzwi usłyszałem ruszającego mercedesa. Wyrzuciłem z ramugi. Jacques, obok którego leżał na podłodze George, stał w otwartym oknie i machał przez nie ręką, zapewne odjeżdżającemu Goodbody'emu.

Odwrócił się od okna, ażeby oddać ostatnią posługę George'owi. ZaMiast tego stanął jak wryty, z twarzą zastygłą w całkowitym szoku. Byłem zaledwie o pięć stóp od niego i widząc tę jego otępiałą, pozbawioną wyrazu twarz, wyczułem, iż ujrzawszy moją pojął, że dotarł do kresu swej morderczej drogi. Rozpaczliwie sięgnął po pistolet zawieszony pod pachą, ale prawdopodobnie po raz pierwszy, n już na pewno ostatni w życiu, okazał się zbyt powolny, bo ta chwila sparalizowanego niedowierzania stała się jego zgubą. Rąbnąłem go tuż pod zebra, gdy wydobywał pistolet, a kiedy zgiął się :wpół do przodu, wyrwałem broń z jego nie stawiające_ prawie oporu ręki i trzasnąłem go zaciekle pistoletem w skroń. Jacques, już nieprzytomny, choć jeszcze stał na nogach, cofnął się mimowolnie o krok, natrafił zagięciem kolan na parapet okna i dziwnie powolnym ruchem zaczął się odchylać w tył i na zewnątrz. Stałem i patrzyłem, jak wylatywał z okna, i dopiero gdy usłyszałem plusk, podszedłem i wyrzuciłem. Mętna woda fosy rozchodziła się kręgami uderzając o brzeg i mury zamku, a ze środka fosy dobywał się strumień banieczek powietrza. Spojrzałem w lewo i zobaczyłem mercedesa Goodbody'ego, który wyjeżdżał z bramy zamku. Pomyślałem, że w tym momencie powinien już być przy czwartym wersie "Bądź przy mnie, Panie".

Cofnąłem się od okna i zszedłem na dół. Wychodząc zostawiłem za sobą otwarte drzwi. Przystanąłem na chwilę na schodkach przerzuconych przez fosę i spojrzałem w dół. Kiedy patrzyłem, banieczki dobywające się z dna fosy stały się stopniowo coraz rzadsze i mniejsze, aż w końcu zniknęły całkowicie.

Rozdział trzynasty

Siedziałem w opłu, patrzyłem na swój pistolet, który odebrałem Jacquesowi, i rozmyślałem. Jeżeli odkryłem jakąś właściwość tego pistoletu, to tylko tę, że ludzie najwyraźniej potrafili mi go odebrać, ilekroć poczuli po temu ochotę. Była to myśl otrzeźwiająca, ale zarazem prowadziła do nieuchronnego wniosku, że potrzeba mi innej broni, drugiej broni, wobec czego wy dobyłem spod siedzenia wozu torbę Astrid i wyjąłem owego małego liliputa, którego jej podarowałem. Podniosłem nieco lewą nogawkę spodni, zatknąłem za skarpetkę rewolwerek lufą do dołu, naciągnąłem nań skarpetkę i opuściłem nogawkę. Już miałem zamknąć torebkę, kiedy spostrzegłem owe dwie pary kajdanków. Zawahałem się, bo na podstawie dotychczasowego doświadczenia zdawało się prawdopodobne, że jeśli je wezmę ze sobą, skończą na moich własnych rękach, ale ponieważ już było za późno przestać narażać się na ryzyko, na które się narażałem od chwili przybycia do Amsterdamu, włożyłem obydwie pary do lewej kieszeni marynarki, a kluczyki do prawej.

Kiedy dojechałem do starej dzielnicy Amsterdamu pozostawiając za sobą mój zwykły kontygent wygrażających pięści i dzwoniących na policję kierowców, zaczynał właśnie zapadać pierwszy wczesny zmierzch. Deszcz pofolgował, ale wiatr wciąż przybierał na sile marszcząc i mącąc wody kanałów.

Skręciłem w ulicę, na której znajdował się magazyn. Było tam pusto; nigdzie żadnych samochodów ani przechodniów. To znaczy było pusto na poziomie samej ulicy; na trzecim piętrze budynku Morgensterna i Muggenthalera jakiś masywny typ bez marynarki wyglądał przez okno oparłszy się łokciami o parapet, a ponieważ ustawicznie obracał głowę w lewo i w prawo, można było wywnioskować, że delectowanie się chłodnym wieczornym powietrzem Amsterdamu nie jest jego głównym celem. Minąłem magazyn, dojechałem w pobliże Damu i zadzwoniłem do de Graafa z budki telefonicznej.

- Gdzie pan się podziewał? - zapytał de Graaf. - Co pan robił?

- Nic takiego, co by pana zainteresowało. - Było to bodaj najbardziej nieprawdopodobne oświadczenie, jakie wygłosiłem kiedykolwiek.

- Chciałbym z panem pomówić.

- Proszę.

- Nie tu. Nie teraz. Nie przez telefon. Czy pan i van Gelder możecie zaraz przyjechać do magazynu Morgensterna i Muggenthalera?

- A tam pan z nami porozmawia?

- Obiecuję.

- Zaraz wyjeżdżamy - powiedział ponuro de Graaf.

- Chwileczkę. Przyjedźcie zwykłym samochodem i zostawcie go w pewnej odległości na ulicy. Oni mają w oknie strażnika.

- Oni?

- O tym właśnie będziemy mówili.

- A ten strażnik?

- Odwrócę jego uwagę. Wymyślę jakiś sposób.

- Rozumiem. - Dę Graaf przerwał, po czym dodał posępnie: - Sądząc z pańskich dotychczasowych wyczynów, wzdrygam się na myśl, co to będzie za sposób. - Odłożył słuchawkę.

Udałem się do miejscowego sklepu z wyrobami żelaznymi i kupiłem zwój sznura i największy klucz do nakrętek, jaki mieli na składzie. W parę minut później zaparkowałem opla o niespełna sto jardów od magazynu, ale nie na tej samej ulicy.

Wszedłem w bardzo wąskie i bardzo źle oświetlone przejście łączące ulicę, na której był magazyn, z tą, co biegła równoległe do niej. Pierwszy magazyn, na jaki natrafiłem po lewej ręce, miał rozklekotane, drewniane schodki przeciwpożarowe, które byłyby pierwszą rzeczą, jaka spaliłaby się podczas pożaru, lecz innych nie znalazłem. Przeszedłem co najmniej pięćdziesiąt jardów za tyły budynku, ittory, jak przypuszczałem, należał do Morgensterna i Muggenthalera, i nie natrafiłem na żadne inne schodki awaryjne; w tej dzielnicy Amsterdamu wiązane w węzły prześcieradła musiały być w wysokiej cenie.

Zawróciłem do tych jednych jedynych schodów przeciwpożarowych i wszedłem po nich na dach. Powziąłem natychmiastową niechęć do tego dachu, podobnie jak do wszystkich innych; po których musiałem przejść, by dostać się na ten, o który mi chodziło. Wszystkie kalenice biegły prostopadle do ulicy, same dachy były pochyle i zdradziecko śliskie od deszczu, a na domiar złego dawni architekci, powodowani intencją urozmaicenia sylwetek domów, którą błędnie uważali za chwalebna, zmyślnie załatwili tę sprawę tak, że nie było dwóch dachów jednakowej wysokości i kształtu. Z początku posuwałem się ostrożnie naprzód, ale ostrożność do niczego nie prowadziła, więc wprędce wypracowałem sobie jedyną praktyczną metodę, a mianowicie przedostawanie się z kalenicy na kalenicę

160 161

zbiegając z jednego stromego dachu i wpadając z rozpędu możliwie jak najwyżej na następny, by tam lec plackiem i wdrapać się ostatnie kilka stóp na czworakach. Wreszcie dotarłem do dachu, który, jak mi się wydało, musiał być tym, o który mi chodziło, podpełznąłem nad ulicę, wychyliłem się przez gzyms i popatrzyłem w dół.

Pierwszy raz dobrze utrafiłem, co było wreszcie jakąś odmianą. Prawie dwadzieścia stóp wprost pode mną ów strażnik w koszuli nadal pełnił swą wartę. Przewlokłem koniec sznura przez otwór w rękojeści klucza i zawiązałem go mocno, położyłem się na brzuchu tak, aby moja ręka i sznur sięgały pod belkę wyciągową, opuściłem klucz o jakieś piętnaście stóp i delikatnie zacząłem zataczać nim łuk wahadłowy, który się zwiększał za każdym ruchem mej ręki. Zwiększałem go najprędzej jak mogłem, bo ledwie o kilka stóp pode mną jasne światło świeciło przez szparę między dwojgiem drzwi załadunkowych na najwyższym piętrze, a nie mogłem wiedzieć, jak długo te drzwi pozostaną zamknięte.

Ciężki klucz, który musiał ważyć co najmniej cztery funty, zataczał teraz łuk prawie o dziewięćdziesiąt stopni. Opuściłem go jeszcze o trzy stopy i zastanowiłem się, jak prędko zwróci uwagę strażnika cichy świst, który klucz musiał wydawać przecinając powietrze, ale na szczęście w tym momencie uwagę tego człowieka zwróciło coś innego. W ulicę właśnie

wjechała niebieska furgonetka, której przybycie dopomogło mi dwojako; obserwator wychylił się bardziej, aby przypatrzeć się owej maszynie, a jednocześnie warkot jej silnika zagłuszył wszelkie odgłosy mogące go ostrzec o zagrożeniu ze strony rozkołysanego nad nim klucza.

Furgonetka zatrzymała się o trzydzieści jardów i silnik jej umilkł. Klucz był właśnie u górnego krańca swojego łuku. Kiedy zaczął opadać, wypuściłem między palcami jeszcze ze dwie stopy sznura. Strażnik, połapawszy się nagle, ale za późno, że coś jest nie w porządku, przekręcił głowę akurat w sam czas, by dostać całym ciężarem klucza w czoło. Zapadł się tak, jakby most się na niego zwałił, z wolna osunął się w tył i zniknął mi z oczu.

Drzwi furgonetki otworzyły się i wysiadł z niej de Graaf. Pomachał do mnie dłonią. Uczyniłem dwukrotnie przyzywający ruch ręką, sprawdziłem, czy mały rewolwer jest nadal mocno osadzony w mojej skarpetce i bucie, opuściłem się tak, że oparłem się brzuchem o belkę wyciągową, po czym zmieniłem pozycję i przytrzymałem się rękami. Wyjąłem pistolet z podramiennej kabury, wsadziłem go sobie między zęby, wziąłem całym ciałem zamach do tyłu, potem do przodu, lewą stopą dosięgnąłem parapetu, a prawą kopnąłem drzwi do ładowania, zarazem chwytając się rękami ich framug. Ująłem pistolet w prawą dłoń.

W środku było ich czworo: Belinda, Goodbody i obaj wspólnicy. Belinda, blada jak ściana, stawiała bezgłośnie opór, ale już była ubrana w powłóczysty strój z Huyler i haftowany stanik, a przytrzymywali ją za ręce

rumiani, jowialni, dobrdliwi Morgenstern i Muggenthaler, których rozpromienione, ojcowskie uśmiechy poczęły teraz zastygać powoli, niemal groteskowo. Goodbody, który był obrócony do mnie tyłem i właśnie poprawiał czepiec na głowie Belindy zgodnie ze swymi estetycznymi wymaganiami, odwrócił się bardzo wolno. Szczeka mu opadła, oczy się rozszerzyły, a krew odpłynęła z twarzy, która nieomal przybrała kolor jego śnieżnych włosów.

Postąpiłem dwa kroki w głąb poddasza i wyciągnąłem rękę do Belindy. Patrzyła na mnie parę sekund nie wierząc własnym oczom, po czym strząsnęła z siebie bezwładne ręce Morgensterna i Muggenthalera i podbiegła do mnie. Serce jej łomotało jak u schwytanego ptaka, ale poza tym nie zdradzała niczym, że doświadczyła czegoś, co musiało być najbardziej upiornym przeżyciem.

Popatrzyłem na trzech mężczyzn i uśmiechnąłem się na tyle, na ile mogłem bez zbytniego bólu w twarzy. Powiedziałem:

- Teraz wy wiecie, jak wygląda śmierć.-

Wiedzieli istotnie. Ze zmartwiałymi twarzami podnieśli ręce do góry najwyżej jak mogli. Przetrzymałem ich tak, nic nie mówiąc, dopóki de Graaf i van Gelder nie wbiegli z tupotem po schodach na poddasze. Przez ten czas nic się nie działo. Mogę przysiąc, że żaden nawet nie mrugnął. Belinda zaczęła trząść się niepowstrzymanie na skutek reakcji, ale zdołała uśmiechnąć się do mnie blad i wiedziałem, że nic jej nie będzie; paryski Interpol nie na darmo ją wybrał.

De Graaf i van Gelder, obaj z rewolwerami w rękach, przypatrywali się tej scenie. De Graaf zapytał:

- Co pan robi, na imię boskie? Dlaczego ci trzech panowie...

- Może bym to wyjaśnił? - spytałem rozsądnie.

- Istotnie będzie potrzebne jakieś wyjaśnienie - odparł poważnie van Gelder. - Trzej znani i szanowani obywatele Amsterdamu...

- Proszę, niech pan mnie nie rozśmiesza - odrzekłem. - Twarz mnie od tego boli.

- A właśnie - powiedział de Graaf. - Jakim sposobem. . .

-Zaciąłem się przy goleniu. - To właściwie było powiedzenie Astrid, ale nie miałem w tej chwili wielkiej inwencji. - Czy mogę to opowiedzieć?

De Graaf westchnął i kiwnął głową.

- Na mój własny sposób?

Znów kiwnął głową. Zwróciłem się do Belindy:

- Wiesz, że Maggie nie żyje?

- Wiem. - Jej głos był rozdygotanym szeptem; jeszcze nie przyszła do siebie, tak jak mi się zdawało. - On mi o tym powiedział. Mówił -i uśmiechał się.

162 163

- To był przebłysk jego chrześcijańskiego miłosierdzia. Nie może się temu oprzeć. No więc, panowie - zwróciłem się do policjantów - przyrzycie się dobrze. Temu Goodbody'emu. Najbardziej sadystyczny, psychopatyczny morderca, jakiego spotkałem czy nawet o jakim słyszałem. Człowiek, który zawiesił Astrid Lemay na haku. Człowiek, który kazał zadźgać Maggie widłami na łące w Huyler. Człowiek, który...

- Powiedział pan: zadźgać widłami? - zapytał de Graaf. Widać było, że nie mieści mu się to w głowie.

- Zaraz. Człowiek, który doprowadził George'a Lemay do takiego obłędu, że to go zabiło. Człowiek, który usiłował zabić mnie tym samym sposobem, człowiek, który dzisiaj usiłował mnie zabić trzykrotnie. Człowiek, który wtyka butelkę dżinu w ręce konających narkomanów. Który wrzuca do kanałów ludzi obciążonych ołowianymi rurami, po Bóg wie jakich męczarniach i torturach. Poza tym, że przynosi upodlenie, obłęd i śmierć tysiącom otumanionych istot ludzkich na całym świecie. Jak sam przyznał, jest głównym kukielkarzem, tym, który huśta tysiące nawleczonych na hak lalek na swoich łańcuchach i każe _wszystkim tańczyć tak, jak im zagra. Taniec śmierci.

- To niemożliwe - odezwał się van Gelder. Był oszołomiony. - To nie może być. Doktor Goodbody? Pastor...

- Nazywa się Ignatius CataneŃi i figuruje w naszych aktach. Jest byłym członkiem cosa nostra ze Wschodniego Wybrzeża. Ale nawet mafiosi nie mogli go strawić. Zgodnie ze swymi zasadami nie zabijają nigdy bez celu, lecz tylko z uzasadnionych względów handlowych. Natomiast Catanelli zabijał, bo jest rozkochany w śmierci. Pewnie kiedy był małym chłopcem, obrywał skrzydełka muchom. Ale kiedy dorósł, muchy przestały mu wystarczać. Musiał opuścić Stany Zjednoczone, bo mafia dawała mu tylko jedną alternatywę.

- To... to jest fantazja. - Fantazja czy nie, rumieńce wciąż _nie powracały na policzki Goodbody'ego. - To oburzające. To jest...

- Bądź pan cicho - powiedziałem. - Mamy pańskie odciski palców i pomiary głowy. Muszę powiedzieć, że szło mu tu jak po maśle. Przy-
pływające statki zostawiają heroinę w zapieczętowanych i obciążonych

pojemnikach przy pewnej boi u wybrzeża. Potem ściąga się heroinę barką i przewozi na Huyler, gdzie trafia do tamtejszej chałupniczej wytwórni. Ta wytwórnia wyrabia lalki, które następnie dostarcza się tu, do tego magazynu. Cóż bardziej naturalnego - tyle, że jedna z wielu, specjalnie oznaczona lalka zawiera heroinę.

- To niedorzeczne, niedorzeczne - powiedział Goodbody. - Nie może pan nic z tego udowodnić.

- Ponieważ mam zamiar zabić pana za kilka minut, nie muszę niczego udowadniać. Alia, i jeszcze miał swoją organizację, ten nasz przyjaciel Catanelli. Pracowali dla niego wszyscy, od kataryniarza do striptizerki

164

- połączenie szantazu, pieniędzy, narkomanii i w końcu groźby śmierci sprawiało, że wszyscy milczeli jak grób.

- Pracowali dla niego? - De Graaf wciąż za mną nie nadażał. - W jaki sposób?

- Sprzedając i rozprowadzając. Część heroiny, ilość stosunkowo niewielką, zostawiano tu, w lalkach. Inne lalki szły do sklepów, niektóre na wózek sprzedający je w parku Vondel i pewnie na inne wózki. Dziewczyny Goodbody'ego zakupywały te lalki, sekretnie oznaczone, w całkowicie legalnych sklepach i wysyłały je za granicę pomniejszym dostawcom heroiny albo narkomanom. Lalki w parku Vondel sprzedawano tanio kataryniarzom, którzy byli łącznikami z wykończonymi nałogowcami znajdującymi się w tak zaawansowanym stadium, że nie można było pozwolić im pokazywać się w przyzwoitych lokalach - to maczy, jeżeli takie parszywe spelunki jak "Balinova" nazwie się przyzwoitym lokalem.

- W takim razie, jak to się stało, na Boga, że nie dowiedzieliśmy się nigdy o tym wszystkim? - zapytał de Graaf.

- Powiem panu za chwilę. Jeszcze o rozprowadzaniu. Znacznie większa ilość towaru wychodziła stąd w skrzynkach z Bibliami, tymi, które nasz tu obecny świątobliwy przyjaciel tak łaskawie rozdawał gratis po całym Amsterdamie. Niektóre z tych Biblii były w środku wydrążone. Te słodkie młode istoty, które Goodbody w niewymownej dobroci swojego chrześcijańskiego serca próbował umoralnić i ocalić od losu gorszego od śmierci, przychodziły na jego nabożeństwa z Bibliami w swych słodkich, drobnych rączkach - niektóre, Boże przebac, ślicznie przebrane za zakonnice - po czym odchodziły trzymając inne Biblie w swych słodkich, drobnych rączkach, a następnie handlowały tym draństwem w nocnych lokalach. Reszta towaru, główna jego część, szła do Kasteel Linden. Czy może coś pominąłem, Goodbody?

Sądząc po wyrazie jego twarzy, było dosyć jasne, że nie pominąłem niczego ważnego, ale mi nie odpowiedział. Podniosłem lekko pistolet i powiedziałem:

- No, myślę, że teraz, Goodbody.

- Nikt tutaj nie będzie sam wymierzał sprawiedliwości! - powiedział ostro de Graaf.

- Przecież pan widzi, że on chce uciec - odrzekłem rozsądnie. Good-

body stał bez ruchu; nie mógłby podnieść rąk nawet o milimetr wyżej.

I wtedy, po raz drugi tego dnia, odezwał się za mną czyjś głos:

- Proszę rzucić broń, panie majorze.

Obróciłem się z wolna i odrzuciłem pistolet. Każdy potrafił mi go odebrać. Tym razem była to Trudi, która wynurzyła się z cienia zaledwie o pięć kroków ode mnie, z lugerem trzymanym bardzo zdecydowanie w prawej ręce.

- Trudi! - De Graaf wpatrzył się ze zgrozą i oszołomieniem w młodą, radośnie uśmiechniętą, złotowłosą dziewczynę. - Co ty, na miłość boską...

Przerwał i krzyknął z bólu, kiedy lufa pistoletu van Geldera rąbnęła go w przegub ręki. Pistolet de Graafa upadł z trzaskiem na podłogę, a kiedy pułkownik obrócił się, by spojrzeć na tego, kto go uderzył, w oczach miał tylko osłupienie. Goodbody, Morgenstern i Muggenthaler opuścili ręce i wydobyli spod marynarek rewolwery; ilość materiału koniecznego do okrycia ich zwalistych ciał była tak obfita, że w przeciwieństwie do mnie nie potrzebowali pomysłowości wyspecjalizowanych krawców, aby przesłonić zarysy swej broni. .

Goodbody wyjął chustkę i otarł czoło, które pilnie tego potrzebowało, po czym powiedział zrzędnie do Trudi:

- Nie spieszyłaś się zbytnio, co?

- Och, tak mnie to bawiło! - zawołała radośnie i beztrosko, z chichotem, od którego zastygłaby krew w mrożonej flądrze. - Bawiłam się pysznie przez cały czas!

- Wzruszająca para, prawda? - powiedziałem do van Geldera. - Ona i ten jej świątobliwy kumpel. Ta ufna, dziecięca niewinność.

- Zamknij się pan - rzekł zimno van Gelder. Podszedł, obmacał mnie szukając broni i nie znalazł jej. - Siądź pan na podłodze i trzymaj ręce tak, żebym je widział. Pan też, de Graaf.

Zrobiliśmy to, co nam nakazano. Usiadłem po turecku, z łokciami opartymi na udach i dłońmi zwisającymi przy kostkach nóg. De Graaf wpatrywał się we mnie, a jego twarz odzwierciedlała całkowity brak zrozumienia.

- Właśnie do tego dochodziłem - usprawiedliwiłem się. - Właśnie miałem panu powiedzieć, dlaczego robiliście tak nikłe postępy w tropieniu źródeł tych narkotyków. Pański zaufany zastępca, inspektor van Gelder, pilnował, żebyście nie posuwali się naprzód.

- Van Gelder? - De Graaf, nawet mając przed sobą wszelkie namacalne dowody, wciąż nie mógł objąć umysłem zdrady wyższego oficera policji. - Jak to możliwe? To nie może być. ,

- Przecież nie celuje teraz do pana z lizaka - odrzekłem łagodnie.

- Van Gelder to szef, van Gelder to mózg. On jest właściwym Frankensteinem. Goodbody to tylko potwór, który wymknął się spod kontroli. Prawda, van Gelder?

- Prawda! - Złowrogie spojrzenie, którym van Gelder obrzucił Goodbody'ego, nie wróżyło zbyt dobrze, jeżeli idzie o przyszłość pastora, aczkolwiek nie sądziłem, żeby miał jakkolwiek w ogóle. Spojrzałem na Trudi bez sympatii.

- Co zaś się tyczy tego pańskiego Czerwonego Kapturka, panie van Gelder, tej pańskiej słodkiej, małej kochanki...

- Kochanki? - De Graaf był tak wytracony z równowagi, że nawet nie wyglądał już na oszołomionego.

- Słyszał pan dobrze. Ale mam wrażenie, że van Gelder już się w niej chyba odkochał, prawda? Znadto stała się, że tak powiem, psychopatyczną towarzyszką duchową tu obecnego wielebnego. - Obróciłem się do de Graafa. - Ten nasz pączuszek różany wcale nie jest narkomanką. Goodbody umie nadawać tym śladom na jej rękach wygląd prawdziwych. Sam mi to powiedział. Jej umysłowość nie jest na poziomie ośmioletniego dziecka, jest starsza od samego grzechu. I dwa razy bardziej złowroga.

- Nie wiem - powiedział zmęczonym głosem de Graaf. - Nic nie rozumiem. . . :

- Służyła do trzech pożytecznych celów - ciągnąłem. - Któż mógł wątpić, że van Gelder, mając taką córkę, jest zazartym wrogiem narkotyków i tych wszystkich złych ludzi, co na nich zarabiają? Była idealną pośredniczką między van Gelderem i Goodbodym. Oni nigdy się ze sobą nie kontaktowali, nawet przez telefon. A co najistotniejsze, była ważnym ogniwem w systemie dostarczania narkotyków. Wozila swoją lalkę do Huyler, zamieniała ją na inną, napełnioną heroiną, dostarczała na wózek z lalkami w parku Vondel i tam zamieniała ją znowu. Wózek oczywiście przywoził lalkę tutaj, kiedy wracał po dalsze zapasy. To bardzo urocze dziecko, ta nasza Trudi. Tylko nie powinna była stosować belladony, żeby nadać swym oczom ten szklisty, narkomański wyraz. Nie połapałem się w porę, ale jak mi się da trochę czasu i walnie porządnie po głowie, połapię się w końcu we wszystkim. To nie był ten właściwy wyraz twarzy. Rozmawiałem ze zbyt wieloma nałogowcami, którzy już naprawdę. I wtedy już wiedziałem.

Trudi znowu zachichotała i oblizwała wargi.

- Czy mogę teraz do niego strzelić? W nogę. Tam wyżej?

- Jesteś przeuroczym stworzeniem - powiedziałem - ale powinnaś wiedzieć, kto ma pierwszeństwo. Może byś się rozejrzała dokoła siebie?

Rozejrzała się. Rozejrzeli się wszyscy. Ja tego nie zrobiłem, tylko patrzyłem prosto na Belindę, a potem prawie niedostrzegalnym ruchem głowy wskazałem Trudi, która stała między nią a otwartymi drzwiami załadowniczymi. Belinda z kolei zerknęła na Trudi i wiedziałem, że zrozumiała.

- Wy, głupcy! - powiedziałem z pogardą. - Jak wam się zdaje, skąd mam te wszystkie informacje? Podano mi je! Podali mi je dwaj ludzie, którzy wystraszyli się śmiertelnie i sprzedali was za obietnicę darowania kary. Morgenstern i Muggenthaler.

niewątpliwie pośród obecnych było paru dosyć nieludzkich osobników, ale wszyscy byli ludzcy w swoich reakcjach. Wpatrzyli się skonsternowani w Morgensterna i Muggenthalera, którzy stali z wyrazem niedowierzania w oczach, i skonali z rozdziawionymi ustami, bo obaj mieli broń, a rewolwer, który trzymałem teraz w ręku, był bardzo mały i nie mogłem

166 167

pozwolić sobie tylko ich zranić. W tej samej chwili Belinda pchnęła

plecami zaskoczona Trudi, która zatoczyła się w tył, zachwiała na krawędzi drzwi załadunkowych i wypadła na zewnątrz.

Jej cienki, jękliwy krzyk jeszcze nie ucichł, kiedy de Graaf rozpaczliwie spróbował złapać van Geldera za rękę, w której ten trzymał pistolet, ale nie miałem czasu sprawdzić, czy mu się to udało, bo wspiałem się na palce, ciągle w skulonej pozycji, i przygięty nisko rzuciłem się na Goodbody'ego, który usiłował wyciągnąć pistolet. Goodbody zwałił się na wznak z łomotem dobrze świadczącym o solidności podłogi magazynu, która pozostała nienaruszona, i w sekundę potem chwyciłem go od tyłu, jemu zaś poczęło dobywać się z gardła dziwne charczenie, ponieważ opłotłem mu ręką szyję tak, jakbym chciał ją spłaszczyć.

De Graaf leżał na podłodze, krew spływała mu ze skaleczenia na czole. Jęczał cicho. Van Gelder trzymał przed sobą wyrywającą się Belindę używając jej jako tarczy, podobnie jak ja Goodbody'ego. Van Gelder się uśmiechnął. Obaj celowaliśmy do siebie z pistoletów.

- Znam Shermanów tego świata - ton van Geldera był spokojny, konwersacyjny. - Nigdy nie zaryzykują skrzywdzenia niewinnej osoby, zwłaszcza tak ładnej dziewczyny. Jeżeli zaś idzie o Goodbody'ego, to dla mnie może być cały postrzelany jak sito. Czy mówię jasno?.

Spojrzałem na prawą stronę twarzy Goodbody'ego, jedyną, jaką mogłem widzieć. Jej kolor wahał się między fioletem a purpurą, i trudno było powiedzieć, czy to dlatego, że go powoli dusiłem, czy skutek reakcji na tak łatwe i bezduszne opuszczenie go przez dawnego współnika. Nie wiem, dlaczego nań spojrzałem, bo ostatnią rzeczą, jaka przyszłaby mi do głowy, było porównywanie wartości Belindy i Goodbody'ego jako zakładników; dopóki van Gelder miał Belindę, Goodbody był bezpieczny jak człowiek w kościele. To znaczy w każdym, z wyjątkiem kościoła wielebnego Goodbody'ego.

- Mówi pan jasno - powiedziałem.

- Powiem jasno jeszcze jedno - ciągnął van Gelder. - Pan ma tę małą pukawkę. Ja mam policyjnego colta. - Kiwnąłem głową. - To jest mój .. glejt. - Zaczął przesuwając się ku schodom trzymając Belindę między nami.

- Na ulicy stoi niebieska policyjna furgonetka. Moja furgonetka. Zabieram ją. Schodząc na dół porozbijam biurowe telefony. Jeżeli doszedłszy do samochodu nie zobaczę pana tu,, w drzwiach załadunkowych, ta dziewczyna nie będzie mi już potrzebna. Zrozumiał pan?

- Zrozumiałem. A jeżeli pan ją zabije, już nigdy więcej nie zmruży pan oka. To pan wie.

- Wiem - odpowiedział i zniknął schodząc tyłem po schodach i ciągnąc za sobą Belindę. Nie zwracałem na to uwagi. Spostrzegłem, że de Graaf, leżący dotąd na podłodze, dźwiga się i przykłada chustkę do

krwawiącego czoła, a zatem najwyraźniej da sobie jakoś radę. Poluzowałem mój dławiący uścisk na szyi Goodbody'ego, zabrałem mu pistolet i wciąż siedząc za nim wyjąłem kajdanki i przymocowałem nimi jedną jego rękę do przegubu martwego Morgensterna, a drugą do przegubu martwego Muggenthalera. Potem wstałem, przeszedłem przed Goodbody'ego i pomogłem mocno roztrzęsionemu de Graafowi usiąść na krześle. Spojrzałem na Goodbody'ego, który wpatrywał się we mnie z twarzą wykrzywioną grymasem przerażenia. Kiedy przemówił, jego zazwyczaj niski,

pontyfikalny głos był nieomal obłąkanym krzykiem.

- Pan mnie tak nie zostawi!

Przyjrzałem się dwóm masywnym kupcom, do których był przykuty.

- Zawsze pan może wziąć ich pod pachy i uciec.

- Na miłość boską, majorze...

- Nabił pan Astrid na hak. Mówiłem, że jej pomogę, a pan ją nabił na hak. Kazał pan zadźgać Maggie na śmierć. Moją Maggie. Chciał pan zawiesić na haku Belindę. Moją Belindę. Jest pan człowiekiem, który kocha śmierć. Dla odmiany niech pan zapozna się z nią z bliska. - Podszedłem do drzwi załadunkowych, wyjrzałem i popatrzyłem na niego. - I jeżeli nie odnajdę Belindy żywej, nie wrócę tu.

Goodbody jęknął jak rażone zwierzę i popatrzył wzdrygając się ze zgrozy i odrazy na dwóch zabitych, którzy go więzili. Podszedłem do drzwi i spojrzałem w dół.

Trudi leżała rozkrzyżowana na chodniku. Nawet nie popatrzyłem na nią powtórnie. Po drugiej stronie ulicy van Gelder prowadził Belindę do policyjnej furgonetki. Doszedłszy do niej obrócił się, spojrzał w górę, zobaczył mnie, kiwnął głową i otworzył drzwi samochodu.

Odwróciłem się, podszedłem do wciąż jeszcze otumanionego de Graffa, pomogłem mu wstać i poprowadziłem go do schodów. Tam obejrzałem się na Goodbody'ego. Miał oczy wytrzeszczone w oszalałej z przerażenia twarzy, a z głębi gardła dobywał mu się dziwny chrapliwy odgłos.

Wyglądał na człowieka zagubionego na zawsze w ponurym, nie kończącym się koszmarze, człowieka ściganego przez demony i wiedzącego, że nigdy nie zdoła się wymknąć.

168

Rozdział czternasty

Ciemności już niemal zapadły na ulicach Amsterdamu. Deszcz ledwie mżył, ale był przejmująco zimny, niesiony silnym, porywistym wiatrem. W lukach między gnającymi chmurami mrugały blado pierwsze gwiazdy; księżyc jeszcze nie wszedł.

Czekałem siedząc za kierownicą opla zaparkowanego w pobliżu budki telefonicznej. Po chwili jej drzwi otworzyły się, wyszedł de Graaf ocierając chustką krew, która jeszcze sączyła mu się ze skaleczenia na czole, i wsiadł do samochodu. Spojrzałem na niego pytająco.

- Cały teren będzie za dziesięć minut otoczony kordonem. A kiedy mówię: otoczony kordonem, to znaczy, że nikt się nie wydostanie. Gwarantowane. - Znów otarł krew. - Ale skąd pan ma pewność...

- On tam będzie. - Uruchomiłem silnik i ruszyłem. - Po pierwsze van Gelder będzie uważał, że jest to ostatnie miejsce w Amsterdamie, gdzie przyjdzie nam do głowy go szukać. Po drugie Goodbody dziś rano zabrał

z Huyler najświeższą przesyłkę heroiny. Na pewno w jednej z tych dużych lalek. Lalki nie było w jego wozie przed zamkiem, więc musiał ją zostawić w kościele. Nie miał czasu zabrać jej nigdzie indziej. Poza tym w kościele leży zapewne jeszcze całe bogactwo tego towaru. Van Gelder nie jest taki jak Goodbody i Trudi. Nie robi tego dla samej frajdy. Robi to dla pieniędzy i nie ma zamiaru wyrzec się takiego ładnego szmalu.

- Szmalu?

- Przepraszam. Pieniądzy. Może milionów dolarów w tym towarze.

- Van Gelder! - de Graaf potrząsnął z wolną głową. - Nie mogę w to uwierzyć. Taki człowiek! Z taką wspaniałą przeszłością w policji!

- Niech pan zachowa swoje współczucie dla jego ofiar - odparłem szorstko. Nie chciałem tak mówić do poturbowanego człowieka, ale sam byłem poturbowany; miałem wątpliwości, czy moja głowa jest bodaj w odrobinę lepszym stanie niż de Graafa. - Van Gelder jest gorszy od nich wszystkich. Na obronę Goodbody'ego i Trudi można przynajmniej powiedzieć, iż ich umysły były tak chore i wypaczone, że nie mogli już

odpowiadać za swoje czyny. Ale van Gelder nie jest chory. Robi to wszystko z zimną krwią, dla pieniędzy. Orientuje się dobrze. Wiedział, co się działo i jak postępował ten jego psychopatyczny kumpel, Goodbody. I tolerował to. Gdyby mógł bez końca uprawiać ten proceder, tolerowałby bez końca mordercze zboczenia Goodbody'ego. - Spojrzałem badawczo na de Graafa. - Pan wie, że jego brat i żona zginęli w katastrofie samochodowej w Curaçao?

De Graaf milczał chwilę, nim odpowiedział:

- To nie był tragiczny wypadek?

- To nie był tragiczny wypadek. Nigdy tego nie udowodnimy, ale założyłbym się o swoją emeryturę, iż powodem było połączenie faktu, że jego brat, wytrawny funkcjonariusz służby bezpieczeństwa, dowiedział się o nim za wiele, oraz tego, że van Gelder chciał pozbyć się żony, która stała między nim a Trudi, jeszcze zanim co sympatyczniejsze cechy Trudi wypłynęły na powierzchnię. Idzie mi o to, że ten człowiek jest zimnym jak lód kalkulatorem, do gruntu bezwzględny i całkowicie pozbawionym tego, co moglibyśmy nazwać normalnymi ludzkimi uczuciami.

- Pan nie dożyje do swojej emerytury = powiedział de Graaf ponuro.

- Może i nie. Ale miałem rację co do jednej rzeczy.

Skręciliśmy w ulicę nad kanałem, gdzie był kościół Goodbody'ego, i oto ujrzelśmy wprost przed sobą niebieską policyjną furgonetkę. Nie zatrzymaliśmy się, minęliśmy ją i zajęchawszy przed wejście do kościoła wysiedliśmy. Ze schodów zszedł sierżant w mundurze, by nas przywitać, i jeżeli widok tych dwóch kalek, które ujrzał przed sobą, wywarł na nim jakieś wrażenie, to ukrył je starannie.

- Pusto, panie pułkowniku - powiedział. - Byliśmy nawet na dzwonnicy.

De Graaf odwrócił się i spojrzał na niebieską furgonetkę.

- Jeżeli sierżant Gropius mówi, że nie ma tam nikogo, to nie ma nikogo:

- Przerwał, po czym ciągnął powoli: - Van Gelder jest przebiegłym człowiekiem. To teraz wiemy. Nie ma go w kościele. Nie ma go w domu Goodbody'ego. Moi ludzie obsadzili obie strony kanału i ulicę. Więc tu go nie ma. Jest gdzie indziej.

- Jest gdzie indziej, ale jest tutaj = odpowiedziałem. - Jeżeli go nie

znajdziemy, jak długo zatrzyma pan kordon na miejscu?

- Dopóki nie przeszukamy i nie sprawdzimy każdego domu na tej ulicy. Dwie godziny, może trzy.

- I potem on mógłby odejść?

- Tak. Gdyby tu był. '

- On tu jest - powiedziałem z całą pewnością. - Dziś jest sobota. Czy robotnicy budowlani przychodzą tu w niedzielę?

- Nie.

- Więc to mu daje trzydzieści sześć godzin. Dziś wieczorem, nawet jutro wieczorem zejdzie na dół i zniknie.

170 171

- Moja głowa. - De Graaf znowu przytknął chustkę do rany. - Ta kolba pistoletu van Geldera była bardzo twarda. Obawiam się, że...

- Tutaj na dole go nie ma - powiedziałem cierpliwie. - Przeszukiwanie domów to strata czasu. I jestem całkiem pewny, że nie siedzi na dnie kanału wstrzymując oddech. Więc gdzie może być?

Popatrzyłem badawczo na ciemne, omiatane wiatrem niebo. De Graaf podążył spojrzeniem za moim wzrokiem. Ciemna sylwetka potężnego dźwigu zdawała się niemal sięgać obłoków, koniec jego masywnego, poziomego wysięgnika gubił się w ciemnościach. Wielki dźwig zawsze wydawał mi się dziwnie groźny; dzisiejszego wieczora - zapewne z uwagi na to, co przyszło mi na myśl - wyglądał bardzo ponuro, odstręczająco i złowieszczo.

- Oczywiście - szepnął de Graaf. - Oczywiście.

- W takim razie idę tam - powiedziałem.

- Szaleństwo! Szaleństwo! Niech pan się przyjrzy sobie, swojej twarzy. Nie czuje się pan dobrze.

- Czuję się całkiem dobrze.

- To idę z panem - powiedział z determinacją de Graaf. _

- Nie.

- Mam młodych, sprawnych funkcjonariuszy...

- Nie ma pan moralnego prawa żądać od kóregokolwiek ze swoich ludzi, czy są młodzi i sprawni, czy nie. Niech pan nie nalega. Odmawiam. Poza tym to nie jest sytuacja do frontalnego ataku. Trzeba to zrobić cichcem, ukradkiem albo wcale.,

- On musi pana zobaczyć. - De Graaf, świadomie czy nie, przyjmował mój punkt widzenia.

- Wcale nie. Z tego miejsca, gdzie teraz jest, wszystko w dole musi być pogrążone w ciemnościach.

- Możemy poczekać - nalegał. - Musi zejść na dół. W jakimś momencie przed poniedziałkiem rano musi zejść.

- Van Gelder nie delektuje się śmiercią. To wiemy. Ale śmierć jest mu całkowicie obojętna. To także wiemy. Życie - życie innych ludzi - nic dla niego nie znaczy.

- No więc?

- Van Geldera nie ma tu, na dole. Ani Belindy. Więc ona jest z nim tam, na górze - a kiedy będzie schodził, zabierze ze sobą swoją żywą tarczę. To nie potrwa długo.

De Graaf nie próbował już mnie powstrzymać. Zostawiłem go u drzwi kościoła, ruszyłem na plac budowy, podszedłem do dźwigu i zacząłem się wdrapywać po nie kończących się drabinach, skośnie umieszczonych wewnątrz jego kratownicy. Była to długa wspinaczka i chętnie bym jej się wyrzekł w mojej obecnej formie fizycznej, ale nie było w tym nic specjalnie wyczerpującego czy niebezpiecznego. Znalazł'szy się mniej więcej

w trzech czwartych drogi, zatrzymałem się, by nabrać tchu, i spojrzałem w dół.

Nie doznałem jakiegoś szczególnego wrażenia wysokości, bo ciemność była całkowita, a słabe uliczne latarnie wzdłuż kanału były zaledwie punkcikami światła, sam kanał zaś nikło połśniewającą wstążką. Wszystko to wydawało się tak dalekie, takie nierzeczywiste. Nie mogłem rozemnać zarysów żadnego z domów; wypatrzyłem jedynie kurka na czubku wieży kościelnej, a i on znajdował się o sto stóp pode mną.

Spojrzałem w górę. Kabina kontrolna dźwigu była jeszcze o pięćdziesiąt stóp nade mną - niewyraźna, ciemna, czworokątna plama na tle niemal równie ciemnego nieba. Zacząłem wspinać się znowu.

Jeszcze tylko dziesięć stóp dzieliło mnie od klapy wejściowej w podłodze kabiny, kiedy między chmurami ukazała się luka i zaświecił księżyc, wprawdzie tylko na nowiu; ale ta jasność oblała pomalowany na żółto dźwig i jego potężny wysięgnik dziwnie jaskrawym blaskiem; który oświetlił każdy dźwigar i poprzecznice konstrukcji. Oświetlił także i mnie, wskutek czego doznałem tego osobliwego wrażenia, co piloci uchwyceni w reflektor - że jestem przygwożdżony do ściany. Znowu spojrzałem w górę; widziałem każdy nit w klapie i przyszło mi na myśl, że skoro tak dobrze widzę wszystko nad sobą, to ktoś w kabinie może równie dobrze widzieć wszystko, co jest pod nim, a ponieważ im dłużej pozostawałem tak odsłonięty, tym bardziej wzrastały szanse wykrycia, wyjąłem pistolet z kabury i cicho wspiąłem się po kilku ostatnich szczeblach drabiny. Byłem już o niespełna cztery stopy, kiedy klapa w podłodze uchyliła się lekko i przez szparę wychynęła długa i bardzo paskudnie wyglądająca lufa strzelby. Wiedziałem, że powinienem być odczuć smutek i zawód, jakie wynikają z rozpaczliwej świadomości ostatecznej porażki, ale tego dnia przeszedłem już za wiele, zużyłem wszystkie moje odczucia i dlatego przyjąłem to, co było nieuchronne, z fatalizmem, który zaskoczył nawet mnie samego. Nie była to gotowość do kapitulacji; gdybym miał cień szansy, rozegrałbym to z nim na strzały. Ale nie miałem w ogóle żadnej szansy i pogodziłem się z tym.

- To jest policyjny automat śrutowy - powiedział van Gelder. Jego głos miał metaliczny, głuchy ton o grobowym brzmieniu, które wcale nie wydawało się nie na miejscu. - Pan wie, co to znaczy?

- Wiem, co to znaczy.

- Niech pan mi odda swoją broń, kolbą do przodu.

Oddałem mu moją broń z całą uprzejmością i wytwornością, które wynikały z długiego doświadczenia w oddawaniu broni.

. - A teraz ten rewolwerek z pańskiej skarpetki.

Oddałem mu rewolwerek z mojej skarpetki. Klapa otworzyła się i zobaczyłem całkiem wyraźnie van Geldera w świetle księżyca wpadającym przez okna kabiny.

- Wejdz pan - powiedział. - Miejsca jest dosyć.

Wdrapałem się do kabiny. Tak jak powiedział van Gelder, miejsca było pod dostatkiem, w kabynie zmieściłby się z tuzin osób w razie potrzeby. Van Gelder, spokojny i niewzruszony jak zawsze, miał przewieszoną przez ramię, nader nieprzyjemnie wyglądającą strzelbę automatyczną. Belinda siedziała w kącie na podłodze, blada i wyczerpana, a obok niej leżała duża lalka z Huyler. Belinda popróbowwała uśmiechnąć się do mnie, ale bez przekonania; było w niej coś tak bezbronno i zgnębiętego, że o mało rękę skoczyłem van Gelderowi do gardła nie bacząc na jego broń, ale zdrowy rozsądek i szybka ocena odległości sprawiły, że poprzestałem na ostrożnym opuszczeniu kłapy i wyprostowałem się równie ostrożnie. Popatrzyłem na strzelbę.

- Domyślam się, że pan to wziął z tej policyjnej furgonetki? - powiedziałem.

- Domyśla się pan trafnie.

- Powinienem był sprawdzić.

- Powinien pan być - westchnął van Gelder. - Wiedziałem, że pan przyjdzie, ale fatygował się pan aż tutaj nadaremnie. Odwróć się pan.

Odwróciłem się. Cios w tył głowy nie został zadany nawet w przybliżeniu z takim wigorem i dumą z własnej sprawności, jakie przedtem wykazał Marcel, ale wystarczył, by mnie na chwilę ogłuszyć i zwalić na kolana. Niewyraźnie poczułem, że coś zimnego i metalicznego opasuje mi przegub lewej ręki, i kiedy znowu zacząłem aktywnie interesować się tym, co działo się dookoła mnie, stwierdziłem, że siedzę niemal ramię w ramię z Belindą, przykuty kajdankami do jej prawego przegubu, z łańcuszkiem przewleczonym przez metalowy uchwyt nad klapą. Delikatnie roztarłem sobie tył głowy; dzięki połączonym wysiłkom Marcela, Goodbody'ego, a teraz van Geldera przeszła tego dnia ostre ciągi i bolała mnie obrzydliwie mniej więcej we wszystkich miejscach, w jakich głowa może boleć.

- Przykro mi z powodu pańskiej głowy - powiedział van Gelder - ale równie dobrze mógłbym zakładać kajdanki tygrysowi, który byłby przytomny. No, księżyc już prawie się schował. Jeszcze minuta i pójdę sobie. A za trzy minuty będę na terra firma.

Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem.

- Schodzi pan na dół?

A cóż mam robić? Ale nie tak jak pan to sobie wyobraża. Widziałem rozstawiony kordon policji - tylko jakoś nikt nie zauważył, że czubek dźwigu sięga za kanał o co najmniej sześćdziesiąt stóp poza kordon. Już opuściłem hak do samej ziemi.

Głowa zanadto mnie bolała, abym mógł znaleźć jakąś stosowną odpowiedź; zapewne w tych okolicznościach nie było żadnej w ogóle. Van Gelder przewiesił sobie strzelbę przez jedno ramię, a do drugiego przytroczył sznurkiem lalkę. Potem powiedział cicho:

- No, księżyc już nie ma.

Tak było. Van Gelder majaczył tylko niewyraźnie jak cień, kiedy podchodził do drzwi w przodzie kabiny, przy pulpicie kontrolnym. Otworzył je i wysunął się na zewnątrz.

- Do widzenia, van Gelder - powiedziałem. Nie odrzekł nic, drzwi się zamknęły i zostaliśmy sami. Belinda chwyciła mnie za skutą rękę.

- Wiedziała, że przyjdiesz - szepnęła. A potem, z przebłyskiem dawnej Belindy: - ale za dużo się nie spieszyłeś, co?

- Już ci mówiłem, że sfery kierownicze zawsze mają różne rzeczy do załatwienia.

- A czy... czy musiałeś mówić do widzenia takiemu człowiekowi?

- Uważałem, że powinienem... Nie zobaczę go nigdy więcej. Przynajmniej żywego. - Pomacałem w prawej kieszeni marynarki. - i ktoby pomyślał? Van Gelder sam siebie zgubił.

- Słucham? _

- To był jego pomysł, wypożyczyć mi policyjną taksówkę - żeby można mnie było od razu rozpoznać i śledzić bez trudu, gdziekolwiek się udam. Miałem kajdanki. Użyłem ich do skucia Goodbody'ego. I klucze do nich. O, te.

Otworzyłem kajdanki, wstałem i przeszedłem na przód kabiny. Księżyc rzeczywiście skrył się za chmurą, ale van Gelder przecenił jej gęstość; wprawdzie na niebie była tylko blada poświata, ale wystarczająca, ażeby dojrzał van Geldera, teraz już o jakieś czterdzieści stóp niżej, z połami marynarki oraz spódniczką lalki targanymi przez ostry wiatr, gdy pełznął jak gigantyczny krab po kratownicy wysięgnika.

Moja ołówkowa latarka była jedną z nielicznych rzeczy, których nie odebrano mi tego dnia. Posłużyłem się nią do odszukania umieszczonego w górze przełącznika i pociągnąłem w dół dźwignię. Na pulpicie kontrolnym rozżarzyły się światła, więc spojrzałem nań szybko. Belinda stała teraz obok mnie.

- Co chcesz zrobić? - Znowu wróciła do szeptu.

- Czy muszę wyjaśniać?

- Nie! Nie! Nie rób tego!

Nie sądzę, aby wiedziała dokładnie, co zamierzam uczynić, ale widocznie słysząc coś ostatecznego i nieodwołalnego w moim głosie, odgadła, że skutki mego działania będą nieodwracalne. Znowu spojrzałem na van Geldera, który był już w trzech czwartych drogi do czubka wysięgnika, po czym obróciłem się do Belindy i położyłem jej dłonie na ramionach.

- Posłuchaj. Czy nie wiesz, że nigdy nie zdołamy niczego udowodnić van Gelderowi? Czy nie wiesz, że zapewne zniszczył tysiące istnień ludzkich? I czy nie wiesz, że ma przy sobie dość heroiny, by zniszczyć następny tysiąc?

174 175

- Możesz przestawić wysięgnik! Tak żeby trafił do wewnątrz kordonu policji !

- Nigdy nie wezmą go żywcem. Ja to wiem, ty to wiesz, wszyscy to wiemy. I ma tę strzelbę. Ilu porządnych ludzi chciałabyś wysłać na tamten świat, Belindo?

Nic nie odpowiedziała i odwróciła się. Wyjrzałem znowu. Van Gelder

dotarł do czubka wysięgnika i nie tracił czasu, bo natychmiast opuścił się w dół, oplótł rękami i nogami kabel, i zaczął się zsuwać z niezwykłym pośpiechem, który był aż nadto usprawiedliwiony; pasmo chmur szybko rzedło i nasilenie światła na niebie wzrastało z każdą chwilą.

Popatrzyłem w dół i po raz pierwszy dojrzałem ulice Amsterdamu, ale nie był to już Amsterdam, tylko miasto-zabawka, z maleńkimi ulicami, kanałami i domkami, bardzo podobne do tych modeli kolejowych, które widuje się w dużych sklepach przed Bożym Narodzeniem.

Obejrzałem się za siebie. Belinda siedziała na podłodze z twarzą ukrytą w dłoniach; chciała mieć podwójną pewność, że nie zobaczy tego, co się stanie. Znów popatrzyłem na kabel i tym razem bez trudu dojrzałem wyraźnie van Geldera, bo księżyc właśnie wynurzył się zza chmury.

Van Gelder opuścił się już prawie do połowy kabla i zaczynał kołysać się z boku na bok, targany silnym wiatrem, zwiększając z każdą chwilą wahadłowy łuk, który zataczał. Sięgnąłem do koła i przekręciłem je w lewo.

Kabel zaczął podnosić się w górę, a van Gelder wraz z nim; na chwilę osłupienie sprawiło, że przywarł do niego. Potem widocznie pojął, co się dzieje, i zaczął ześlizgiwać się w dół, ze znacznie wzmożoną prędkością, co najmniej trzy razy większą od tej, z jaką podnosił się kabel.

Dojrzałem teraz olbrzymi hak na końcu kabla, niespełna czterdzieści stóp poniżej van Geldera. Odkręciłem z powrotem koło do położenia środkowego i van Gelder znów nieruchomo przywarł do kabla. Wiedziałem, że muszę zrobić to, co muszę, ale chciałem z tym skończyć najprędzej, jak to było w ludzkiej mocy. Przekręciłem koło w prawo i kabel zaczął się opuszczać z całą szybkością, a wtedy znowu zastopowałem koło. Poczułem silne targnięcie, gdy kabel raptem się zatrzymał. Wyrwał się z rąk van Geldera i w tym momencie zamknąłem oczy. Otworzyłem je spodziewając się, że zobaczę pusty hak bez van Geldera, a tymczasem był tam, tylko nie trzymał się już kabla, ale zwisał twarzą do dołu, nadziany na olbrzymi hak, kołysząc się tam i z powrotem ciężkim łukiem, o pięćdziesiąt stóp nad domami Amsterdamu. Odwróciłem się, poúszedłem do Belindy, ukląknęłem obok niej i odjąłem jej dłonie od oczu. Spojrzała na mnie; spodziewałem się odrzasy na jej twarzy, ale nie było żadnej, tylko smutek, znużenie i znowu ten wyraz małej, zagubionej dziewczynki.

- już po wszystkim? - szepnęła.

- Po wszystkim.

- A Maggie nie żyje. - Nic nie odpowiedziałem. - Dlaczego nie żyje ona, a nie ja?

- Nie wiem, Belindo.

- Maggie dobrze pracowała, prawda?

- Dobrze.

- A ja? - Nic nie odrzekłem. - Nie musisz mi mówić - powiedziała głucho. - Powinnam była zepchnąć van Geldera ze schodów w magazynie albo mu rozbić samochód, albo go pchnąć do kanału, albo strącić go z tych schodków na dźwigu, albo. . . albo. . . - Zamyśliła się i dodała: - Ani razu nie trzymał mnie pod lufą.

- Nie musiał, Belindo.

- Wiedziałaś?

- Tak.

-Funkcjonariuszka operacyjna pierwszej kategorii - powiedziała z goryczą. - Pierwsze zadanie w narkotykach. .

- Ostatnie zadanie w narkotykach.

- Wiem - uśmiechnęła się blado. - Jestem zwolniona.

- Grzeczna dziewczynka - odrzekłem z aprobatą. Dźwignąłem ją na nogi. - Przynajmniej znasz przepisy, a w każdym razie ten, który ciebie dotyczy. - Wpatrywała się we mnie długą chwilę, a potem po raz pierwszy tej nocy uśmiech pojawił się z wolna na jej twarzy. - O ten właśnie idzie - powiedziałem. - Kobietom zameżnym nie dozwala się pozostawać w służbie. - Wtuliła mi twarz w ramię, co przynajmniej oszczędziło jej przykrej konieczności spojrzenia na moją poharataną twarz.

Popatrzyłem ponad złotowłosą głowę przed siebie i w dół. Ogromny hak ze swym straszliwym brzemieniem kołysał się teraz zamasyście i u krańca jednego z zataczanych przezeń łuków zarówno strzelba, jak lalka zsunęły się z ramion van Geldera i poleciały w dół. Spadły na kamienie po drugiej stronie opustoszałej ulicy nad kanałem, a nad tą strzelbą i piękną lalką z Huyler, niby gigantyczne wahadło gigantycznego zegara, cień kabla, haka i jego brzemienia zataczał coraz szersze łuki na tle nocnego nieba Amsterdamu.